





251

Witte Karol

**PAMIĘTNIK**  
**SCENY WARSZAWSKIEJ**

NA ROK 1839.

przez

*H.... W....*

*Witke Karol*

---

**ROK DRUGI**

---



**WARSZAWA.**

**1840.**



PT 479

Aby pismo nasze zajmowało razem i miłośnika sceny krajowej i miłośnika ogólnie pódów literatury, postanowiliśmy rozszerzyć do właściwych kresów jego granice większą rozmaitością rzeczy, nie niszcząc pierwotnego jego charakteru i niewychodząc z obrębu, jaki mu sam tytuł określa. Wyjątki przeto z dzieł dramatycznych przedstawianych na scenie obok rozstrząsań gry artystów podając jakiegokolwiek wyobrażenie o ich dążeniu i smaku publiczności naszej, znajdą tu najwłaściwsze miejsce; w tymże rodzaju pody oryginalne a nieogłoszone dotąd ani drukiem ani przez widowiska, jak niemniej urywki poezyi, zajmując nowością, przedstawiają razem mi-

niaturę wielkiego i wspaniałego obrazu współczesnej literatury, zdjętą z jednego punktu widzenia: arye wielkie z oper: *Napój Miłośny* i *Koń sziżowy*, będą dla znawców muzyki próbką wartości całych kompozycji, inne utwory, jako nieznanne dotąd, obudzą ciekawość i wywiodą może z ciszy pełnego talentu młodego kompozytora. Tym sposobem *Pismo* nie tracąc głównego piętna, stanie się rozmaitszém i korzystném, (jeśli to być może,) nie dla jednej wyłącznie klasy czytelników, lecz dla każdego, komu pŕody pismiennictwa nie są obojętne.

Dla przytępienia zaś i poskromienia ciosów krytyki, okryjemy czoło Pamiętnika sceny, bezpieczną tarczą, kładąc na wstępie, dramat oryginalny Józefa Korzeniowskiego.





AKT I  
PROLOG

**ZAKŁAD.**

FRASZKA

WE DWÓCH AKTACH.

**O S O B Y:**

*Albert Deland*

*Karolina jego żona*

*Maryanna jej służąca*

*Adolf Morval*

*Batysta murzyn*

*Kilku mameluków.*

---

## A K T I.

(*Pokój Pana Deland w Paryżu.*)

DELAND I MORVAL (*wchodzą*)

DELAND. Czy wiesz, co ja stąd wnoszę?

MORVAL. Pytanie trochę zatrudne.

DELAND. Po dwuletniej niebytności powrócić do Paryża o zmroku; zaledwie roztasować się jakkolwiek w pierwszym hotelu, który się znalazło; przespać tę noc w jak największej niecierpliwości; nazajutrz o dziewiątej wyjść na ulicę i pierwszego spotkać — ciebie, szkolnego kolegę, przyjaciela młodości. O! wierz mi kochany Morvalu! z tego wiele wnieść można.

MORVAL. Przypadek nie więcej; miły dla mnie, miły pochlebiam sobie i dla ciebie, — ale przypadek.

DELAND. Nie mój pocziwy Adolffie! ja stąd wnoszę, że mi się wszystko uda, bo pierwsze życzenie, jakie tu powziąć mogłem, spełniło się...

MORVAL. Będę sobie winszował, że ja położę węgielny kamień do tej budowy, którą wznieść zamysłasz.

DELAND. Ale usiądź proszę. Z radości zapomniałem, żeś musiał już dziś nie mało ulic zbiegać, kiedym cię tu spotkał.

MORVAL. Mieszkam stąd niedaleko.

DELAND. Prawda, całe dwa lata nie byłem w Paryżu, musiało się tu wiele zmienić.

MORVAL. Wrzawa jednakowa, złość też sama, błoto nie mniejsze. Dla nas, mój przyjacielu, czas nie zdaje się postępować. Mniej tylko widzę siły w mężczyznuach i więcej zmarszczków w kobietach.

DELAND. Nie łatwo ci dogodzić. A wasze-ż Paryżanki zawsze tak czarujące jak były?

MORVAL. Chęć oczarowania mają też same.

DELAND. I zawsze równie okrutne? Śmie-

jesz się! — bo ja nie lubię fanfaronować i przyznam ci się, że mi się nigdy nie udało. Ale, ale, ponieważ o tém mówiny, nie że mi nie winieneś? — czy mozem ja tobie dlužny.

MORVAL. Nie przypominam sobie, abysmy takiego rodzaju mieli zobowiązania.

DELAND. A ów że zakład? pamiętasz?

MORVAL. Zabij mię, ale niewiem o czem chcesz mówić.

DELAND. Więc niepamiętasz téj uczyty u Dorsyniego, gdzie wino lało się strumieniem, gdzie wonne pary unosiły się nad jaśniejącym stołem, gdzie dowcip tryskał z rozgrzanych głów naszych, jak szampan z butelek, a czarne oczy grzecznych i ładnych kobiet — ale może z podobnej uczyty i teraz wracasz, boś coś smutny i błady.

MORVAL. Ale ów zakład?

DELAND: Otóż w ten czas sławna Teona śmiała się ze mnie, żem mówił o cnocie kobiet, żem utrzymywał, iż w każdej klassie są piękności, zdolne zawstydzić zarozumiałość naj-

zręczniejszego mężczyzny — czy przypominasz sobie?

MORVAL. Nie.

DELAND. Musiałeś mieć w głowie. Ja więc ci powiem. Powstałeś i zaproponowałeś mi zakład. Szło o pięćdziesiąt Napoleonów. Podałiśmy sobie ręce i taka zaszła umowa: że jeżeli starania twoje o pozyskanie względów kobiety uchodzącej za wzór cnoty i wiary, będą daremne, i w sumieniu przekonany będziesz, żeś przegrał, te pieniądze miały do mnie należyć. Gdybyś mię zaś słowem honoru uręczył, żeś wygrał, nie pytając nawet o imię tej, która cię uczyniła zwycięzcą, powinienem ci być równą summę zapłacić. — Cóż?

MORVAL. Coś jak przez sen sobie przypominam.

DELAND. Ja nie zmieniłem mego o kobietach mniemania, ale ty nie żeś mi nie winien?

MORVAL. Daję ci słowo, że o tém nie myślił; lecz jeżeli chcesz, możemy zakład pono-

wieć po trzézewemu, bom ja także mojego mniemania nie zmienił.

DELAND (*podaje mu rękę*). Idzie.— No cóż wasi ministrowie?

MORVAL. Uważają siebie za coś publicznego, i w tój myśli około dobra publicznego chodzą. Wreszcie, od tego czasu, jak mój wuj przestał być ministrem, polityka mię nie interesuje. Czytam dziennik mój, nie lubię debatów, bo w pierwszym choć mniej wymowy, ale więcéj dobrej wiary.

DELAND. Jesteś bogaty, możesz się obejść bez ich łaski; mnie oni bliżéj interesują. I teraz przyjechałem tu z Marsylii z ich rozkazu; mają mię dokądściś wyprawić, ale sam nie wiem dokąd.

MORVAL. Szczęśliwyś, mój przyjacielu, że masz czém zająć myśl i serce, i rzeczywistą usługą wypłacasz dług społeczności, do której należysz. Ja jestem jak ów wilk na owocowem drzewie: podobny do gałazki, ale ani z niego

ozdoby, ani kwiatu, ani owocu, szkodzi tylko póty, póki go nie zetną.

DELAND. To źle: Czując, że ścieszka twoja błędna, czemuż z niej nie zejdziesz?

MORVAL. Za późno; pokochałem próżnowanie i myśl, równie jak nogi, przywykła do włóczęgi.

DELAND. Nie wiedziałem, żeś tak serio uorganizował tę niedołążność myśli i serca.

MORVAL. Cóż robić, stało się. Śród innych ludzi byłbym innym. Zły przykład mój przyjacielu jest jak błoto; pókiś czysty, wybierasz kamyczki i idziesz ostrożnie; gdy się raz dobrze zwalasz, brniesz środkiem ulicy, i tym więcej cię to bawi, im głębiej nogi twoje toną. Ale niemówmy o tém. Rzecz dziwna! od kwadransa mnę w ręku wstążkę tego kapelusza, a nie przyszło mi zapytać, co on tu robi?

DELAND. To kapelusz mojej żony.

MORVAL. Jak to? ożeniłeś się?

DELAND. Nie mówiłem ci o tém! — Ożeniłem się, mój poczciwy Adolffie, i jak jeszcze!



Jest to odkrycie, wynalazek, dyament. Nieuwierzysz, jak wdzięczny jestem tym anielskim diabłom Paryża, że serce moje zostało całe, nowe, zdolne ocenić wysoką wartość téj kobiety. Ale obaczysz (*klaszcze — Maryanna wchodzi*). Zapytaj Pani czy może wyjść do nas. Powiedz, że wielkich ceremonij niepotrzeba; to mój przyjaciel i kolega. (*Maryanna wychodzi*).

MORVAL. W jakiejże to kopalni skarb ten odkryłeś.

DE LAND. Nie pamiętam już, w czasie jakiego święta w Marsylii znalazłem się w tłumie ludzi. Obok mnie było dwie kobiety. Ich ubiór przystojny, ich ułożenie skromne i przyzwoite ściągnęło na siebie moją uwagę. Były same; ścisk się pomnazał; mimowolnie bez żadnej umowy stałem się ich opiekunem. Spojrzaniem odwracałem natrętów, którzy zbyt śmiało zaglądali w oczy córce, ręką oddalałem falę pospólstwa, która groziła nacisnieniem matce. Zmrok się zbliżał, trzeba było wracać, i pierwsze słowo, którem z ust ich usłyszał, było:

dziękujemy Panu. Tak znajomość nasza zaczęła się od z-obowiązania. Podałem rękę matce, odprowadziłem ich do domu i odtąd stałem się codziennym ich gościem. Po kilku miesiącach stanęliśmy przed ołtarzem, i tak już rok cały jestem najszczęśliwszym mężem — ale obaczysz.

KAROLINA. (*wchodzi i zadziwiona zatrzymuje się — do siebie*) to on!

MORVAL. Jaktó? to twoja żona?

DELAND. Czy się znacie?

KAROLINA. I dobrze.

MORVAL. Zapomniałeś, że nasz pułk stał siedm miesięcy w Marsylii.

KAROLINA: (*podając mu rękę*). Jak się masz Panie Adolfe! sądzę, iż Pan wierzysz, że to spotkanie przynosi mi prawdziwą radość.

MORVAL. Znam dobroć Pani.

KAROLINA. Ale jakimże to sposobem Pana tu widzę.

DELAND. Sądz Karolino! o mojej radości. Ledwie wyszedł za próg, pierwszy człowiek którego spotkał — on. O! gdybyś ty wiedzia-

ła ile mi twarz jego przypomina! Nieodwracaj się moje życie, są w liczbie tych wspomnień i niektóre grzechy; ale nie możesz się za nie gniewać. Nieznałem cię, niewiedziałem, że w głębi prowincyi nad brzegami morza jest syrena, która opuściła fale śródziemne, aby głosem i wejrzeniem oczarować przybyльца z północy.— Ale to dziwna, niceś mi nie powiedziała żeście się znali.

KAROLINA. To dziwniejsza, żeś ty mi nie o Panu Morval nie wspomniał, o przyjacielu i koledze!

DELAND. Byłem nadto zakochany. Przyjaźń musiałem odłożyć na potem. Do tej pory było tylko w mojej głowie miejsce dla dwóch rzeczy: dla ciebie i dla obowiązku.

KAROLINA. (*opiera się na ramieniu męża.*)  
A Pan, Panie Adolffie, nie masz żony?

MORVAL. Niémam, i mieć niebędę.

KAROLINA. Nicoddajesz sprawiedliwości płci naszej.

MORVAL. Nie Pani. Miałem sposobność powziąć zbyt wysokie wyobrażenie o kobiecie zdolnej zająć myśl i serce na wieki. Oryginał mi wzięto; szukam dotąd przynajmniej dobrej kopii—ale jej niema.

KAROLINA. (*spuszcza oczy.*)

DELAND. Dla tego zawsze ścigałeś męzatki; szukateś zapewne tego oryginału, który ci wzięto.

KAROLINA. Jeśli tak, niedziw, żeś Pan dotąd wolny; nie szczerze szukałeś kopii.

DELAND. (*patrzy na zegarek.*) Ponieważ się znacie możecie tu sobie zabawić się trochę dawnymi wspomnieniami. Ja muszę spieszyć do kancelaryi ministeryum. Ci Panowie lubią niezmiernie akuratność—w drugich.

KAROLINA. (*zmięszana.*) Słuchaj Albercie—niechciałabym — niewidziałam jeszcze Paryża, niemogłabym pójść z tobą.

DELAND. A gdzież cię potem zostawię? Nie wiem jak długo przyjdzie mi zostać. Będę w przedpokoju Ministra, a czas przedpokoju

równie nieoznaczony jak czas życia. Ale jeżeliś ciekawa, Morval poda ci rękę, możecie przebiedz kilka ulic.

KAROLINA. O nie.—Zapomniałam, że mam jeszcze zajęcie w domu. A potem, Pan się za to gniewać nie będziesz, wołałabym z tobą. Sprawi ci to zapewne przyjemność, gdy będę dziwić się temu, co ty znasz tak dobrze.—Nieprawdaż Albercie.

DELAND. (*całuje ją w czoło.*) Tyś Anioł, Karolino! Do widzenia się, może cię tu jeszcze zastanę.

MORVAL. Wątpię. Wszakże dziś jeszcze widzieć się będziemy. Mam łożę na dzisiejsze widowisko; nieznajdziesz innej, bo sztuka nowa.

DELAND. Z ochotą (*do żony*) A ty?

KAROLINA. Możesz że wątpić?

DELAND. A co grają?

MORVAL. Tytuł sztuki Hernani.

DELAND. To coś nie greckiego.

MORVAL. Grecyą odesłaliśmy do szkoły, gdzie być powinna i gdzie użyteczna.

DELAND. A mówiłeś mi żeście *in statu quo*— i to krok naprzód.

MORVAL. Zapewne; poezya i jej objawienia jest także jedną ze sprężyn, która posuwa skazówkę oznaczającą godziny narodowego życia.

DELAND. Do widzenia się (*wychodzi*.)

MORVAL (*po chwili milczenia*) Karolino!

KAROLINA. Co Pan mówisz?

MORVAL. Był czas, kiedyś mi pozwalała tak się nazywać i rozumiałaś mię,

KAROLINA. Czas ten przeszedł.

MORVAL (*kładzie rękę na sercu*). Nie tu.

KAROLINA. Panie Adolffie! nie wiem jak długo zostanę w Paryżu; jeżeli chcesz, aby mi ten czas był miłym, jeżeli pragniesz, abym cię widywała z przyjemnością, zapomnij o tém, co było. Młoda, niedoświadczona, wierzyłam. Dziś uręczam cię, że to przeszłość, zagrzebana głęboko z chwilami pierwszćj młodości. Mam męża, którego kocham, a ty, dobry Panie Adol-

fie, bądź tylko moim znajomym. Ale usiądź proszę, jeżeli masz chwilę wolną.

MORVAL. Przebacz mi Karolino! wymagasz nadto. Rozpalone żelazo włóż w zimną wodę, a wyda ci jęk przykry i bolesny; chcesz, aby moja myśl, która nagle na sam twój widok zapłonęła, weszła bez bólu w chłodne formy grzeczności. Teraz, w tej chwili, gdy wspomnienia dawnego szczęścia, rokoszne obrazy waszej krainy, ciepło waszego nieba nagle mię owiało; gdy jesteśmy sami, nie? nie wymówię tego słowa P a n i, — ono mię zdławi.

KAROLINA. Ostatni raz się widzimy. Pan czujesz to sam, że takiej mowy słuchać nie powinna. (*chce odejść*).

MORVAL. Zostań Pani, będę posłusznym.

KAROLINA (*wracając*). O! z ochotą. Bo czemużbym ci Panie Adolfe nie wyznała, że mi przyjemnie widzieć cię i z tobą pomówić.

MORVAL. Dziękuję Pani i za to — chociaż mam prawo nazwać Panią okrutną.

KAROLINA. (*uśmiechając się*). Za co?

MORVAL. Mogłoby być większe dla mnie szczęście, jak podawszy rękę Pani, przebiegać ulice tego miasta! zgubić się w tej wrzawie, w tym natłoku, usamotnić się wśród tysiąca oczu, siebie tylko słyszeć wśród tysiąca głosów. Każde poruszenie ciekawości Pani mógłbym zaspokoić; zgadłbym każdą myśl, odpowiedziałbym na zapytujące mię wejrzenie. Odżyłaby i dla moich oczu piękność tych pomników, na które dziś patrzę jak na gromadę głazów, które tak zimno uderzają mój wzrok, jak zimne są gdy na nich położę rękę. O! postąpiłaś Pani nieludzko, niemiłosiernie.

KAROLINA. Słyszałeś Pan, Panie Adolffie, że tę radość chciała zachować dla męża.

MORVAL. Wszystko dla męża!

KAROLINA. I myśl i dusza.

MORVAL (*zimno*). Żegnam Panią.

KAROLINA. Do widzenia — bo sądzę, że Pan dotrzymasz obietnicy; a mnie bardzo o to idzie, abym widziała Hernaniego.



MORVAL (*wraca od drzwi*). Daruj mi Pani! zdawało mi się, że mi będzie łatwo pożegnać Panią tak obojętnie, jak się żegna zwyczajną znajomość. Jest przecież jakaś siła, która mię zatrzymuje. Czuję, że bym sobie wyrzucił to poruszenie zazdrości, którego mieć nie powinienem. Jest on moim przyjacielem, a przecież nie mogę oddalić tej myśli, że posiada moje dobro: bo i ja miałem kiedyś moje prawa. — Pamiętasz Pani tę tak piękną, tak cichą, tak oddaloną od wrzawy kupieckiej aleję?

KAROLINA. Przed kilku dniami byłam tam.

MORVAL (*powstaje*). Kilka lat jakem tam niebył, a przecież pamięć jej niezatarła się w mojej myśli. Zdaje mi się, że to piękne niebo wisi nad moją głową, że to powietrze, jak balsam łagodzący, obléwa mię zbawiennym ciepłem. Pamiętasz-że Pani te spacery, tę milczącą wymowę wieczoru, gdyśmy utrudzeni wracali do domu; gdy zmrok osłaniał mury, powiększał ich wymiary; gdy światła zaczynały się migać po oknach mieszkań; gdy

mając rękę matki Pani, szedł z głową schyloną, smutny, aż pókiś mię niezrozumiała, nie przeszła na moją stronę i drugiego nie chwyciła się ramienia.

KAROLINA. To była bojaźń, nie więcej.

MORVAL. Jakim nawałem te wspomnienia cisną się do mojej myśli. Wychowany w domu bogatym, wśród stolicy; przyzwyczajony z pogardą patrzeć na wszystko co pochodziło z prowincyi, wyszedłem z regimentem pełen głupiej pychy, pełen przekonania, że wszystko znajduję śmiesznem; że te trochę złota, które błyszczało na moich ramionach, zaślepi wszystkie oczy, że te sznurki, które okręzały moje piersi, będą nieuniknionemi sieciami. Z głową podniesioną i pustą, z sercem próżnym wszedłem do tej waszej świątyni, gdzie przed obrazem N. Panny Opiekunki uginają się ludu pobożnego głowy; gdzie serca ściśnione czerpią pociechę i nadzieję. Z uśmiechem szyderskim przystąpiłem do ołtarza, gdzie widział klęczące dwie kobiety. Tam ujrzałem Panią raz pierwszy—

i tam zawsze wraca myśl moja, ile razy chcę odzyskać wzruszenia czyste i wysokie, ile razy życie obecne, zeszcłłe i zwiędłłe rodzi w sercu odrzęę i wszelką wiaryę wytępia.

KAROLINA. Możesz Pan wtenczas czuł cokolwiek, była to nowość.

MORVAL. Pani byłaś tak piękna! z taką szczeryą prawdą ręce się twoje składały do modli myśl i dusza tak były daleko od ziemi. O! wierzm Pani, raz tylko w życiu zdarza się podobny widok, raz tylko błysnąć może w sercu zepsutém chwila równie szczęśliwa. Wstrząsłem się cały; inny tok wzięły myśli — i nie dziw! Doład widywałem owę pyszną pobożność hipokrytów paryskich, — tu, w lieu Pani, w ułożeniu i w stroju uderzyła mię jakaś niepojęta harmonia niewinności, prostoty i prawdy. Mimowolnie zgięły się kolana, mimowolnie oczy zwróciły się na obraz; — jaśniał on dziwnym blaskiem, może to było odbicie twarzy Pani, która już była tu, głęboko — ale uczułem się pobożnym..

KAROLINA. Wierz mi Pan, że ta pobożność nie wiele mu do zbawienia pomoże — zbyt prędko przeminęła.

MORVAL. I mojaż to wina? — Zaledwie mi się udało wejść do domu Pani, zaledwiem potrafił zyskać ufność matki, tej nieocenionej kobiety, zaledwie przeszło parę miesięcy snu zarowanego, musiałem opuścić Marsylią, i Pani wiesz to dobrze, zem ją opuszczał — z rozpaczą.

KAROLINA (*żywo*). Chciałeś Pan powiedzieć — z ochotą.

MORVAL. Byłem posłuszny tej żelaznej konieczności, która ciśnie żołnierza, która nierozumi łąz prośby i niesłyszzy jęku młodego serca. Ale ta chwila dała mi wstręt niepoahamowany do tej służby, do której mię niepowoływała potrzeba kraju, do tej niewoli, której nieuszlachetniało zwycięstwo. Zrzuciłem mundur. . . .

KAROLINA (*ze wzruszeniem*). I zostałeś Pan w Paryżu. Skończmy na tém Panie Adolffie! —

Dalszy ciąg tej historyi mógłby mię narazić na wysłuchanie wyznań, któreby może zbyt dziwne się wydały mojemu uchu. Raz na zawsze proszę, niewracajmy do lat upłynionych. To co umarło, wymaga uszanowania i pokoju. Nie godzi się bez potrzeby deptać po grobach. — Do widzenia się — wieczorem. Sądząc po geniuszu autora, pewna jestem, że sztuka dzisiaj da nam weselszy przedmiot rozmowy. — Żegnaj Pana.

MORVAL (*smutno*). Wypędzasz mię Pani! — więc do widzenia; (*odchodząc do siebie*) kocha mię jeszcze.

KAROLINA (*sama*). Kochaż on mię jeszcze? — O! nie, on mię nawet nigdy niekochał. Był wolnym i nie wrócił — dziś na cóż ten potok słów? — Chciał zakrzepłą ranę rzedrzeć dla igraszki, dla błahego tryumfu. — O! bezecne kuglarstwo, godne kary. —

DELAND (*wchodzi smutny i zamyślony*). Potrzebaż takiej klęski dla żonatego człowieka?

KAROLINA. Co ci się stało Albercie? całyś zmieniony.

DELAND. Mam ważne powody.

KAROLINA. Gdybyś mię kochał, takżebyś mię przestraszał?

DELAND (*perwaznie*). Karolino! musimy się rozłączyć.

KAROLINA. O mój Boże! czym przewiniła?

DELAND. Nie o to idzie mój aniołku. Ale wyprawiają mię daleko, w pustynią. Niemogę cię brać z sobą, niechęć cię narażać na niebezpieczeństwo. Nie, nie, pojedę sam, ty zostaniesz u matki.

KAROLINA. Do tego nieprzyjdzie. Jestem twoją, przysięgłam być z tobą zawsze i wszędzie. Cóż jest niebezpieczeństwo obecnie, rzeczywiste w porównaniu z tém, jakiebym sobie wyobrażała. Nie, mój kochany Albercie, to być niemoże. Dokąd że cię wyprawiają.

DELAND. Niemogę, nieśmiem ci powiedzieć.

KAROLINA. Czy do Chin?

DELAND. Nie tak daleko. Jestem mianowany wice-konsulem. Oto moje papiéry, pasport i listy. Wszystko zastałem gotowe, podpisane, zaciągnięte w Żurnale. Wymówek nie słuchają, przemienić nie podobna — chyba wyjść ze służby.

KAROLINA. Pokaż — dokądże przecie?

DELAND (*wahając się oddaje jej papiéry*)  
Do Egiptu.

KAROLINA. Jakieżś ty dziecko mój Albercie. Wszakże to spacer, podróż dni kilkunastu; kraina ciekawa, kolebka najstarszych lat świata. Czy sądzisz, że prócz igły i nitki, niemoże mię nie zainteresować; czy sądzisz, że niema we mnie ani kropli krwi francuskiej, aby na widok tej krainy serce moje niezadrżało!

DELAND. I ty pojedziesz ze mną?

KAROLINA. Bez wątpienia.

DELAND. I będziesz kontenta?

KAROLINA. Bardzo, bardzo, dla wielu przyczyn.

DELAND. I morze cię nie przestrasza?

KAROLINA. Zapomniałaś, że się nad morzem urodziła i wychowała, że znam jego przemienne oblicze, że to dla mnie rzecz nieobca gdy się pogodnie uśmiecha, i gdy marszczy swe olbrzymie czoło. (*kładzie się na jego ramieniu.*) Wreszcie nie wiiesz, że ja jestem syrena z fal śródziemnych, i że z roskoszą odwiedzę swoją ojczyznę.

DELAND. (*ściskając ją.*) Wracasz mi życie, droga Karolino. Nieuwierzysz jakem wesół, jakem szczęśliwy! bo muszę ci się przyznać, że się niczego bardziej nieobawiałem jak zostać w Paryżu.

KAROLINA. Dla czegoż to mój Albercie!

DELAND. Trudno ci to powiedzieć, i lepiej niebądź ciekawa.

KAROLINA. Jeśli każesz zamilknę. Wszakże to pierwsza przykrość, którą mi wyrządzasz.

DELAND. Dajże mi słowo, że w tém co powiem nic a nic nie weźmiesz do siebie.

KAROLINA. Przyrzekam i obiecuję.



DELAND. Otóż rad jestem, że opuszczam Paryż, że będę daleko, za morzem, właśnie z przyczyny tego przyjaciela mego Morwała. A widzisz, że twarz twoja się zmieniła, a przyrzekłaś.

KAROLINA. Bynajmniej, dziwię się tylko. Dziś rano tak byłeś rad, żeś go spotkał.

DELAND. To prawda, ale gdybyś ty wiedziała com ja się o nim podowiadywał.—Brudy, bezcelestwa. Właśnie w kancelaryi, szefowi Bióra, któremu winienem to miejsce, wspominałem, że będziemy dziś w Teatrze w loży Morwała. Spojrzał mi prosto tu (*pokazuje na czoło*) jak gdyby szukał czegoś.

KAROLINA. I ty zniósłeś spokojnie to obrażające spojrzenie.

DELAND. Niezna cię. A potem usprawiedliwił je, opowiedziawszy mi cały żywot tego młodego człowieka, który się już bez ratunku zgubił i rozpaśał.

KAROLINA. (*na stronie.*) O mój Boże!

DELAND. Co ci to moje dziecko!

3



KAROLINA. Znałam go tak młodym, tak szlachetnym. Wszelkiego upadku, wszelkiego ponizenia widok przykrym jest i bolesnym. Ogród zapuszczony smutne obudza myśli; cóż dopiero widzieć ponizenie serca, ujrzyć te chwasty zeszpeconej, zdziczałej natury, których wypłć niemożna. Dawniej miałam dla niego wiele przyjaźni, i nie taję, że to co mówisz, żywo mię dojmuje.

DELAND (*po chwili*). No, rad jestem, że jędziemy do Egiptu.

KAROLINA. I ja najszczerzej.

DELAND. Oddają mu też sprawiedliwość. Chociaż bogaty i znakomitego urodzenia, chociaż niedawno wuj jego był ministrem, rzadko go gdzie przyjmują. Jest postrachem wszystkich mężów i ojców. Imię jego tak głośne, tak wyszedł z granic wszelkiego umiarkowania i uczciwości, że żadna kobieta nieśmie z nim pokazać się publicznie.

KAROLINA. I to ci ten szef biura opowiadał?

DELAND. I on i inni.



KAROLINA. Czy nie płaci on czasem długów swego wuja, Ex-Ministra.

DELAND. Jużem i ja to rozważał, i pierwszy raz potwórz byłaby mi niewypowiedzianie miłą. Jednak za nim mówi tylko moje serce, a przeciwnie ci co tu żyją i widzą i słyszą. Szczegóły są szkaradne; niechcę niemi kazić czystości twojej myśli, i dla tego miałbym do ciebie jedną prośbę.

KAROLINA. Niechcesz, abym była dziś na Teatrze?

DELAND. Każde słowo twoje okazuje twoją dobroć, twoje przywiązanie. Ledwie co pomyszę, już spełniłaś.

KAROLINA. Jak to słodka powinność mój Albercie.

DELAND. Oby ci nigdy miłą byź nieprze stała. (*bierze kapelusz*) Ułatwie jeszcze niektóre interesa, bo u mnie zawsze pierwszy obowiązek, jak rozrywka. Potem zostaniemy tu jeszcze dni ze dwa i co najciekawszego obaczymy. Jutro będziemy na operze, pojutrze

na trajedyi; a za dni dwa już będzie za plecami waszemi ta gromada kamieni, ten stek ludzi, to gniazdo rozpusty. O! niewierzysz, jak wolno odetchnę, gdy nad głową moją fregata rozwinię swe skrzydła, a pod nogami waszemi stuszątniowa przepaść. Bądź zdrowa; pomyśl tymczasem czego ci potrzeba na drogę. Tu masz pieniądze, za powrotem moim pobiegniemy do sklepów. (*wychodzi*)

KAROLINA. W takim więc ręku było moje serce! Jest prawdziwie jakiś anioł, który czuwa nad słabością naszą. Ja szczególnież powinnam mu dziękować za jego niezmordowaną obecność (*wychodzi, w téjże chwili pokazuje się Morval.*)

MORVAL (*sam*) To jej suknia mignęła. Jest coś doprawdy, co mię do tej kobiety pociąga. Przebyłem w bród płytką zatokę intryg salonowych; zwiedziłem cały archipelag zakulisowy, i zaczynam się nudzić. Tu podobno trafię na skałę; tu płynąc będę mógł przynajmniej myśleć o rozbiciu, i ta myśl podniesie moje

energiją. A przyjaźń! — a zakład. — Jeśli ma wygrać, niechże własna żona da mu zwycięstwo, tym miłsze mu będzie. (*Maryanna wchodzi*)  
Pan w domu?

MARYANNA. Niema?

MORVAL. A Pani!

MARYANNA. Jest.

MORVAL. Pójdźże powiedz, że czekam, zapytaj, czy może mię widzieć (*Maryanna wychodzi*) miałem wprawdzie przyjść dopiero wieczorem. Ale możnaż zgrzeszyć w oczach kobiety niecierpliwością widzenia jęj. Rachuje ci i wynagradza każdą minutę pospiechu, rachuje i karze za każdą sekundę spóźnienia.

MARYANNA (*wchodzi*). Pani przeprasza, że niemoże się z Panem widzieć.

MORVAL. Doprawdy? — Proś że Pani niech mi daruje, że tu, w jęj pokoju, czekać będę póki Pan niewróci (*siada — Maryanna odchodzi*). Jest więc tajemny głos w jęj duszy, co ją ostrzega o niebezpieczeństwie. Ta bojaźń rodzi we mnie pewność wygranej; i to, co by

kogo innego ucieszyło, jest właśnie moją niedolą. Póki roję, póki wśród złotych mar imaginacyi widzę bóstwo zwycięstwa trzymające wieńiec, póty w godzinach życia jest treść, póty w życiu samém jest coś elektrycznego, co mię wstrząsa. Gdybym miał dosyć cierpliwości i mógł tę chwilę przedłużyć — używałbym. Ale nie, chwytam pierwszą zręczność, staję na szczyście i cały urok znika. Jak z zapadnięciem koryntyny zamyka się przedemną świat idealny, stworzenia poetyczne giną, i codzienne, ordynaryjne twarze parteru cisną się do oka i myśl opadają. Przekłeta chwila! (*patrzy w ziemię*)

KAROLINA (*która wszedłszy przez niejaki czas go słuchała*). Cóż to Panie Adolffie! masz Pan postać zupełnie traiczną.

MORVAL. Nie Pani, jestem smutny.

KAROLINA. Czy niebyłeś Pan na próbie jakiej trajedyi, bo podobno za kulisami jesteś domowym.

MORVAL. Próba trajedyi jest bardzo komieczną i nie może zasmucić, ale złe, a niespo-

dziewane przyjęcie bardzo może. — Prawda, jest w tém cokolwiek i mojej winy. Przyszedłem wcześniej niż przyjsć miałem. Ale być w tém samym miejscu gdzie Pani jesteś, i Pani niewidzieć, to przechodzi moje siły. Do wieczora tak daleko! czemużbym zapełnił te godziny, jaką tymczasem zabawkę dalbym pożerającemu uczuciu, aby było cierpliwie czekającym. Spokojna w posiadaniu tego co kochasz, może Pani nawet i nierozumiesz mojego stanu, wszakże nim się z nim oswoję, nim cokolwiek uciwnie we mnie ta burza, niegniewaj się Pani, że częściej może, niżby należało, chcę być pod tym dachem i oddychać tém powietrzem.

KAROLINA (*z ironicznym uśmiechem*). Bravo! Panie Adolfe! Uważałam to zawsze, że Pan masz wielkie usposobienie do wymowy. Szkoda, że Pan gardzisz miejscem w Izbie deputowanych, mógłbyś się odznaczyć — i z pożytkiem kraju.

MORVAL. Niepoznaję Pani w tych słowach.

KAROLINA. Czy Pana to dziwi, że się znam

nia pięknem i sztucznem urobieniu periodu? (*Morval chwytą kapelusz*) chcesz Pan zapewne wychodzić? pochwalam tę delikatność ze strony Pana, bo myślałam, że Pan doprawdy postanowił czekać tu póki mój mąż nieprzyjdzie.

MORVAL (*stawia kapelusz*) W rzeczy samej postanowiłem.

KAROLINA. Przez wzgląd na dawną naszą znajomość, muszę Pana ostrzedz, że będziesz bardzo źle przyjęty.

MORVAL. Znam mego przyjaciela.

KAROLINA. Ludzie żonaci zmieniają się. Powstają w nich trwogi, z których często sami niemogą sobie zdać sprawy. Przytém i reputacya Pana ustalona, imie głośne. Niepotrzeba być długo w Paryżu, aby się dowiedzieć o wszystkich Pana tryumfach.

MORVAL. W rzeczy samej, Pani mię zadziwiasz. Jeżeli mógł być czasem szczęśliwym, czyż tak mizerny zawód może uczynić imie człowieka głośnem? Czyż te plotki, które niewiem jakim sposobem doszły do Pani, powinny da-



wać jakąkolwiek obawę jej mężowi, i czybyś Pani powinna pozwalać, aby cię tak obrażał.

KAROLINA. Widzę w tém tylko jego troskliwość o moję sławę. Broni jej, bo to jest i jego dobro. On mię zna, ale mię inni nieznają; a Pan wiesz, że pozór może tak dobrze zabić kobietę, jak i rzeczywiste wykroczenie. Dla tego niewieźmiesz mi Pan za złe, jeśli cię prosić będę, abys mi pozwolił niekorzystać ze swojego towarzystwa. To tylko miałam Panu powiedzieć i dla tego wyszła.

MORVAL. O! zasłużyłem w części na tę surowość. Prawda, życie moje było nieraz pełne hańby; rozpusta opanowała moje myśli i nigdy się tak sobą niebrzydziłem jak w tej chwili, gdy czysty wzrok anioła pada na moje zbrudzone piersi. Ale czy Pani myślisz, że w całej tej drodze intrygi i podłego zwodzicielstwa, serce moje miało jakikolwiek udział? — Kochałem raz jeden i jedyny, i Pani wiesz to dobrze, kto był tej miłości przedmiotem.

KAROLINA. Oprócz pięknych frazesów, innego dowodu nićmam, że to o mnie mowa.— Niewysilaj się Pan daremnie, bo ja żegnam Pana—na zawsze.

MORVAL. Czy Pani sądzisz żebyś nićmiała w tém żadnej zasługi gdybyś mię nieodpychała.

KAROLINA. Za dwa dni wyjeżdżamy. Na tak krótki czas niewarto się reformatować, zadamawać gwałt swoim przyzwyczajeniom i zmuszać się do odgrzebywania popiołów które już zimne.

MORVAL. Za dwa dni? i dokąd że?

KAROLINA. Do Egiptu, gdzie mój mąż jest mianowany Wice-Konsulem.

MORVAL. I Pani z nim jedziesz?

KAROLINA. Jak to zabawnie, że Pana wykonanie powinności i przedsięwzięcie uczciwe zadziwia.— Niechcę Pana dłużej zatrzymywać i żegnam— na zawsze.

MORVAL. Dla czegoż na zawsze?

KAROLINA. Jedziemy do Egiptu— a Egipt daleko za śródziemnym morzem.

MORVAL. Czy Pani myślisz żeby mi było trudno je przebyć?

KAROLINA. (*śmiejąc się*) O! niepodobna, niepodobna — więc nie do widzenia się Panie Adolfie. (*odchodzi śmiejąc się*)

MORVAL. (*patrząc zanią*) Hm! Niewiedziałem, że i ona kokietka. Niema środka, trzeba zrobić znajomość z Ibrahimem Baszą. (*odchodzi*)

## A K T II.

(*Pokój Pana Deland — w Aleksandryi.*)

DELAND, MARYANNA, MURZYN, MAMELUKI  
wynoszący łomoki.

DELAND. Obóz Ibrahima o kilka dni drogi (*obraca się do murzyna*) o wiele!

BATYSTA. Pięć dni tam i nazad. Czy jadę z Panem?

DELAND. Mam dragomana, ty mi niebędziesz potrzebny. Umiesz nasz język i dla tego

cię wziął do usług mojej żony. Zostaniesz tu i pamiętaj być usłużnym i wiernym.

BATYSTA. Płacisz mi Pan dobrze.

DELAND. A ty kochasz pieniądze.

MURZYN. Prawie tak jak pustynią.

DELAND. Będziesz je miał, jeśli będę kontent. Pójdź obacz, czy karawana gotowa. Pisarzowi, który jedzie ze mną, oddaj ten pakiet, niech go strzeże. Mamelukom eskorty zapowiedz, że Seliman Bej jest mój ziomek, i że mogą być źle zapłaćeni, jeśli się źle sprawią. Ruszaj. — Moja dobra Maryanno! pamiętaj, żeście w mieście obcym, wśród Turków. Niepotrzebuje ci polecać wierności. Służysz swojej Pani od lat kilku. Dobrze twoje serce i twój rozum, uszlachetniają twój stan i jedną ci naszę przychylność.

MARYANNA. Bądź Pan spokojny. (*odchodzi*)

DELAND. (*do wchodzącej Karoliny*) A ty niebądź smutna Karolinko.

KAROLINA. Jestem tylko zmęczona niezupełnym upałem.

DELAND. Czy cię to słońce bardzo pali.

KAROLINA. O! bardzo.

DELAND. A przecież tyś południowa roślinna. I wasze słońce dojmuje prawie równie silnie. Ale tamto słońce rodzinnej ziemi i tam była matka; a tu i nie Francya i tylko — mąż.

KAROLINA. Cóż to Albercie? czy wymówka? O! bądź pewny, że się nigdy więcej uskarżać niebędę.

DELAND. Nieczyń tego moje dziecię; bo wierz mi, wiele razy słyszę cię zającą się, wyrzucam sobie, że ci źle, i źle przezemnie; żem ja cię wywiózł tu, gdzie pod nogami rozpalony piasek, a nad głową żadnej chmurki, co by cię ochłodziła. I to mię boli, bo znasz moją miłość. Ale mogęż zakląć pustynią, aby wydała gaj pomarańczowy, w którym byś odetchnęła wonią stron twoich.

KAROLINA. Dobry Albercie! niepragnęłam-że sama téj podróży!

DELAND. To prawda; ale wówczas widziałś Egipt w myśli. Imaginacya twoja ozdabiała

te starożytną krainę całym swém bogactwem. W pięknych marzeniach wyobrażałaś się u stóp piramid, i serce twoje było wysokiemi uczuciami na widok pomników, które widziały pogrzeb tyłu narodów. Z dumą myślałaś, że będziesz stapać po śladach naszych świeżych tryumfów; że widok rozwijającej się cywilizacyi w krainie dzikiej i barbarzyńskiej, to dzieło krwi naszej, będzie dla ciebie dostateczną rozrywką. Nieraz o tém rozmawialiśmy na okręcie; teraz przyznaj Karolino, niezawiodłaś się.

KAROLINA, Niemogę ci zataić, że marzenia moje były piękniejsze.

DELAND. Widzisz więc moje dziecię, żadna przyjemność, żadna radość cię tu nieczeka. Kurzawa, upał, widok nędzy, barbarzyństwo panów tej ziemi, podłość i łakomstwo naszych europejczyków, oto wszystko czego tu doznać, co obaczyć można. Nic ci tu nie zostaje, tylko moje serce. Nie rań że go swoim smutkiem, bo im więcej cię kocha, tem więcej cierpieć będzie.

KAROLINA. Jedź spokojny Albercie. Zasta-

niesz mię wesołą. Możeż mi być gdziekolwiek źle z tobą? Słodkie obowiązki żony, gdy je wynagradza taka miłość męża, nie są dostateczną rozrywką?

DELAND. Przyznam ci się, że i ja niemogę przyjść do siebie, tak mię zawiódł ten sławny Egipt. Nie jest-to okazały starzec, którego siwizna wraża uszanowanie, ale brzydki i odrażający żebrak. Jednakże uśmiech na twoich słodkich ustach wróci mu wszystkie czary, jakie miał w mojej myśli. Bądź zdrowa. Teraz pójdę jeszcze na chwilkę do Doktora Perset. Do widzenia się moje życie. *(całuje ją w czoło i wychodzi bożnemi drzwiami)*

KAROLINA. Dobry! nieoceniony! O jakiejże kobiety serca niezwyctężyłaby taka delikatność, taka miłość wylana i bez granic. Słodkie są wspomnienia pierwszego uczucia, ale ten śliczny kwiatek na wiatry i burze wystawiony, najczęściej przed czasem usycha. Liściek po liściek spada prędko, niewidomie, bo go nie nieocienia, nie niebroni. Pod świętém cieniem małżeństwa

rozwija się bujnie kwiat téj czystéj miłości, którego słodka wonia mnie teraz owiewa. Dziękuję ci Albercie za to szczęście, które mi dajesz, ja codzień powtarzam przysięgi, którem ci przed ołtarzem uczyniła. — (*słychać za sceną głos Morvala — Karolina zmieszana*) Co to jest? czy sen?

MORVAL. (*za sceną*) Uśmiechasz się widzę na widok złota jak gdybyś był białym.

KAROLINA. To on — to jego głos — szalenie!

MORVAL. Więc to mieszkanie Wice-Konsula — prowadź mnie.

KAROLINA. Czy on tu dla mnie przybył? — Ach nadchodzi — (*wybiega*)

MORVAL I BATISTA (*wchodzą*)

MORVAL. Nasi wojazerowie są bezwstydnymi kłamcami. Mówią i piszą, że Francuz wszędzie jest jak u siebie; że w Egipcie przeszczepione nasze sztuki, nasza taktyka, nasza mowa, są w pełnym kwiecie. A ja tymczasem błąkam się od kilku godzin i ledwie znalazłem mieszkanie,



czyjeż? — Wice-Konsula Francyi. — Ale co to za karawana przed domem?

BATISTA. Wice-Konsul wyjeżdża.

MORVAL. A ona?

BATISTA. Ona zostaje.

MORVAL. Tém lepiej. Moja gwiazda błyszczy. Czy ty jesteś w usługach Wice-Konsula?

BATISTA. Jestem raczej jej samej sługą.

MORVAL. Gdzieżeś się nauczył naszego języka.

BATISTA. Służyłem dawniej u jednej damy francuzki, której mąż był Konsulem neapolitańskim.

MORVAL. Który także był Francuz?

BATISTA. Nie, był Włoch; ale jego żona przez przywiązanie do swoich miała niektóre stosunki z Francuzami. Byłem używany do różnych posług i korespondencyj. Ci panowie płacili mi dobrze i od nich nauczyłem się po francusku.

MORVAL. Będę cię potrzebował (*daje mu pieniądze*)

4\*

BATISTA. Umiem stać przy drzwiach i światem sowy powrót męża ogłaszać.

MORVAL. Czy to drzwi jej pokoju?

BATISTA. Te same.

MORVAL. Dobrze — idź teraz.

BATISTA. Do widzenia się kolego.

MORVAL. Dla czego mię tak nazywasz?

BATISTA. Ja jestem czarny zewnątrz, a kto mię używa, czarnym jest z wywrotu. Bądź zdrów — nazywam się Batista. *(odchodzi)*

MORVAL. Szatan! — Ale nié mam i chwili do stracenia; choć słówko, nim kto nadejdzie. *(idzie do drzwi i chce wejść do jej pokoju, Karolina wychodzi)* Jesteś Pani! — O jakąż czuję radość!

KAROLINA. *(poważnie)* Mniejszą pewnie niż moje podziwienie.

MORVAL. Kto inny mógłby się dziwić, ale nie Pani.

KAROLINA. Ja także niesądziłam, abyś Pan był tak wielkim miłośnikiem starożytności.

MORVAL. Czémże zasłużyłem na taką objętność? Gdybym był obcym, gdybyś Pani twarz moję obaczyła raz pierwszy, ale obaczyła w krainie dalekiej, pustej; ale usłyszała z ust moich mowę twej matki, niebyłażbyś gościnną, uradowaną? — A mnie tak odpychasz? — Nie chcę się od razu zabijać myślą tak bolesną, ale powiedz mi, jestem doprawdy tak nieszczęśliwym, że rozumiesz, iż mię tu przygnała ciekawość?

KAROLINA. Niewidzę, dla czego bym mogła mieć myśl inną.

MORVAL. Więc ci powiem Karolino! bo na próżno mi tu zechcesz narzucać czeze i nieznośne formy. Tu, pod tém słońcem płonącym tak cię nazywać będę, jak cię nazywa moja płonąca dusza. Kocham cię Karolino, pierwszą, jedyną miłością, i dla tego tu jestem. Twój obraz był gwiazdą, która mię tu prowadziła. Niemógłem wytrzymać tam, skąd zniknęłaś. Przybyłem tu, aby cię widzieć, żyć gdzie ty żyjesz, zajmować myśl i oko tém, na czém

twoje oko spoczywa, co myśl twoją bawi. Karolino! nieodpychaj mię; ja tylko twojej przyjazni szukam.

KAROLINA. (*obojętnie*) Bardzo żałuję, że tego nawet Panu odmówić muszę. Pókiśmy byli w Paryżu i tam mi przypominałeś upłynione lata, słuchałam cię w tém przekonaniu, że za dni kilka rozłączymy się na zawsze. Niezdawało mi rzeczą potrzebną mieszać spokojność człowieka, którego ufność jest bez granic. Teraz postrzegam, że moje położenie jest daleko trudniejsze. Dalsza cierpliwość, dłuższe milczenie, byłoby z mojej strony występkiem. Uwziąłeś się gubić mię, wybaczysz więc, że muszę przedsiębrać środki obrony; bo oświadczam Panu, Panie Adolfe, że we wszystkie te oświadczenia miłości, i miłości płonącej jak afrykańskie słońce, niewierzę; że męża mego szanuję i kocham, tém czystem, tém wiecznem przywiązaniem, które spaja dwoje ludzi stworzonych dla siebie brylantowem ogniwem, którego pię-

kne słówka przepiłować niepotrafią. Czy dość? czy chcesz Pan, abym jeszcze co przydała?

MORVAL. Dość Karolino! przebaczam ci twoje szyderstwo, szanuję twoją srogość. Tego ci tylko przebaczyć nie mogę, że wątpisz o mojej miłości. Pocóżbym tu przyjechał?

KAROLINA. Ja myślę dla decyfrowania hieroglifów.

MORVAL. O! serce kobiety jest najzawilszym hieroglifem. Nieodgadłem cię Karolino! Zdawało mi się, że mię nieodepchniesz, że mi podasz dłoń przyjaźni, że mi dozwolisz chwil słodkiej rozmowy. Dla takiej nagrody nietrudno mi było porzucić odmętne życie Paryża i zostawić za sobą te wszystkie nałogi, do których mnie tak przywiązanym mniemałaś; dla takiej nagrody puściłem się za tobą, i przeszłej nocy, odziany błędem ciemności, z rokoszą słuchałem, jak pod nogami moimi huczała głucha, niezgruntowana przepaść, jak nad głową moją szumiała pełna piorunów burza. Byłże mój trud daremny? — Nie, Karolino! Wi-

dzę cię, mówię z tobą, i choć nieczuję twojej ręki na mojem sereu, wspomnienie jednak tej chwili, drogi twój obraz będzie w życiu dal- szém moim aniołem stróżem. — Bóg chciał, abym cię spotkał wtenczas, kiedy serce moje wycięzione rospustą, wysrane bezprawiem, traciło wszelką wiarę w cnotę i niebo. Jednem spojrzeniem na ciebie, grzeszny potępioniec, wydobyłem się z przepaści; odzyskałem dawne siły; młode i święte nadzieje, i, jeśli nie twoje- go szacunku, czuję to, żem się stał godnym twojego żalu. I za to dobrodziejstwo Karolino! na kolanach ci dziękuję. (*klęka*)

KAROLINA. (*śmieje się.*)

MORVAL. (*zrywa się*) Pani się śmiejesz.

KAROLINA. Śmieję się, Panie Adolfe, i po- wiem Panu dla czego. Wszystko to co Pan mówisz, nieprawda; to raz. Wszystko to coś Pan powiedział, chociaż piękne i zręczne, ale niewczesne; to dwa.—Gdybyś Pan był w pół roku, lub wreszcie w rok, po swoim wyjeździe z Marsylii, wrócił do mnie z Paryża i takim ję-

zykiem przemówił, o! wtenczas byłabym się potokiem łez oblała i w objęcia się twoje rzuciła. Teraz widzisz Pan, że się śmieję. Bo dowcip i wymowa zależą od miejsca i czasu. Koncept niewczesny, nieśmieszny; przeciwnie wymowa niewczesna, śmieszna: taka natura serca ludzkiego;—teraz zaś serio, oświadczam Panu, że za chwil kilka mój mąż będzie wiedział o wszystkim. Ponieważ moje słowa nieznajdą wiary, ani moja spokojność uszanowania, to będę go prosić, aby mię od eloquencyi Pańskiej zasłonił, jak na męzczyznę przystoi. Zegnam Pana (*ktania się i odchodzi*)

MORVAL. (*idzie do jej drzwi i potrząsa niemi.*) Zamknęła się.—Karolino! Szanuję cię i wielbię nawet w tém okrutném postępowaniu — milczy. — Miej litość Karolino! uciekam stąd natychmiast; wkrótce wiatr uniesie mię daleko, wkrótce fale będą może, jak ty nieubłagane.—Niesłucha, czy djabli nadali!—(*pate-tyczniej.*) O! wyjdź, jeszcze jedno słówko, jedno spojrzenie, jeden uśmiech, a odejdę szczę-

śliwy. Niesłuchasz mię, bądź więc zdrowa, nieobaczysz mię więcej.— (*odstępuje od drzwi*) Przyjdzie doprawdy przestać na samych starożytnościach. Zdaje się, że kapitalne głupstwo zrobił. Ale któżby się spodziewał, żeby taki dowód miłości, żeby porzucenie dla niej Paryża, przepłynienie przekątnej śródziemnego morza, niezrobiło najmniejszego efektu.— Wywiodła mnie w pole—djabła tam w pole — za morze wyprowadziła, zagnała na piaski afrykańskiej pustyni—i po co?—daremniuteńko.—O kobiety! czemu was Jenerałami nierobia? (*przybliża się jeszcze ku jej drzwiom.*)

DE LAND. (*wchodzi i staje zmieszany*) Jak to! on tu? i tam wzrok jego wlepiony? O! cóż się ze mną dzieje!

MORVAL. (*odwraca się nagle*) Ach jak się masz kochany Deland! jakże rad jestem, że cię widzę.

DE LAND. (*cofając rękę*) Jeśli mam prawdę powiedzieć, ja z mojej strony, tak zbyt wielkiej radości nieczuję.



MORVAL. Zmówiliście się widzę, żeby mnie źle przyjmować.

DELAND. Kogóż tu więcej rozumiesz?

MORVAL. Słuchaj Albercie! przypominasz sobie nasze zobowiązanie? Oto twoje pieniądze — przegrałem.

DELAND. *(ze wzdygnięciem usuwając rękę)*  
Co to jest!

MORVAL. Masz anioła kobietę, szanuj ją i kochaj, bo na to zasługuje.

DELAND. Śmiałeś więc targnąć się na jej honor?

MORVAL. Był to żart, który ci daje przekonanie o jej cnocie.

DELAND. I dla żartu przyjechałeś aż tu?

MORVAL. Miałem czas i pieniądze — i przytém nie miałem nic lepszego do czynienia...

DELAND. Jak wydrzeć przyjacielowi pokój i życie.

MORVAL. Jak bo ty to serio bierzesz.

DELAND. Bo ja nieżartuję z sumieniem, i ka-

żdy, kto sobie podobnej pozwala igraszki, jest w moich oczach podły.

MORVAL. Kto inny pożałowałby tak nieba-  
cznej mowy. Ale przyjaźń jest twoją tarczą.

DELAND. Przyjaźń zasłania mię od twojej  
kuli, a niezasłaniała od twojej podłości i rospu-  
sty? To nieczemna przyjaźń, której się wyrze-  
kam; odrzucam jej tarczę i wyzywam cię z so-  
bą — chodź natychmiast.

KAROLINA. (*wypada*) Albercie! wstydz się,  
czyż on wart twojego gniewu?

DELAND. Czy ty wiesz po co on tu przy-  
jechał?

KAROLINA. Wiem kochany Albercie—i przy-  
pominam ci, że honor kobiety w ten czas tylko  
skrzywdzić można, gdy ona sama na swoją hań-  
bę pozwala. Dla tego, jakiegokolwiek mogło być  
przedsięwzięcie tego Pana, bardziej twojego  
śmiechu warte niż gniewu.

DELAND. Na próbę wystawiać cnotę żony  
przyjaciela?

KAROLINA. Czémże jest przyjaźń dla rozpustnika? czém cnota i honor niewinnej kobiety?

DELAND. I pewnie wiedział o tém, że twoja miłość jest mojem życiem.

KAROLINA. Aż nadto wiedział, bom mu to nieraz powtórzyła. Znał także moję niezgwałcone dla ciebie przywiązanie; wiedział jak wysoko stoję w twoim szacunku, i domyślał się zapewne, żebym pierwszej umarła, niżbym pozwoliła zachwiać tę świętą wiarę, jaką miałeś we mnie, i która jest duszą naszej miłości.

DELAND. A przecież ośmielił się, bezwstydnym!

KAROLINA. Tacy są ci panowie.

MORVAL. (*cicho*) O! do jak głupiej tu roli przyszedłem!

DELAND. Cóż mu mogło podać myśl tak występłą.

KAROLINA. Chyba to, że go znała w Marsylii; że on pierwszy obudził drżenie mego serca. — Ale wtenczas byłam wolną i on mi się zdawał szlachetnym, szczerym, wylanym. Dziś

zapomniał o tém, że sam przygasił te uczucie swojém postępowaniem; zapomniał, że raz umarła miłość, jak ścięte z pnia drzewo, niezażelieni się więć i kwiatem nieokryje.

DELAND. Więc i w Paryżu obrażał cię swemi oświadczeniami?

KAROLINA. W żart obróciłam piękne periody i całe kuglarstwo tego Pana. I niewiém prawdziwie, co mu mogło dać powód, że aż tu przybył. Rzemiosło twoje, Panie Adolfe, obudza we mnie odrazę, ale niesądzę, żebyś się do tego stopnia poniżył, iżbyś nieprzyznał, że sam niewiesz, dla czegoś tu przyjechał.

MORVAL. (*wzdychając*) Ah! to prawda.

KAROLINA. Wiem ja, że to ważny punkt w taktyce panów, zakompromitować kobietę. Ale i w tém pomyliłeś się. Wiara mojego Alberta niezachwiana; a zakompromitować mię w oczach sąsiadek, i podać mi tę myśl, żeby niedarmo być czernioną i ogadywaną, także niemogłeś. Tu sąsiadek niema, tu wszystkie Turczynki zamknięte, i ani piechotą ani karętami plotek roz-

nosić niemoga. Tak więc napróżność Pan stracił tyle słów, napróżno tyle czasu, napróżno tyle pieniędzy. Czas opamiętać się Panie Adolfe! czas wrócić do Francyi, czas użyć pięknych zdolności, nie na zgubę słabych i łatwowiernych kobiet, ale na pożytek kraju, na dobro ziomków, na zaszczyt własnego imienia. Tą drogą prędzej znajdziesz serce, które ci będzie szczerze wylaném, które cię pokocha i odda się bez podziału. Próżne kobiety lubią ladajakie hołdy; udające miłość, udają także, że wierzą improwizacyom romansowym trzpiotów bez zasługi, bez wartości. Ale kobieta szlachetna, jeżeli przyjmuje z wdzięcznością i roskoszą cześć, to tylko cześć wyłączną człowieka, którego szacuje. Poganin oddany wielobóstwu, niezdola wzruszyć jej serca. Najpiękniejszą wymową rozśmiesza ją tak, jakies Pan mnie dzisiaj rozśmieszył. Trzeba kochać tak jak mój Albert kocha, żeby być tak jak on kochanym. (*rzuca się w objęcie męża*)

DELAND. Karolinko moja!

5\*

KAROLINA. Żegnamy Pana, Panie Adolfie. Chociaż się Panu niepowiodło, mam nadzieję, że tę podróż do Egiptu niebędziesz uważał za zupełnie straconą; bo naprzód, zechcesz zapewne skorzystać z tej małej lekcyi, którąś tu odebrał; a co najważniejsza, będziesz miał dobrą zręczność odwiedzić i poadmirować piramidy (*zarzuca rękę na szyję śmiejącego się męża i oboje wychodzą*).

MORVAL. (*chwyta się obiema rękami za głowę*) Ho! monstrualna kobieta! czempredziej do Paryża, tam niema potworów. — (*wybiega*)



## STRZEŻŃ.

Związek kwiatu i zboża nasienie,  
Nie śmie się zbarwą pokazać zieloną;  
Póki nie przejdą mrozy i zawieje,  
Póki się znowu wiosna nie zaśmieje.  
Bezimienny.

---

WIELKI TEATR. — Na rok nowy Teatr powi-  
tał publiczność nową komedią p. t. *Żony Po-  
życzane*. — Trudno jest często najbiegłsze-  
mu przewidzieć, jak dzieło sceniczne wyda się  
w przedstawieniu; nieraz wyborna komedia  
czytana przez jedną osobę, ubawi i zajmie to-  
warzystwo, kiedy przeniesiona na scenę, zale-  
dnie zwróci uwagę, i na odwrót farsa bez zwią-

sku na pozór i ładu, w rozwinięciu sytuacji scenicznych zyska najświetniejsze powodzenie. — Im autor więcej stara się dowcipkować, a mniej baczy jak jego osoby będą się obracały na scenie, tém wątpliwszy pomyslny skutek. — Może niebrakło nowój komedyi dowcipu, choć po większej części płaskiego, ale brakowało sytuacji komicznych i sztuka mimo wyborną grę Pana Żółtkowskiego i Werowskiego, musiała ustąpić z pola. — Jedno też to niepowodzenie w pierwszy dzień Nowego roku lekką zostawiło skazę na cały miesiąc i dowiodło razem, że nieraz pierwszy krok niepomyślny wynagradza się sownie stokroć pomyslniejszemi następstwami, choć i ten jeszcze wieczór w końcu odżył pięknym i bardzo lubionym baletem *Jeniusz Różowy*. — Kilkanaście dni następnych przeplatane, to operą jak *Robert i Zampa*, to dramami jak *Piętno Hauby* i *Czemuz niebyła Sierota*, połączonej z miłym baletem *Młeczarku Szwajcarska*, upłynęły korzystnie dla Dyrekcyi teatrów, a mile dla widzów. — Dopiero trzyna-



sty dzień mroźnego miesiąca zakwitnął na scenie czarownym blaskiem i świeżością wiosny. Po dramie jednoaktowej, Powrót Majtka, wybornie przez najcelniejszych artystów sceny odegranej (P. Halpert, Kudlicz i Żółkowski), przedstawiono pierwszy raz po kilkunastu latach, balet allegoryczny P. Apdée, układu naszego baletmistrza P. Morys, z muzyką Karola Kurpińskiego — p. t. *Mars i Flora*. — Główne role oddane najdokładniej. — Panna Gwozdecka (Flora) znalazła tu najobszerniejsze pole do rozwinięcia swego talentu, mocy powabu i uczucia. Pan Morys jeszcze pełen siły i życia przedstawił rolę Pasterza. — Grupy najrozmaitsze, malownicze i pięknie zawsze jedną jakąś myślą natchnione, były w stanie nasycić, zachwycić i odurzyć, — tańce prześliczne — pas de trois (Pani Koss, Morysa i Turczynowicza) wykonano jak tylko od takich artystów można wymagać. — Nadto pas de trois Panien: Gwozdeckiej, Trawnej i Piaseckiej, i pas de quatre — Trawne, Wendt, Piaseckiej i Zdanowicz, równie w pier-

wszem jak we wszystkich dalszych przedstawieniach, wzniecały najżywsze zadowolenie. — Młode tancerki Wendt i Trawna, w bardzo krótkim czasie wykształciły się tak dalece, że dziś już, może każda z nich przedstawić główną rolę z zupełną dokładnością. — Panna Piasecka postępuje ciągle w kształceniu swego talentu i opinii u publiczności. — Panna Zdanowicz, córka znakomitego artysty dramatycznego, którego niedawno jeszcześmy widzieli i oklaskiwali, a dziś już tylko pamięci jego i cieniom hołd należny składamy, w tym dopiero roku dała się więcej poznać pochlebnie z niepospolitych zdolności. — Rzadka zręczność, lekkość i siła w tak młodym, dziecinnym nawet wieku — zwróciły uwagę publiczności, nagradzającej ją w każdym tańcu hucznymi oklaskami. — Nie są to jeszcze wszystkie kwiaty tego baletu: — a wojenne obroty zbrojnych 50 amorków pod kierunkiem najzręczniejszego wodza — maleńkiej Straus, czyż niewzniecają za każdym razem ogólnego zapału, czyż niezasługują na głośny publiczny

poklask? W rzeczy samej zręczność, z jaką odbywają te obroty dzieci od 7 — 11 lat, dokładność i śmiała postawa tego drobnego hufcu w dziryty uzbrojonego — pewny i wprawny wzrok małego wodza nigdy niemogą dosyć nabawić i nadziwić. — Ostatni obraz ze stu większych, małych i najmniejszych osób utworzony, przy jaskrawych promieniach bengalskiego ognia, przedstawia widok niedoopisania. — Ubiorry wszystkie gustowne, świeże i najświetniejsze. — Dekoracya kwiecista pędzla P. Głowackiego — wyobrażająca państwo Flory, dodają niewypowiedzianego uroku całemu przedstawieniu — po którym zwykle przywołani bywają: Pani Koss, — Panny: Gwozdecka, Trawna, Wendt, Straus mała i Pan Morys, a po pierwszej reprezentacyi i P. Głowacki dekorator dostąpił tego zaszczytu. — Raz jeszcze powtórzono w tym miesiącu przedstawienie pięknego baletu w obec publiczności wszystkie miejsca napełniającej z niemniejszym powodzeniem. — Ledwie dni kilkanaście tylko upły nęło,

a scena nową zyskała ozdobę. — Dnia 26 daną operę buffa — *Napój Miłosny* w 2ch aktach, z muzyką Donizzetego. — Szczegółowy rozbiór tego dzieła zostawiamy do jednego z następnych rozdziałów. — Niewiele u nas oper z takim zadowoleniem przyjęto; blisko trzydzieści razy powtórzona, zawsze prawie sprowadzała licznych słuchaczy. Główne w niej role mają Panny: Ludwika, Paulina Riwoli lub Marya Turowska, naprzemian; Panowie: Dobrski, German i Lanckoroński, kochanków; Żółkowski lub Bondasiewicz, Szarlatana doktora i podrzędną Sierżanta, Stolpe lub Markowski. — Rolę Adiny wszystkie pomienione artystki przedstawiają bardzo dokładnie. — Pannę Ludwikę Riwoli, odznacza śpiew łagodny, tkliwy i z największą dokładnością wykonany, żadna z naszych śpiewaczek niema tyle łatwości w passażach i rula-dach — gra naturalna, zalotność więcej szlachetna jak żywa. — Panna Paulina zwycięża wszystkie trudności, ma głos silny i czysty, rozumie i czuje — gra łatwa, pełna przyzwoitości

która wysokie względy jedną jój u słuchaczów. Panna Marya Turowska jest zupełnie na swoim miejscu, głos okrągły, miękki, w wysokich tonach słabszy, ale przyjemny, intonacja dobra — gra pewna; — w trzecim akcie, zalotność żywa obudza oklaski, w ogóle artystka ta znacznie postąpiła w wykształceniu i coraz więcej okazuje do gry usposobienia. Rolę Nemorina kochanka, przedstawia Pan Dobrski z talentem dobrego śpiewaka i aktora; czucie, deklamacja pełne wyrazu, wzniesają zapał; romans »Łzy w oczach jój zabłysły« śpiew jego głośnym uczynił. — Zdaje się wszakże, iż w romansie tym jest więcej lekkiej radości jak tęsknoty i smutku. — Cieniowanie uczuć w śpiewie należy do wielkich i niepowszednich zalet tego miłego śpiewaka. — Pan German ma głos bardzo czysty i silny, wiele pochlebnej opinii zjednał sobie przez tę rolę — często nawet gra jego była śmielszą i stosowną. — Pan Lanckoroński tylko trzy razy dał nam się w tej operze słyszeć. — Trudno mu jest mimo szczerzej chęci, znaleźć

miarę w cieniowaniu śpiewu i gry, jednak postępuje na właściwszej drodze. — Rola Dulkamary mniejsza, grą tak znakomitego jak Pan Żółkowski, artysty, zrównała się z głównymi. — Życie i wesołość okrążają każdą scenę, w której Doktora widzimy — przebiegłość i dowcip w oczach i twarzy, żywo się malują — doskonały Szarlatan. Pan Bondasiewicz ciężko naśladuje swego rywala, głos bardzo mocny, grę niektórzy znajdują dobrą; niewiadać w niej wiele samoistności i potrzebnej szarlataneryi mniej rubasznej, ale praca i silna chęć zadowolenia są widoczne i zasługują na pochwałę — bywa nieraz przywoływany. Pan Stolpe Sierżant, okazał w małej roli wiele talentu; właściwą żołnierzowi śmiałość i dobry humor, oddaje z największą łatwością — głos piękny, bardzo czysty, szczególnie przyjemny w niskich tonach. — Pan Markowski przedstawia także tę rolę z zadowoleniem publiczności, dobrej gry wymagającej. — Wszyscy artyści znaczniejsze mający role, zasługują zawsze na przywołanie. — Wy-

stawa bardzo staranna — 90 nowych ubiorów i nowa dekoracya, przedstawiająca rynek miasteczka włoskiego, pięknie wykonana, jest pedzla Pana Głowackiego. — Tłumaczył operę — kilka początkowych numerów z włoskiego — ś. p. Ludwik Osiński — dalsze Pan Karol Kurpiński, Dyrektor opery, któremu niewiemy w jakich wyrazach należałoby złożyć podziękowanie, za tyle usług krajowej operze wyświadczonych.

Resztę dni do końca miesiąca Teatr był ciągle napełniony dla opery lub baletu, z których każde po sześćkroć stanowiło bardzo liczne widowisko — w pozostałych przedstawiono dramy dawniejsze.

---

TEATR ROZMAITOŚCI. — Tu zawsze szczerą wesołość, którą czasem przerwie zastanowienie, obawa o los szlachetnego kochanka i łaża współczucia, ale na krótko; — żart zręcznie oddany, przymówka choćby samej publiczności, sytuacya śmieszna, osuszy lub tę samą nieoschłą

jeszcze łzę czułości zamieni w łzę wesela. — W całym ciągu miesiąca zauważyliśmy przewagę komedyj lekkich, fars i wodewilów nad poważnemi dobrego tonu komedyo-dramami. — Gust słuchaczów zdaje się nieustalonym jeszcze. Ten sam bowiem amator salonowych intryg i pojmujący wyższy, umysłowy dowcip, dziś poklaskiwał z zapamiętem na Kwakrze, Hortensyi, Starszej Siostrze, jutro podnosząc się z krzesła, przyklaskuje na Ieku, Kwarantannie lub Kotce. Jakże więc podobnego amatora albo też publiczność z takich indywidualiów złożoną, uważać? Raz przychodzi usposobiony słuchać komedyi, która serce i umysł zająć potrafi, a krzywi się na każdy dwuznacznik, żart restauracyjny, kawalerski, drugi raz ziewa na prawdziwie pięknej komedyi, w której artyści używają wszystkich sprężyn swojego talentu, aby oddać, nawet podnieść, piękną, szczęśliwą, niepospolitą myśl autora, a rospięra krzesła od śmiechu serdecznego, kiedy ktoś powie w końcu ze znaczącym gestem *et cetera*. — Trudno ka-



łdemu i zawsze dogodzić. — Poważna komedia jest pokarmem umysłu, farsa czas szybko z przed oczu uprząta, a często pragnąłby nie jeden połknąć przewlekłą godzinę. — Dla tego obok np. Starszej Siostry, bywa Sekretarz i Kucharz — pierwsza więcej sentymentalna, niekiedy lekko wesoła, jak zakochany, rzadko oddający się zupełnej wesołości; druga niema na celu poruszać serca sprężyny, chociaż wszystko obraca się niby koło miłosnej intrygi, lecz dąży do wyprowadzenia na usta pustego śmiechu. — W takim układzie, smak delikatny i smak nieokrzesany lub kapryśny tylko, ma sobie zadość, byle umiał trafić na sztuki usposobieniu swemu odpowiednie.

Jak Teatr Wielki, nowem dziełem rozpoczął rok nowy, tak i Rozmaitości przysłużył się dość miłą komedyjką p. t. *Zoe* czyli Kochanek pożyczony; pokazuje się, że bezpiecziej pożyczać kochanka lub kochankę, jak żonę, i dla tego może, szczęśliwszą była mała scena, bo jej dziełko utrzymało się przez kilkanaście w ciągu roku

przedstawień. — »Płocha i szczęśliwa w podobaniu się dziewica, dla igraszki, różnaitości i próby, pozwala swemu kochankowi umizgać się i niby kochać w Zoe skromnej, nadobnej i prostej dziewczynie, którą jeden tylko poczciwy, ale niezachwycający miłuje dzierzawca. Wkrótce rodzi się obawa płochej kochanki, aby jej luby na prawdę nie przeniósł miłszej od niej Zoe, gdy nieszczęśliwy narzeczony dzierzawca rozpacza z zazdrości, widząc niestałość oblubienicy. Stąd wiele scen wesołych z położenia samego.« — O ile szczęśliwy pomysł, raczy sam czytelnik osądzić. — Tu idzie więcćj, jak przetłumaczył P. Lasocki. — W rzeczy samej dobrze i łatwo sztuczka napisana, niewątpliwie dla artystki francuskiego teatru, celującej w przedstawianiu charakterów naiwnych; u nas mamy Pannę Daszkiewicz zawsze bardzo szczęśliwą w podobnych rolach. — Możemy więc zapewnić, że było wybornie. — Miły głos, zgrabna figurka i twarz scenicznie ujmująca przy ozdobnym ubiorze, zachwycały za każdym razem. — Po

pierwszém przedstawieniu przywołano ją i zwykle dostępuje tego zaszczytu — często i Pan Panczykowski dzierzawca.

Tyle zyskał reportoar sceny, gdy sama scena okazała jedną tylko uczennicę szkoły, Pannę Annę Dobrzańską, potrzebującą jeszcze samych względnych uwag. — Tak tedy mniej nadzwyczajne wypadki, odznaczyły pierwszy miesiąc sceny Rozmaitości; za to pomyslność choć nie wygórowana, była stałą i pewną.

S K A L D.

---

Czy Hekla huczy po islandzkiej ziemi,  
Czy meteory rozniecają łunę,  
Czy oceany piersi falistemi  
Obejmą wyspę, Skandynawii trunę;  
Skald niezna trwogi, sam jeden żyjący,  
Odina głosem sen ludzki przerywa,  
I słodką pieśnią do życia wyzywa  
Świat umierający.

Skald woli swoje rozigrane wody,  
Małą ojczyznę, łódź nieubespieczoną,  
Niżli lądowe bez szczęścia swobody;  
On oceanom wiosłem roskazywa,  
A świat obwija melodyjną struną  
Jego pieśń wskrusza umarłe zapały,  
Wojennych braci ducha opatrywa  
I trzyma u chwały.

W tak dzikiej stronie, tak jest czułe życie,  
Na zimnie, serca niezastygło bicie.  
Nieraz pustynie islandzkie objawia  
Melodyą runy lub harmonią sagi,  
I nieraz fale atlantyckie pławia  
Lutnią skaldową opatrzone flagi.  
O rękę cudów, rękę niewstrzymana  
W dziele swego Pana.

W duszy Finlanda, Duńczyka, Bretona,  
Święte przybytki ma islandzkie pienie,  
Tak zimne słońce z nieżywego łona  
Wszech światom dawa ożywne promienie.  
Tak . . . . .

Ale są chwile, chwile dobroczynne,  
W których się dusza człowieka naprawia,  
W których i przyszłość swoje sny objawia  
I z marzeń sceny schodzą myśli czynne.  
Albo są chwile — których godłem stałość,  
Tu już los mniejszemu zda się berłem władac,  
Wtenczas dla cierpień człowiek ma zuchwa-  
— Przeszkoda upada — (łość,

W takiej Skald chwili, miał krok nad brzegami  
Kędy natura nigdy niekarmiona,  
Gardzi południem i jego kwiatami,  
Kędy do chudej skały przyczepiona  
Sosna skrzypiące wyciąga ramiona,  
Lub brzozy płacząc nad urną swęj ziemi,  
Niekiedy chłodne otaczają łona,  
Wiatrami szumnemi.

*T. Olizarowski.*

---

B A L L A D A.

---

W poranném stroju hoża i biała,  
Gdy prōmień lica różował,  
Nadobna Almy pazia ścisłała,  
Paż słodkie usta całował.

A dziki Baron, patrzył w milczeniu,  
Jak paź niewierną całuje,  
Dobywa miecza, miecz błysnął w cieniu,  
I krwawą zemstę gotuje.

Ale nieszczęsnych przeznaczeń losem,  
Gdy spieszno dążył morderca,  
Upadł, a oręż zabójczym ciosem,  
Wymierzył ostrze do serca.

I w dzień i w nocy, hoża i biała,  
Gdy płomień lica różował,  
Nadobna Almy pazia ścisnęła,  
Paż słodkie usta całował.

*Filliborn.*

---

## LUZY.

Jako mgła lekka, tak lekkie stroje,  
Obwiały postać.....

---

**TEATR WIELKI.** — Zaledwie oswoiliśmy się z tą myślą, że scena warszawska może wystawić z dokładnością i świetnie nawet, najpiękniejsze dzieła oper wielkich i baletów, gdy nowy utwór, jedna ze wspanialszych ozdób scen europejskich, ukazał się naszemu oku, nie aby zadziwić lub oczarować, lecz przekonać tylko, że każdą ze sztuk pięknych może-



my mieć u siebie poczętą i udoskonaloną. — Balet Sylfida zajaśniał na scenie. — Możnaż dostatecznie opisać utwory imaginacyi; obrazy poetyczne słabo tylko i niewyraźnie snują się po umyśle jak cienie; ubrane zaś w wyrazy, martwieją i stają się podobne woskowym grupom. — Niebędziemy więc malowali obrazów, aby ich życia i barwy, niepozabawie zimno-szczegółowym rozbiorem, liczby grupp, osób i ukrytych pod niemi myśli. — Jednej wszakże i głównej baletu tego ozdoby, niegodziłoby się pominąć; Sylfidą u nas jest Panna Karolina Wendt, dziś piętnastoletnia dopiero tancerka. Dosyć powiemy, że po Taglioni, mogła tę rolę przedstawić i zyskać oklaski.

Rolę Effi, mniejszą lecz ważną w pierwszym akcie, oddała Panna Gwozdecka, młoda lecz wykształcona artystka ze znanym dobrze publiczności talentem i szczególnym do pantomimy darem, oraz mocą w scenach wybornej gry i czucia wymagających. — Kochanka Sylfidy przedstawił P. Morys — jak? łatwa odpowiedź

jemu należy 'układ tego dzieła, pomysłu Pana Taghioni. — Dekoracją, wewnątrz chatki szkockiej wyobrażającą, malował P. Głowacki; maszynerye bardzo trudne urządził Pan Juty. — Ubiory w pierwszym akcie szkockie, piękne i pełne gustu — w drugim — »jako mgła lekkie.« — Rzecz cała w czarach gór Szkocyi nieodstępnych; muzyka wyborna, charakter przedmiotu malująca — Schneitzhöffera.

Na pierwsze przedstawienie, jak niegdyś Roberta, tak teraz Sylfidy, szedł każdy z nieufnością, ciekawy ujrzeć, godnieli tak piękny balet rozwiniętym będzie na scenie krajowej, lecz wszystko co znalazł, przeszło niewątpliwie jego oczekiwania. — Teatr był natłoczony i odtąd każde przedstawienie sprowadzało i pewnie sprowadzi zawsze mnóstwo widzów.

Od dnia 17 do końca Lutego, 4 kroć widzieliśmy Sylfidę.

Inne dni odznaczały się prawie wszystkie, niemniej świetnemi i licznemi widowiskami. — Publiczność nie miała powodu uskarzać się na

niedobór dzieł w każdym rodzaju. Jeszcze po  
dwa kroć powtórzono operę Robert Diabeł,  
z rokoszą coraz większą napawał się słuchacz  
tą niewyczerpaną w piękności muzyką. — Za-  
dne dzieło niewywarło tak silnego i stanowcze-  
go wpływu na smak ogółu, jak ta opera; nie-  
masz zdaje się nikogo z bywających w teatrzej  
któryby poprzestał na słyszeniu raz tej muzyki  
i niepojął bogactwa myśli choć jednego moti-  
wu. — Tak zaprawienie smaku na utworach  
wielkich i wzniosłych, otwiera bramy pojęcia i  
usposabia do zrozumienia i pewniejszego sądu  
o każdym innem, mniej lub więcej wzniosłem  
dziele. — Jakże już łatwo było słuchaczowi,  
który razem z Mejerbeerem wstąpił w ten wielki  
i uroczysty świat harmonii, pojąć lekką lecz miłą  
igraszkę wyobraźni Donizzetego. — Bez zmę-  
szenia i nudów jakby dla wypoczynku, bawił  
się wesołemi tematami Napoju Miłosnego, a  
choć z zapałem całej duszy podzielał niedawno  
wszystkie walki uczuć wielkiego kompozytora  
Roberta, przychodził chętnie i niegardził lżejszą

muzyką *Napaju*. — Jak literat wszechwiedny przeczytawszy i pojawiwszy poemat Byrona lub Götého, nierzuca wzgardliwych spojrzeń na książeczkę ballad i pieśni gminnych, ale ją czyta, uważa, rozbiéra i z niej także pokarm dla umysłu wyobraźni i serca wysączyć potrafi. — Trzykrotne też przedstawienie *Napaju*, jednako znaczną liczbę sprowadzało słuchaczów — armianny artystów wszystkie role przedstawiających, różną budziły zawsze ciekawość. Powtórzono nadto kilka dram dawniejszych, jako *Piętno*, *2 Więźnie*, *Parawiedes* i komedyj — *Wesele Figara*, *Córka Faraona*, *Pierwsza lepsza* i inne mniejsze. — Dokładne oddanie rol głównych zaciérało ślady dawności sztuk i zupełne jednako zadowolenie. — A tak było w ogóle siedm przedstawień baletów, oddzielnie lub łącznie z innymi dziełami, pięć oper, reszta same dramatyczne widowiska.

---

TEATR ROZMAITOŚCI. — Podobnie jak Teatr Wielki, odznaczył się doborem lepszych kome-  
dyj i wodewilów, i ciągle prawie licznie był od-  
wiedzany. Nowych sztuk z pomysływnym zupeł-  
nie skutkiem przedstawił dwie: jedną dnia pier-  
wszego miesiąca p. t. *Zbyt Szczęśliwa* w 1 akcie  
z francuskiego PP. Ancelot i Leroux; drugą  
dnia 25 samego Pana Ancelot także jednoakto-  
wą, wyższego rzędu komedią p. t. *Rozważne  
Małżeństwo*. — Pierwsza odznacza się dobrym  
smakiem, drobną lecz zręczną intrygą, jaką w  
komedyi jednoaktowej można zawiązać i rozwi-  
nać. — »Młode małżeństwo czule przywiązane  
»do siebie, delikatne i w kwiecie wdzięków, sa-  
»mém szczęściem, pieszczotami i zgodą, którą  
»bardzo rzadko małe zakłuczają nieporozumie-  
»nia, czuje się być *zbyt szczęśliwém* i dla tego  
»nieszczęśliwe.« Potrzeba czegoś, coby życie,  
namiętność jaką; obudziło w téj obumarłej je-  
dnostajności. »Zjawia się wuj mający młodą i  
»miłą żonę, który namawia Edmunda *zbyt szczę-  
»śliwego małżonka*, aby na chwilę udawał mi-

»łość ku jego żonie. — Obudza to w Zofii zazdrość, gniew i burzę w domu, po której naturalnie słodsza następuje pogoda.« — Niebardzo wprowadzie nowy pomysł zawiązku intrygi, ale pod dosyć zręcznem i gładkiem piórem, wiele się odświeża, — Tłumaczenie bardzo łatwe i dobre — tłumacz znany publiczności z dobrego smaku i stylu, jest niby tymczasem *bezimiennym*. — Gra wszystkich artystów była właściwą i znacznie podniosła wartość miłej, lubo nieuderzającej nadzwyczajnością, komedyi. — Panny Daszkiewicz i Dobrzańska, pierwsza *zbyt szczęśliwa*, druga powód zazdrości, a potem ożywionego szczęścia, są już artystkami ustalonej opinii. — Panna Daszkiewicz zawsze bardzo przyjemna i naturalna. Panna Dobrzańska wiele postąpiła od zeszłego roku — gra łatwiejsza pełna stosownego czucia, wypracowanie deklamacyi zamieniło ją w naturalną mowę. — Pan Jasiński mąż, był zupełnie na swoim miejscu. Pan Karasiński wuj, przytalencie coraz więcej uprawianym, w rolach te-

go rodzaju jak i wielu innych, niezawodzi nigdy pochlebnego o sobie zdania.

*Rozważne małżeństwo*, jedni radziby widzieć *rozważonem*, drudzy *rozsądnem*: małoznaczące żądania a dostrzeżenie nadto spekulacyjne i drobiazgowy. — »Młoda wdowa, piękna, bogata, zawiedziona w nadziejach w pierwszym małżeństwie, postanawia zawrzeć drugie, nie z miłości — ale z *rozmyśtu* — szuka człowieka, któryby umiał ocenić przymioty jej duszy i serca, nie zaś wdzięki; — stara się tedy ukrywać twarz piękną i rozsiewa fałszywe wieści o złym stanie interesów majątkowych — znajduje człowieka rozsądnego, zimnego, niby *bezinteresownego*, który ją pragnie poślubić *dla spekulacyi* i przyrzeka mu rękę. — Tu jest już prawie połowa sztuki, która przy najwyborniejszej grze Pani Halpert — (wdowej) ledwie zajmuje — dalej trochę ożywienia i postępu. — Młody pułkownik (P. Komorowski) dowiedziawszy się o dziwactwach ukrytej piękności, podstępem wkrada się do domu wdowej Pani Nel-

mor i tam niefracąc czasu, po krótkich przeprosinach, oświadcza się;— gniew, oburzenie, trwoga nawet, wszystko to ustępuje i rospływa się pod ogniem wymowy, prawdziwej, bezinteresownej miłości, skoro Pani Nelmor przekonała się o wyrachowaniu szacunku wybranego przez się narzeczonego. — Od chwili zjawienia się w domu Pułkownika, sceny jedne po drugich bardzo zręczne, żywe i zajmujące — jednak pół godziny trzeba czekać cierpiwie. — Ile można wydobyć z roli, ile podnieść, ubarwić, talent Pani Halpert rozwija — ale sztuka, obok całej przyzwoitości, rozsądku, jest mdła spekulacyjnie. — Pan Ancelot, niedługo pożyje przy swoim jesiennym humorze, który słaby, wymuszony, jak słońce jesienne ożywia dowcip. — Aby tego rodzaju salonowo-matemacznego komedye wzbudziły zajęcie, potrzeba doskonałych artystów i na nich spoczywa los sztuki. — U nas podobała się, bo uczyniono wszystko, co można było uczynić. — Pani Halpert wyszczyła wszystko, a nawet pootwierała nowe źródła.—



Pan Komorowski, pułkownik, trzpiot, dobrego tonu, z zupełną naturalnością i w sposób jego stopniowi odpowiedny, pojął żywy charakter.— Pan Karasiński rozważny, przemyślny kochanek. — Recenzenci uważali w tym człowieku niedołęgę, karykaturę, rozlazłego adonisa — my znajdujemy tylko przezorność i spekulacją — żadnego niedołęstwa ani nudy. — Przy rozwadze niekoniecznie należy być powolnym, cedzić wyrazy. — Jakby rozsądek zimny, przebiegłość, mieściły się tylko w ocieężałym i nudnym flegmatyku. — Dobrze przyjęcie całkowicie należy się grze — nie saméj, choć rozważnie napisanéj sztuce.

*Zbyt Szczęśliwa* dana była czterokroć — *Rozważne Matżeństwo* dwakroć, bo już w końcu miesiąca przyszło na świat. — W ogóle przedstawiono sześć komedyj wyższego rzędu, prawdziwie pięknych jak *Księżna*, *Malwina*, *Hortensya* i t. d. dwanaście innych zawsze dobrych jak *Krzyżyk Żłoty*, *Kominiarz*, *Wybór*, *Estella*, *Kto Kocha* i t. p. i sześć wodewilów lub fars

ciągle z jednako-żywem upodobaniem *walczą-*  
nych, jak Mina, Antoni, Dwa pojedynki, Icek.  
Reszta niepoliczona w wyżej pomienione od-  
działy, okazuje się na scenie dla towarzystwa  
innym, lepszym; są one podobne do pośledniej-  
szych towarów w sklepie, które zajmują miejsce  
na półkach, łądzą przechodzących masą i roz-  
kładają się przed kupującymi na początku, aby  
prawdziwie lepsze towary, lepszymi się jeszcze  
wydały — i te są bardzo potrzebne, znajdują  
czasem niewymyślnych kupców i uchodzą za  
dobre w swoim kole,



TRZY OBRĄZKY.

---

1.

Matka, krewni, brat, kochanek:  
Otoczyli ją w około.  
I na białe jak śnieg czoło,  
Zawiesili z mirtu wianek.

Lubym wstydem skrzy źrenica,  
I rumieniec bił na lica;  
Ogień w żywej tlał iskierce,  
Czyste, młode drżało serce,

Nietrąciła go pierś gadu,  
O! bo ona niepoznała  
Roskosznego świata jadu,  
Dla niej szczęście, rokosz cała.

Matka, krewni, brat kochanek,  
I mirtowy ślubny wianek.

2.

Mrzy się w cieniu lekko drżące,  
Światło śmierci konające,  
Chłodny wietrzyk lekkim tchnieniem,  
Przez otwarte dmie okienko,  
Z bojaźliwem zda się drżeniem,  
Chwieje listkiem i sukienką.

Krucze włosy dał na wolę,  
I po bladym rozwiął czole.

Drobna rączka, nóżka mała,  
Zimna nóżka, rączka chłodna,  
Usta blade, smutna cała:  
Lecz choć smutna, tak nadobna,  
Ze gdy patrzę na jej lica,  
Obraz śmierci myśl zachwyca.

3.

Tęskny, dziki, skon natury,  
Cień zadrzemał snem głębokim,  
Wyblakany z siwej chmury,  
Księżyc *trupiem* patrzył okiem.

Szumiał skrzydłem ptak złych wieści,  
Nad mogiłą zawieszony,  
Piosnkę krzyku i boleści  
Na chrapliwe łamiąc tony.

Drugi bieleł już zaranek,  
Dzwon klasztorny brzęczał w dali,  
Matka, krewni, brat kochanek,  
Po-nad dołem smutni stali.

I ostatnią śląc ofiarę,  
Tak jak ona błdzi, niemi,  
Porzucili garstkę ziemi,  
I łez parę.

*S. Filliborn.*

---

Ł E Z K A.

---

Na kwiat pamięci, upadła łezka,  
I cicho na listku drzała,  
Wtém skonał dzionek, rosa niebieska  
Co ogniem perły błyszcziała.

Dumna urodą, z pogardą w oku  
Przerywa groźno milczenie,  
»Czemuż tak blisko przy mojem oku,  
To biedne padło stworzenie.«

Zadrżała łezka, gdy strach ominął,  
Skrzyła się w głębi kielicha,  
A dobry kwiatek listki zawinął,  
I znów zadumał się zcicha.

I tak samotny czekał noc całą,  
Aż błysło zorze białawe,  
Rozwinął listek rosę zdumiała,  
Z uśmiechem rzucił na trawę.

A drobna łezka została w łonie,  
Boskie napawa go tchnienie,  
Kwiat przyjemniejsze wydaje wonie,  
I żywsze zdobią go cienie.

T e n Ź e .

---

OPIS OSTATNIEJ SCENY Z DRAMMY:  
CZEMUŻ NIE BYŁA SIĘROTA

---

Gdzież jestem? czyż już ziemskie opuściłem strony,  
Śpiew okropny, a w śpiewie harmonijne tony,  
Wszyscy milczą, tak cicho, a chociaż skończyła,  
Jeszcze każdy ją słucha, jeszcze nuta miła  
Dzwoni słabo w powietrzu i słabięj, i głucho,  
Słucha dusza i serce, choć nie słyszy ucho,  
Patrzcie! promień nadziei rozjaśnia jej lica,  
Łza błyszczy, łza tak czysta jak promień księżycy;  
Łza jest obrazem duszy, dusza udręczona,  
Maluje bóstwa wdzięki, tém bóstwem jest Ona. —  
Błada, — odgarnia z czoła misterne pierścienie,  
Słucha — milczy — zdaje się, że życia istnienie  
Przysłumiała na chwilę, każde serca bicie,  
Każden szmer: ale ciszej, ciszej, czy słyszycie?  
„Tam, tam, to on mnie woła“ — i bieży strwożona,  
Staje na brzeg przepaści, wtém — spada zasłona;  
A krzyk głuchy, przeciągły, stłumiony.....  
Sk nał w sercach słucha. zy.....

T e n ż e.

## MARZEC.

Słońce z początkiem wiosny

Śmielej się wznosiło...

(Fragment.)

---

**WIELKI TEATR.** — Miesiąc ten zeszedł więcéj na widowiskach dramatycznych i operach, jak widowiskach pantomicznych. — Rozpoczęto od dramy: Honor mojej matki, którą kilkakroć widzieliśmy w przeszłym roku, a którą lepsza gra od samego dzieła, w témże samém świetle utrzymała; — w kilka dni dano od 9ciu lat znaną melodramę, *Jest temu lat Szesnaście.* — Dzieło



to bardzo długo mogłoby sprowadzać widzów, gdybyśmy w gronie publiczności naszej mieli więcej amatorów, pięknych myśli, stylu, scen efektowych i gry doskonałej, jak coraz nowych intryg dramatycznych. — Po tylu dramach, melodramatach i komediach wyższych, niepowinno być, zdaje się, żadnego słuchacza, któryby z pierwszych kilku słów a przynajmniej scen, nie odgadł ogółu intrygi i końca; a przecież każdy prawie woli pójść na nową sztukę, choćby jej autor nie wiele poprzednią sławą obiecywał, przysłuchiwać się nowym kombinacyom do jednego zawsze wypadku prowadzącym, jak widzieć razy kilka to samo, co go już raz zajęło, czucie w nim obudziło i nie w jednym oświeciło. — Nowa powiastka prędko znajdzie słuchacza lub czytelnika, rzecz dawna ale dobrze pomysłana i z talentem rozwinięta, choć jej wielu jeszcze dobrze niepojęło, już trzeci i piąty raz rzadko sprowadzi. — Mieliliśmy i kilka innych dramatów, których gra wykończona stanowi całą wartość.

Oper było pięć — *Niema, Poczytlion, Jan z Paryża* i dwakroć *Napój Miłosny*. Oba razy w Napoju, Adinę przedstawiła Panna Paulina Riwoli, znacznie już wykształcona artystka, skoro mimo niedawne wyjście ze szkoły, otrzymuje główne role i w nich śpiewem, czuciem i grą śmielszą zasługuje na zupełne widzów zadowolenie. — Z baletów powtórzono dwa razy *Sylfidę*, raz *Styryjczyków* z wielkim ciągle zapalem przyjmowanych i *Młeczarkę Szwajcarską*. — Na piątym przedstawieniu *Sylfidy* dnia 5 t. m. uwaga publiczności była rozdzieloną na scenę i widownię. — Na scenie, młoda *Sylfida* Panna Wendt — w widowni, sama twórczyni tej roli, *Marya Taglioni*. — Ważna i trudna to była chwila dla poczynającej tancerki, ukazać się przed publicznością i zyskać jej zadowolenie, kiedy każdy zwracając oczy to na *Taglioni*, to na scenę, uprzytomniał sobie żywo najmniejsze poruszenie, najmniejsze załamane rąk wielkiej artystki i porównywał z usiłowaniami młodego, wzrastającego dopiero talentu. — Jednak pra-

wdziwa zdolność, choć niewyrówna od razu wzorowi swemu, potrafi zawsze dać się łatwo ocenić i zasłuży na oklaski. Nie sama publiczność gotową była do oddania sprawiedliwości naszej Sylfidzie, wszystkim artystom w balecie udział mającym, oraz dokładności i wybornemu gustowi całej wystawy, ale i artystka, której zdanie w tym razie może być stanowczém, znalazła ogół i wszystkie szczegóły, nieustępującemi w niczem wystawom najpiérwszych stolic Europy — oświadczyła owszem, że oprócz powstających dopiero i wykształconych już artystek, *corps de balet* warszawski jest lepiej jak gdziekolwiek urządzonym i wyuczonym.

---

TEATR ROZMAITOŚCI. — Przez cały miesiąc panował więcej śmiech głośny i serdeczny jak u śmiech etykietalny. — Kilka tylko dano komedij poważniejszych, w których Pani Halpert główną rolę zajmuje; reszta wesołe wodewile, po większej części grą Pana Zółkowskiego rozśla-

wione — a choć je często widzimy, zdają się  
wszakże nietracić świeżości i bawią najweselęj  
publiczność. — Ukazał się także raz jeden  
*Quodlibet*: Nowy Teatr — znany już od otwar-  
cia dawnego teatru Rozmaitości w dzisiejszym  
gimnachu widowisk. — Złożony z wybornych  
scen rozmaitych komedyj, wyjątków z oper i  
tańców, sprowadza zawsze mnóstwo widzów. —  
Po Pannie Emilii Werowskiej, subretkę z kome-  
dyi Wuj i Siostrzeniec, wierszem Jasińskiego,  
przedstawiła Panna Borkowska, do chórów ope-  
ry należąca. — Ze nieśmiałość poprzedzała kro-  
ki i słowa nowęj subretki, nie dziwnego — je-  
dnak w ogóle, źle nie było. — Przydano jedną  
scenę z melodramy Gałganduch — składali ją  
Pan Żółkowski, Panny: Paulina Riwoli i Marya  
Turowska. Niepotrzebujemy już dodawać, ja-  
kie było przyjęcie téj nowęj sceny *Co kto lu-  
bi* — ożywiał ją wyborny komik — w końcu  
z wrzawą największą, jednogłośnie przywołano  
wszystkich i oddzielnie PP. Żółkowskiego, Ja-  
sińskiego i Pannę Trawnę. — Dwie jeszcze rol

zmiany zajęły w tym miesiącu publiczność, z upodobaniem śledzącą wszystkie kroki postępu sceny. — W Bankocetlach, po ś. p. Baranieckim przedstawił korzystną rolę prowincjonalnego aktora Pan Zólkowski: — w drugim akcie przebrany za kobietę już niemłodą — wybornie naśladował ruchy i maniery niewieście — a wyniosła postawa artysty, przybranego w suknie kobiece, rozśmieszała swym niepospolitym wymiarem. — Nadto Sielanka Nowy rok doczekawszy 50tego przedstawienia w dniu 13 tego miesiąca, ukazała już po raz drugi nową Magdę w Pannie Radzyńskiej. O ogólnym jej postępie namienimy w właściwem miejscu, tu oceniając grę artystki w téj jednej sztuce, przyznajemy, że przewyższyła oczekiwania widzów. — Jakkolwiek nieodmawiano jej dotąd zdolności, ale w tym razie, prędzej jak mniemać mogliśmy, trafiła Panna Radzyńska na rodzaj wdzięczny bardzo dla siebie. — Była naturalną, śmiałą, w łamaniu języka do narzecza mazowieckiego zupełnie szczęśliwą. — Jedną tylko postrzegli-

śmy różnicę w przyjęciu i oddaniu charakteru Magdy przez Pannę Radzyńską i dawniejszą artystkę. — Humor jednej i drugiej wesoły, jak rola wymagała — ale w pierwszej więcej łagodności, dziewczęta wiejskie odznaczającej, w drugiej więcej życia i otwartości. — Z ruchów i głosu sądząc, dzisiejsza Magda niepuściłaby bezkarnie swego kochanka, gdyby słowa śmiała nie dotrzymać i byłaby pewnie samowładną panią w domu swoim; pierwsza zaś pocieszałaby się łzami w nieszczęściu.

Oprócz więc poważnych komedyj wzorowo odegrywanych, kilku niby komedyj — raczej dram na małą skalę, same wodewile panowały na scenie. — Do najbardziej lubionych należy jeszcze Zachód, Mina i Icek. — Ostatni *Żart* może *niewczesny* więcej nawet w tym jak w przeszłym roku znalazł zwolenników. — Zajmuje w nim wielec między innemi, dodatek przez Pana Panczykowskiego wtrącony — z widowiska starozakonnych w tym roku, po kilkakroć przedstawionego. — Rzadki to był wypadek

dła Warszawy, i artysta nasz szczęśliwie umiał korzystać z okoliczności. — Deklamuje on ustęp z dramatu »Józef w Egipcie« po żydowsku, tak zręcznie naśladując śmieśzności wymowy pełnej przesady, że i niewychodzi całkiem z granic prawdy, i każdego choćby sensanta zdoła rozśmieszyć. — Do dobrego przyjmowania *Zartu*, przyczynia się także wiele bardzo, miła gra Panny Pauliny Riwoli.

---

## MELODYA Z MOORA.

---

W pierwszém życia świtaniu, gdy jego tęsknoty  
Nieznane, a uciechy czysty blask odziewa,  
Gdy w świecie naszych rojeń błyska ranek złoty,  
A z niego płynie światło co nasz byt obléwa:  
O! nie wtenczas to, wierz mi, nie w tój szczęsnej

(porze,

Można kochać, jak w mniejszych uniesień godzi-  
Uśmiału i radości najpiérwsze to zorze, (nie,  
Lecz czucie najgorętsze, gdy już wiosna minie.

Wtenczas, gdy blask młodości znika już za nami,  
Jak listek na strumieniu, co nigdy niewraca  
Gdy czary, co pryskała roskoszy iskrami,  
Nektar młodych nadziei więcéj niepozłaca;  
Z rzewnością, co się nigdy z radości nierodzi  
Głębokie, silne czucie w piersiach się odzywa,  
Miłość szczęściem karmiona, jak szczęście uwodzi,  
Gdy powstanie ze smutku jak smutek prawdziwa.



W krainie pysznej—słońca, choć dni tak iskrzące,  
A przecież piers jej kwiatów zwiędły zapach roni  
Nasza mgła, nasze niebo chmurne i płaczące,  
Wlewa w czyste ich łono, całą pełność woni.  
Tak i czucie namiętne błysnie śród radości,  
Ale miłość prawdziwa, w cierpieniach poczęta,  
I chociaż często uśmiech daje byt miłości,  
Cała dusza jej szczęścia, w łzach tylko zamknięta.

*J. Korzeniowski.*

---

PIOSNKA Z TRAJEDYI

p. t. DYMISTR I MARYA. (a)

---

Bujał wietrzyk po dolinie,  
Łagodny i świeży;  
Uniósł ziareczko roślinie,  
I posiał na wieży.

---

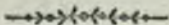
(a) Znajomą jest każdemu treść Maryi Malczewskiej — uboga szlachcianka przeniesiona z skromnej chatki do pysznych pałaców, tam znalazła śmiertelne gromy i pioruny dla siebie.

Ziarko pięknie się przyjęło  
Wysoko wszczepione;  
I pod niebem rozwinęło  
Gałązki zielone,

Biada ci drobna roślino!  
Zle ci rosnać w górze;  
Tam ogniste chmury płyną,  
Tam gromy i burze.

Lepiej było przy dolinie,  
Gdzie się strumyk wije;  
Gdzie łagodny wietrzyk płynie,  
Gdzie piorun nie bije.

T e n ż e.



FRAGMENT Z ELEGII NA SKON 17LETNIEJ DZIEWICY.

---

Jesiennego zniknięcie kwiatu, o płacz nas nie  
(woła,  
Zachód słońca nie smuci, nie dziwi ruin upadek;

Lecz jeżeli wiosenny datek, co tyle był miły  
Marnie jest nam wydarty, jeżeli błogi poranek  
Gubi urok swój w chmurach, i dzieło młode ma

(koniec;

Jest-że kto na poziomie, któryby westchnień nie

(wzbudził?

Ciężkiej skargi nie rzucił na losu niesprawiedli-

(wość?

Piękna dziewico, tobie błędny świat zniknął na

(zawsze,

Krasę wziętą u słońca, ciemnej ziemi zwierzyłaś  
Serce, przybytek uczuć, nieczułym prochom

(oddałaś; —

I gdy badamy w rysach twych, życia pięknych

(uśmiechów,

Ty nam jakieś nieznane, surowe lica przedsta-

(wiasz,

Jakieś blade, wiecznie myślące, a bez myśli czoło,

Oczy bez światła, bez łez tłumaczyów duszy,  
(źrenice,  
Usta bez ruchu i postać niczym już nieożywiona.

.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
Piękna dziewico! czemużes z okiem zamkniętym  
I na płacze domowe, i na żale sąsiednie  
Niedającą powrotu, tak długą drogę obrała?  
'A uchodząc jak anioł ziemi, do krain wysokich  
Ducha burzy posyłasz w ciche progi rodziców—  
I jakby igrając z ich szczęściem, to dziś nawet  
(odbierasz  
Coś dla nich, na ołtarzu wdzięczności, przedtem  
(składała.

.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
Tak kwiat do pół rozwity, kiedy dla oblubieńca  
Niesie woń w krasie świeżości, usycha zwodząc  
(nadzieje.

*T. Olizarowski.*

# KWIECIEŃ.

Zawcześniej kwiatku, zawcześniej,  
Jeszcze północ mrozem dmucha,  
Z gór białe niezszły plśnie,  
Dąbrowa jeszcze niesucha: —

. . . . .  
. . . . .

Lepsza w Kwietniu jedna chwilka,  
Niż w jesieni całe grudnie.

(Pierwiosnek.)

---

WIELKI TEATR. — Pierwsze dni wiosny przynoszą nam w upominku, zawsze jakiś kwiat, choć często zwarzony jeszcze mrozem. — Tak dnia 1 ukazała się nowa komedia w dwóch aktach p. t. *Prawo Angielskie*. — Pominiemy opis jej treści i rozbiór wad albo zalet, bo zdaje się przyjęcie jej w ogóle nieco obojętne, odbiera nam prawo rozszerzania się nad dziełem. —

Po przedstawieniu, przywołano PP. Werowskiego, Jasińskiego i Pannę Dobrzańską, jako zasługujących niewątpliwie na oklaski za grę dobrą zupełnie. — Żądano wiedzieć imię tłumacza dla dobrego przekładu i był nim Pan Jasiński.

Od pierwszej chwili, aż do ostatniego dnia tegoż miesiąca, teatr był dosyć licznie odwiedzany, z wyjątkiem dwóch może widowisk. — Przeplatano opery większe i mniejsze baletami najlepszemi naszej sceny. — Robert podwakroć zachwycał swemi pięknościami — Napój trzykroć rozweselał — jak niemniej Włoszka Rosyniego, Jan z Paryża, z dawną lecz piękną muzyką i Gulnara, którą wsparł z jednej strony ubiony wodewil Icek, z drugiej balet Wesele w Ojcowie. — W Robercie, świeżo wykształcony artyści, oprócz P. Żylińskiego, przedstawili główne role. — Panna Paulina rolę Izabelli po Pani Rywackiej, Panna Marya Turowska, po Pannie Ludwice Riwoi, Alicyi, i Pan Stolpe Bertrama, po Panu Markowskim. — Księżna Iza-

bella miała stosowną powagę, i gra jej, choć poczynając, nieponiżyła pięknej roli. — Śpiew wszędzie a szczególnie w aryach drugiego i czwartego aktu przyjęto z zupełnym zadowoleniem. — Alicya śmielsza w gestykulacyi, lubo niemogła z taką łatwością jak jej poprzedniczka, pokonać, mianowicie w wysokich tonach, trudności, których autor nieoszczędził w swęj kompozycyi, zyskała zasłużenie niejednokrotne oklaski. — Panu Stolpemu niemamy nic do zarzucenia — śpiewał bardzo ładnie, grał dobrze, bo ma wiele zdolności i wprawy nabytej w komedjach i dramach — za młodym jest wszakże na tak męczącą rolę, gdy Pan Markowski w dojrzałej sile wieku, właściwie charakter ten przedstawiał zawsze. — Wszyscy artyści (i P. Zyliński) sprawiedliwie przywołani byli. — Napój ciągle się podobał — a wszystkich niemal artystów mile w każdej roli widziano. — Włoszka jest obszernym polem do okazania pięknego kontraltu Panny Józefy Turowskiej — Jan z Paryża i Gulnara dla Panny Pauliny Riwoli.

W przeciągu kilku miesięcy, już tyle widzieliśmy dzieł nowych, a w ich liczbie dwa wielkie balety; teraz znowu na dzień 21 przygotowano nieznaną całkiem tutejszemu scenie, balet p. t. *Amazylla* czyli *Małpa i Dziecię* w 3ch aktach. — Główną rolę z kobiet przedstawiła Pani Koss wybornie pod każdym względem: Panna Trawna, jakieśmy już namienili, zasługuje na pochwały i tu Dyrekcyja Teatrów, pomagając młodemu talentem wczesnie rozwijać swe siły i częściej ukazywać się widzom, poruciła jej piękne pas, w którym zjednała sobie artystka zadowolenie. — Małeńka pięcioletnia Józia Żarnowiecka, w roli dziecięcej ale trudnej, okazała wyższą nad wiek przytomność i zręczność. — Inne tancerki, czasem w *kordebale* (corps de balet) czasem w solowych tańcach występujące, zwracały uwagę. — Z mężczyzn Pan Morys w roli serio, a Pan Karrel *Małpę* przedstawiając, odbierali oklaski. — W przeszłym roku wspominaliśmy o Panu Karrel, jako o tancerzu grotesk, w gościnnych ro-



lach występującym, dziś należy on już do składu warszawskiego baletu i przedstawia role komiczne. — Wielka siła, zręczność i rzutkość w skokach. — Taniec jego w tym baletcie podobał się bardzo. — Panu Morys winni jesteśmy układ każdego a tém samém i tego dzieła, kompozycji Pana Taglioni z muzyką Lindpaitnera. — Kilkakroć jeszcze powtórzony w ciągu roku, sprowadzał dość znaczną liczbę słuchaczy, zadowolanych zupełnie wykonaniem rol pojedynco i tańców głównych.

O artystach, którzy w przejeździe dali się słyszeć, wspomniemy w dodatku. — Widzieliśmy nadto ostatniego dnia, nowego Edgara Rewenswood — w osobie P. Józefa Sturma, ucznia dramatycznój szkoły. Grę jego i zdolności ocenimy po trzech pierwszych próbach.

---

TEATR ROZMAITOŚCI. — Przedstawił jedną tylko salonową komedią — *Starsza Siostra* — kilka choć niemodnego świata, lecz wyższych a pię-

knych komedyj — jako — Kominiarz, Estella, Stara Romantyczka i dramę, Włóczęga, w której wszyscy dawni, oprócz Panny Dobrzańskiej, dobrze przedstawiającej rolę matki; cały zresztą miesiąc był powiększėj części zajęty wesołeni bardzo wodewilami lub komedyjami. — Szczególny panował humor, nie kwietniowy dżdżysty, lecz jasny i wypogodzony jak nadchodząca wiosna; Landara, Bankocetle, Nowy rok lub Jedna Chwila i tym podobne utwory, które lubo lekką mają wartość w literaturze, na scenie i dla widzów są atoli bardzo potrzebne. — Co do dzieł nowych, niewątpliwie Kwiecień był najszczęśliwszy. — Pierwszego dnia ujrzelśmy przyjemną i zręczną komedyo-operę — choć już dawniej znaną, lecz dzisiaj całkiem odnowioną, bo pióra innego tłumacza, P. Jasińskiego. *Adolf i Julia* czyli *Osobliwi Więźnie* dobrze przyjęta z początku, jeszcze kilkakroć mile zajmowała publiczność. — »Młodzi małżonkowie, korzystnej powierzchowności, dziecinni w szczęściu i słodyczach życia, uczuli potrzebę

poróżnienia się jakimbądź sposobem. — Przy szczerzej chęci, znajdą się zawsze powody do niesnasek. — Mąż oskarża żonę, choć sam niewie o co, przed Stryjem *podobno* Ministrem, i ten skazuje winną na wygnanie do zamku jakiegoś swego znajomego na wsi. — Żona znowu ze swęj strony już jako kobieta — przebieglejsza — nierównie zręcznie obwinia przed tymże Stryjem Ministrem, męża o *wielkie* zbrodnie — i mąż zostaje skazanym na wygnanie do tegoż samego zamku. — Tak niby rozdzieleni małżonkowie, nieszczęsnym czy szczęsnym trafem znajdują się znowu w tych samych murach. — Tam dopiero słuchacze, przekonali się o innych wadach, obojga wygnańców, o wadach, jakich sami małżonkowie w sobie niepostrzegli dotąd, a przecież były to wady, od których żadna może kobieta, ani mężczyzna wolnemi być niepotrafią. — W żonie zalotność, przy ścisłej moralności, a stąd łatwe przejście do niewiary — w mężu niestałość dla żony, choć ją bardzo kocha. — Kilka scen gniewu, porozumień się, kłó-

tu i pieszczot i znowu kłopotów, kiedy mniemany dozorca więzienia i sam pan zamku niepozwalają na widywanie się więźniów, uważając ich niby za obcych sobie, nie zaś za małżonków — kończy się jak w komedyi zgodą i morałem.« — Gra obu małżonków (na scenie) Panny Daszkiewicz i Pana Jasińskiego, była zupełnie właściwą — w śpiewkach zręcznych i dowcipnych oboje zyskiwali wielkie zadowolenie. Pan Panczykowski mniemany dozorca więzienia (niegdyś rola ś. p. Żółkowskiego) szczęśliwie umiał połączyć surowość nowego obowiązku z wrodzoną, rzeczywistemu jego charakterowi, dobrocią serca. — Pan Szymanowski, właściciel zamku, w podobnych rolach jest na swoim miejscu. — Trzej pierwsi artyści zwykle na przywołanie zasługują. — W środku miesiąca, dnia dwunastego, przedstawiono wznówioną komedya — *Anglik* czyli *Cłupiec rozumnny*. — Treść sztuki ma swoją moralną naukę, lecz choć ją tu pominiemy, nie będzie miał czytelnik dostatecznego powodu, oskarżać nas,

żeśmy przez niedbałość niezaspokoili jego ciekawości. — Anglik, Pan Werowski, jako znakomity swego czasu artysta, dzisiaj, śmiało możemy zapewnić, grą swoją podniósł wartość sztuki, która za każdym przedstawieniem bawiła słuchaczy. — Pan Skomorowski w roli chłopca oberży zasługuje na pochwałę, choć mu jęj dotąd, przez zapomnienie, żadne pismo nie oddało. — Role niższego rzędu, *Niehołaterskich Kochanków*, prędzej rozwiną jego usposobienia, w nich bowiem ruchy, czasem za ostre, krytyce niepodlegają.

Największą ozdobą miesiąca i roku, nawet sceny różności, jest bez zaprzeczenia — komedyo-opera w jednym akcie z francuskiego tłumaczona, przez Pana Kassyanowicza, pod tytułem: *Bięduj Rybak*. — »Szymon, rybak i przewoźnik, mieszka nad zatoką morską; człowiek nieoświecony wiadomościami naukowými, lecz serca pełnego szlachetności, umysłu wyższego, który przy okolicznościach sprzyjających, zyskałby uwielbienie więcéj może jak jednego oj-

ca, brata lub rodziny, że jej ostatnie dziecię wyrwał z toni morskiej — Szymon odważny, gotów poświęcić własne szczęście dla przyniesienia ulgi cierpiącemu, mówię własne szczęście, bo życie mniej jeszcze cenił i narażał je prawie codziennie na niebezpieczeństwo — taki Szymon jest biednym dla tego tylko, że niema majątku, ale nie jest żebrakiem, nędzarzem — nie szuka dostatków — bo na wstępie odzywa się nótą z Niemiej z Portici (w pieśni rybackiej): »mam z pracy kawałek chleba — i za to niebu składam cześć.« — Człowiek tyle szlachetny, może tylko czystą miłość pojmuwać — a jakiegokolwiek ogarnie go uczucie, ogarnia go całą swą siłą i trzęciem przytłumić się nie da. — Szymon pokochał nieznajomą, którą tylko w kościele, zdala widywał, odżywiał się na jej widok, wrodzona odwaga wzrastała olbrzymio w jego sercu, karmiona uczuciem miłości. — Los zdarzył, że się stał wybawcą od śmierci, kochanki i jej ojca bogatego kolonisty. — W nagrodę poświęcenia, Szymon otrzymuje rękę Ludwiki, ko-

chającej oddawna skrycie, przyjaciela młodości, który od kilku lat zniknął i był już miany za straconego dla niej i dla rodziny, gdy przypadek sprowadza go w te strony w sam dzień wesela. — Sierżant daje się poznać rywalowi i stąd rodzi się kilka scen bardzo zajmujących a nawet teraz dopiero interes się wzmacnia. Od tej chwili, aż do samego końca, jedne po drugich sceny wyborne. Kłótnia z sierżantem kończy się jego odejściem z groźbą. — Nagle powstaje krzyk nad brzegiem morza, wicher gwałtowny unosi zuchwałego żołnierza, który nie chcąc czekać przyjaznego wiatru, sam wziął się do steru łódki. — Na wrzawę — wybiega Szymon tam gdzie słychać głos wołający ratunku, rzuca się za nim wtenczas właśnie, kiedy był u kresu swoich najdroższych marzeń, kiedy miał podpisać kontrakt ślubny — i ocala życie rywalowi, — a widząc radość Ludwiki z powrotu sierżanta, a potem łzy jej — postanawia zrzec się ręki tej, którą kochał nad wszystko, dla jej szczęścia. — W kilku miejscach niezgadamy się z autorem

pięknej komedyi lub z tłumaczem. — Ludwika, Bohatérka, chociaż biedny rybak znosi cały ciężar sztuki, powinna być zawsze osobą dobrze do intrygi wplecioną, bo bez niej niebyłoby *Rybaka* — jest wszakże ledwie przyklejoną, nie prawie niezajmującą — stoi po pięć i więcej minut na scenie, nienależąc do niczego — musi kręcić fartuszkem i spuszczać oczy dla zabicia jakkolwiek czasu, nim autor przypomni sobie, że wypada jej mowę rozwiązać; — najdoświadczeńsza artystka byłaby w kłopotcie, co z sobą począć w takich próżniach. — Sześć scen początkowych do wejścia Sierżanta, schodzą na długich rozmowach, a zawiąsku intrygi niewiadać. — Wreście szlachetny rybak, przy całym poświęceniu, zostaje skazanym na modły za szczęście rywala i ustąpiłonej oblubienicy. — Wprawdzie może on znaleźć nagrodę cnoty w wspomnieniu swych pięknych czynów — ale mógłby go i autor czemeś nagrodzić, bo nie jest-to wielka zachęta do cnoty, widzieć ją opuszczoną i cierpiącą. — Co do tłumaczenia —



zdaje nam się, że zasady moralne, często filozoficzne, w ustach ludzi nieuczonych, muszą być i w wyrażeniach, nieuczone i proste; wtenczas silniejsze czynią wrażenie i łatwiej zaszczipiają się w sercu; czasem i Pani Tomaszowa tłumaczy się stylem wykwintnie-poetycznym — a Szymon skąd może robić przycinki do dzisiejszej modnej kuracyi zimną wodą? — Są to uwagi, których za stanowcze nieśmiemy podawać ani też niemi wady sztuki i tłumaczenia mierzyć.

Z ogólnych zdań głoszonych o sztuce i grze Pana Żółkowskiego, czy to prywatnie czy w pismach, nieznaleźliśmy żadnego (choć mogą być wszystkie bardzo trafne i sprawiedliwe), któreby się z naszym zgadzało; dla tego jeszcze w tym przedmiocie cokolwiek powiemy. — Choćby kilka postrzeżeń naszych naszkodę *Biędnego Rybaka* zasadnemi były, to zawsze liczne zalety sztuki, jej treść i dążenie moralne tak są piękne i uderzające, że bynajmniej siły swęj nieutraca. — Pierwsze spotkanie Sierzanta z

Szymonem jest pełne ognia i życia; opowiadanie Rybaka, ile odwagi potrzeba, aby wyratować tonącego w czasie rozbukanego morza, niezwykły obudza zapał; miejsce, kiedy Rybak na chępliwe przechwałki Sierżanta, w milczeniu odsłania pierś ozdobioną medalami *za ratowanie ginących* — należy do pomysłów prawdziwie wzniosłych; nakoniec pośpiech Szymona na ratunek wołającemu pomocy i to całkowite zapomnienie siebie i szczęścia, które go otacza w chwili, gdy podpisuje kontrakt ślubny, a potem powrót z ocalonym rywalem, są godne najlepszego pióra. — Kogóż nieporuszą wyrazy te do Sierżanta, samą szlachetnością tchnące: — »Ja nieznam nienawiści,—gdybyś był nawet moim nieprzyjacielem i wtenczas ratując cię od zguby, widziałbym w tobie tylko brata.« — Zdajemy się w tym razie na sąd każdego czytelnika, czy panowie dający o tej sztuce zdania jak nicmniej o grze znakomitego artysty Żółkowskiego, mają prawo utrzymywać, że człowiek, jakim go opisaliśmy wyżej, jest naiwnym,

rostopnym tylko a niezgrabnym wieśniakiem—  
że ruchy jego powinny być prostackie, że po-  
stawa wyniosła i szlachetna duma, nieodpowia-  
dają jego charakterowi. — Czyliż to tylko na-  
uki po liceach i uniwersytetach, zdolne same  
wykształcić umysł, a ta wspaiała otaczająca  
nas natura niebędzie dostateczną szkołą mą-  
drości dla wyższego umysłu? A w jakimże to za-  
kładzie nauczą prostaka czuć swoją godność,  
jeśli on jój sam uczuć niezdolny. Któż-to  
kładał figurę i nauczał ruchów, wyniosłość du-  
szy cechujących, pierwszego znakomitszego  
męża; czy on w zwierciadle wykształcił swo-  
ją postawę, lub czy ją przyjął na polu? i na-  
resztę, jeśli są jakie prawa dla szlachetnych  
poruszeń, z czegośmy je wyciągnęli? Bięda ta-  
ka, jaką Szymon cierpi, podnosi tylko jego du-  
szę do czynów ludzkości, ale go nieprzekształca  
w pokornego i niezgrabnego prostaka — a kto  
jest zdolnym wyrzec się własnego szczęścia dla  
ulgi cierpieniom bliźnich, tego słowa i ruchy nie  
mogą być kopią ale wzorem do kopiowania.

Takim jest rybak i tak go musiał pojąć genialny artysta. — Pierwsza to rola tego rodzaju poważna i wyższa, którą komik nasz oddał doskonale. — Niemówimy, że w niej przeszedł oczekiwanie, bo po Żółtkowskiego talencie powinniśmy i mamy prawo wszystkiego oczekiwać i żądać; w sztuce tej był przywołany do ośmiudziesięciu razy. — Śpiewki prześliczne a szczególnie solowe, są tryumfem dla artysty. — Sierżant, P. Stolpe, choć młody, ale pewny w grze swojej, z dokładnego przedstawienia tej roli, obiecuje bardzo dobrego artystę; — wielki uczynił postęp, postęp nadspodziewany, choć mu rokowaliśmy wiele. — Pani Kostecka zawsze dobra (w roli Tomaszowej) — P. Szymanowski (kolonista) ma łatwą rolę. — Żadna ze sztuk mniejszych, nietylko w tym roku, ale od lat dawnych, tak wielkiego nieuczyniła wrażenia. — Przedstawiona przez ośm miesięcy 27 razy, zawsze sprowadzała mnóstwo widzów, wtenczas nawet, kiedy Teatr Wielki, wspaniałym widowiskiem odciągał nieraz znaczną część

lubowników sceny. — Dowodzi to, że w sercach słuchaczy, jest wiele zarodu najlepszych skłonności. — Udzielamy tu parę wyjątków, bo godne są rozszerzenia, dla zalet wewnętrznych i pięknego przekładu — od karty 38 do 58 oprócz 2ch scen pośrednich — t. j. od chwili wejścia sierżanta do jego odejścia.

## S C E N A VII.

SZYMON i KRZYSZTOF.

KRZYSZTOF. Proszę mi darować jeżeli przeszkadzam.

SZYMON. A to kto? cóż się to ma znaczyć? Skąd u licha tu wojskowy?... Mości Panie! to wcale niegrzecznie.... przecież tak nie wchodzi się do nikogo, można było *uprzedzić*, ale nie wpadać tu jak bomba.

KRZYSZTOF. Zapewne przeszkodziłem, nieprawdaż?

SZYMON. Tylko bardzo proszę bez tych domysłów.... to była moja narzeczona.

KRZYSZTOF. Winszuję, jeżeli piękna.

SZYMON. Nicimaczej, jak dla mnie dosyć jest piękna, ale do rzeczy, do rzeczy: czegoż pan potrzebujesz?

KRZYSZTOF. Oto chciałbym przewieść się z moim bagażem na tamtą stronę odnogi, a ty podobno jesteś właścicielem tej łodzi i trudnisz się przewozem.

SZYMON. Tak jest, dwa razy na dzień odbywam tę żeglugę; ale już od 48 godzin nie nierobię; niemożna ani na krok odbić od brzegu, gdyż na całej wód przestrzeni, tak gwałtowny wieher wzburzone miota fale, że zaledwie mojej nieporwie łodzi. Trzeba zatem czekać zmiany wiatru, a wtenczas bardzo chętnie przewiozę was razem z innymi.

KRZYSZTOF. Jakto? czekać? może do jutra?

SZYMON. A choćby i do jutra.

KRZYSZTOF. Cóż to się ma znaczyć? ty sobie drwisz? ja muszę koniecznie dostać się na tamtą stronę.

SZYMON. (*spokojnie*) Wolno... wolno... co mi za chwata!

*S p i é w ̄ k a 7.*

K R Z Y S Z T O F.

Nie bądź tylko tak zuchwały;  
Dalej do łodzi, do wiosła!  
Bo gdyby mnie złość uniosła  
Niezostałbyś pewnie cały.

S Z Y M O N.

I mnie gdyby złość uniosła,  
Niezostałbyś pewnie cały.

} Razem

K R Z Y S Z T O F. Ja żołnierzem.

S Z Y M O N. Ja rybakiem.

K R Z Y S Z T O F (*z gniewem*)

Więc miałbym cię prosić gburze!

Ja Sierżantem, ty prostakiem  
Ty w kurcie, a ja w mundurze.

S Z Y M O N.

Prawda, że jestem prostakiem  
Lecz ja w kurcie, ty w mundurze.

Chociaż różna broń jest nasza,

Wiedz jednak mój śmiałku młody,

} Razem

Że ogień nie pali wody,  
Lecz woda ogień przygasa. }  
          KRZYSZTOF (n. s.) } Razem  
Widzę z nim niebędzie zgody, }  
A więc dalej do pałaza. }

No! no! dobrze... lecz musisz ze mną pójść  
natychmiast.

SZYMON. O! nie tak prędko jak się zdaje...  
bo oto już nadchodzą goście zaproszeni na mo-  
je wesele...

## SCENA VIII.

GAZ SAMI, MORYS, RYBACY, CHŁOPCY I DZIEWCZĘTA.

### *S p i é w k a 8.*

CHÓR.

Hej! dalej bracia rybacy,  
Chłopcy, dziewczęta i dzieci,  
Porzućmy wędkę i sieć,  
Zapomnijmy dziś o pracy,  
I wśród obojętnego grona,  
Cieszmy się z szczęścia Szymona.



M O R Y S.

Dziękuję wam przyjaciele,  
Żeście wszyscy tu przybyli  
Dzielić w tej szczęśliwej chwili  
Naszą radość i wesele.  
Hej rybacy dziś są gody,  
Pijcie wino zamiast wody.

C H Ó R (*powtarza ostatnie dwa  
wiersze, rybacy formują na stronie grupy*).

M O R Y S. (*postzegając Krzysztofa*) Co wi-  
dzieć! czy mnie wzrok myli?... nie, to on!... to  
Krzysztof!

K R Z Y S Z T O F. Pan Morys!...

S Z Y M O N. Aha! to oni się znają.

M O R Y S. Jakto? ciebiez to ja widzę mój chłó-  
pcze? ciebie? któregośmy mieli za umarłego,  
pogrzebionego, ty jeszcze żyjesz?...

K R Z Y S Z T O F. Czy tak o mnie myślano?

M O R Y S. Nieinaczej... a jakże chcesz, kiedy  
kto zniknie, niewiedzieć gdzie, i nawet biednej  
matce nie da o sobie wiadomości...

KRZYSZTOF. Więc jeszcze żyje moja matka!..  
(*rzucając się w objęcia Morysa*) moja droga  
matka!... moja siostra!

MORYS. Żyją, chociaż ciebie już opłakały...  
ale bądź dobrej myśli... w sam czas do nas przy-  
byłeś, boś trafił na wesele méj córki.

KRZYSZTOF. (*z zadziwieniem*) Waszej córki?

MORYS. Mojej Ludwiki, z którą, pamiętasz?  
bawiłeś się tak często, kiedyście jeszcze oboje  
byli dziećmi...

KRZYSZTOF. (*z pomieszanieniem*) I wy ją wy-  
dajecie za mąż?

MORYS. (*wskazując na Szymona*) Tak jest,  
za tego dzielnego chłopca... który mi ocalił  
życie....

KRZYSZTOF. (*n. s.*) Bydźże to może, ażeby  
wydawać Ludwikę, Ludwikę! za tego...

SZYMON. (*n. s. zważając na Krzysztofa*)  
Cóż to się znaczy, że ta nowina prawie go tchu  
pozbawia?

(Ludwika przybywa na rozkaz ojca, postrze-  
ga Krzysztofa i nagle miesza się na jego widok;

krótkie i przyjazne powitanie, nieuszło baczności Szymona, skąd już powstaje zaród wspólnej niechęci, gdy nadto Krzysztof dowiaduje się o bliskich zaślubinach tej, którą kochał od dzieciństwa. Następnie gość zapraszany na ucztę przedweselną nieprzyjmuje jej i zostaje na scenie, gdy inni odchodzą.)

## S C E N A XI.

KRZYSZTOF SAM. Idź, idź z miną nadętą i tryumfującą... przyjdzie kolej i na mnie. Jak tylko rozmówię się z Ludwiką, dowiesz się, że tu niepszybyłem z tak dalekich stron, ażebym jako družba tańczył na twojem weselu. Musisz wprzód rozprawić się ze mną o jej rękę, ja prędzej życie utracę, niżli pozwolę, żeby Ludwika była twoją żoną... a jeżeli ona już mnie niekocha?... Nieszczęśliwy!...

### *S p i e w k a 10.*

O! jak smutne przeznaczenie!  
Jak okrutny jest mój los!

Tracąc z kochanką szczęścia marzenie,  
Najsroższym w życiu poniósł cios.

Dawniej kochany wzajemnie,  
Tyle ją kochałem lat,  
Ona swe szczęście widziała we mnie,  
A ja w jej szczęściu cały świat!

Dziś gdy mi ją los wyrywa,  
Próżno w mej nadziei trwam,....  
Niech ona żyje z lubym szczęśliwa...  
Ja cierpiąc sam, niech umrę sam!...

Ale nie, to być niemoże, aby Ludwika o mnie zapomniała; widziałem jak mile poglądając na mnie, rumieniła się wtenczas, kiedy ją prosiłem o chwilę rozmowy... O! jestem pewny, że tu ją wkrótce zobaczę i usłyszę z jej ust, że z przymusu idzie za męż... a wtenczas... Ale otóż ktoś nadchodzi, ah! to pewno ona, to ona!... *(odwraca się ku drzwiom, po lewej stronie będącym i widzi przed sobą Szymona, który słyszał ostatnie jego słowa).*

## S C E N A XII.

KRZYSZTOF i SZYMON. Nie, nie, to ja do usług, cha! cha! cha! zamiast pięknej twarzyczki, zobaczyę niespodzianie twarz długą i chudą; ale zaręczam, że to wszystko jedno, czy Ludwika czy ja... (*Krzysztof okazując poruszenie i gniew*) cha! cha! cha! w samej rzeczy, nie bardzo to musi być miło dla amatora płci pięknej, niedoczekać się umówionej schadzki...

KRZYSZTOF. Co? miałabyś wiedzieć?

SZYMON. O! ja wiem, wiem, że Panna Ludwika, zawsze była dobrą dziewczyną i będzie również dobrą żoną. Ona mi wyznała coście niedawno mówili z sobą po cichu. Ja także sam to uważałem, bo z mojego rzemiosła zwykłem na wszystkie razem oglądać się strony, czyli niegrozi skąd burza...

KRZYSZTOF. I cóż więcej?....

SZYMON. Kazała mi także oświadczyć, tobie panie Sierzancie, ażebyś o niej zupełnie zapo-

mniał, bo to wszystko byłoby na próżno... już rzecz skończona, do mnie teraz należy jej serce, a więc szkoda czasu.. Bo też prawdę mówiąc, niemożna razem mieć wszystkiego na świecie, galonów, krzyżów i kobiet... trzeba przecie coś zostawić dla innych... a właśnie do liczby tych innych i ja należę. Niech każdy choć małą swego ma częśćkę... to będzie słusznie.. nieprawdaż? W istocie, żal mi cię mój bracie, bo mi wyglądasz na dziarskiego chłopca. Ale któż ci winien, żeś przybył za późno? Oto, lepiej pójdz do nas, zjedz co Bóg dał i wypij z nami za zdrowie dawnej swojej przyjaciółki. Tylko bądź dobrej myśli, ona bynajmniej na ciebie się niegnięwa, chociaż postąpiłeś z nią cokolwiek po kawalersku.

KRZYSZTOF. Jak to?

SZYMON. Bo kiedy się ma szacunek dla młodej dziewczyny, nienamawia się jej na schadzkę w sam dzień, w którym ma zaślubić innego; to wcale niegrzecznie... a nawet nieprzystoi dla tak pięknego, jak ty sierżanta.

KRZYSZTOF. (*z niecierpliwością*) Słuchałem cię spokojnie, dopóki mi mówiłeś o Pannie Ludwice, lecz co się tycze ciebie, słuchajno! to ci nieujdzie na sucho..

SZYMON. (*z zimną krwią*) Oho! Panie Sierżancie, widzę że to nieżarty.

KRZYSZTOF. Ja nie lubię żartować.

SZYMON. I ja także... ale kiedyś poznał, że mi chcesz odmówić przyszłą żonę i mnie zostawić na koszu...

KRZYSZTOF. I cóż?

SZYMON. (*z zapalem*) I cóż! do stu piorunów! z gniewu krew we mnie zawrzała... a nawet i teraz..

KRZYSZTOF. To niedługo ostygnie.

SZYMON. (*uspakajając się*) W samej rzeczy Sierżancie, na co mamy się gniewać... ja nawet dałem słowo pannie Ludwice, że unikać z nim będę wszelkiej kłótni.

KRZYSZTOF. I chciałbyś zapewne dotrzymać słowa?

SZYMON. Jak zawsze.

KRZYSZTOF. A szczególnie teraz, gdy może idzie o danie dowodów swojej odwagi...

SZYMON. Odwagi? niewątpię, że każdy z nas ma jej dosyć na swoją potrzebę.

KRZYSZTOF. Zobaczymy kto więcej.

SZYMON. Jakto? więc mamy się pojedynkować i pozbawić jeden drugiego życia — dla okazania swojej odwagi?

KRZYSZTOF. Choćby dla tego samego.

SZYMON. (z zapalem) O! panie Sierżancie! alboż nam Bóg na to dał życie, ażebyśmy je dla próżnej tracili dumy? Nie! nie na tém prawdziwa zależy odwaga. Niebyłem ja wprawdzie nigdy w ogniu, jak ty Sierżancie, bo morze jest moim żywiołem, lecz kto wie, czy niewyrównyam ci w odwadze...

KRZYSZTOF. (z ironią) Zapewne! rzucić się w wodę i umiejąc pływać wyciągnąć tonącego na brzeg, to nieżarty!

SZYMON. I Tomasz umiał pływać, a może jeszcze lepiej odemnie... a jednak biedny człowiek... bo to zupełnie co innego.

KRZYSZTOF. I cóż innego?



SZYMON. (*z zapalmm*) O! gdybyś tylko widział tę nieszczęśliwą ofiarę, która z pośród rozlukanego morza wyciągając ręce, głosem rozpaczyny woła: »ratujcie mnie, ratujcie!«... Wtenczas to, bez względu na wichry, buragany, pioruny i grzmoty, rzucam się w otchłań bezdenną; morze jest dla mnie polem bitwy, burza moim wrogiem, z którym występując do boju, walczyć trzeba z samą śmiercią — i albo zginąć, albo drugiemu życie ocalić!... Wtenczas mówię chciałbym widzieć tych śmiazków, co innych nazywają tchórzami, a niewiem czy miałiby tyle odwagi w sercu, co w mowie...

KRZYSZTOF. Bogu dzięki, dałem tego dowody.

SZYMON. Nietak bardzo połyskuj swoim krzyżem. (*z żywością odslaniając wierzchnią kurtkę i pokazując swoje medale*) Patrz! czy widzisz te zaszczytne znaki? są to dowody i mojej odwagi. — Każdy z nich jest nagrodą za uratowanie ginących, za ocalenie życia ojcu, matce, albo przynajmniej sierocie!...

## Spiewka II.

I któż w większym z nas zaszczycie?  
Ty masz znak za męstwo w boju,  
Ja bliźnim *ratując* życie,  
Patrz! ile ich mam w pokoju!...

Niebądź zatem tak zuchwały,  
Ze cię zdobi krzyż ten złoty,  
Bo twój znak jest godłem chwały,  
Moje są zaszczytem cnoty.

Spodziewam się, że na tem będzie już dosyć...  
a ponieważ cię nie tu niezatrzymuje (*kłaniając*  
*się*) sługa uniżony, sługa uniżony... Obyśmy  
z sobą nigdy się niespotkali... wielce mu był-  
bym obowiązany, a nawet i moja żona.

KRZYSZTOF. Twoja żona? a kiedy ona cie-  
bie niekocha...

SZYMON. Niekocha?

KRZYSZTOF. I nigdy cię kochać niebędzie.

SZYMON. A to skąd ta wróżba i dla czego?  
przecież *ja* tyle ją kocham.

KRZYSZTOF. Więcej jej posag.

SZYMON. (z gniewem) Co?

KRZYSZTOF. Nicinaczéj... sam zysk podły masz na celu.

SZYMON. (z zapalem) Ja!... Ja!...

KRZYSZTOF. Tak jest, ty! żeniąc się z bogatą, chciałbyś uwolnić się od pracy i żywić się cudzém dobrem..

SZYMON. (w największym gniewie) A do stu piorunów! to już zawiele!... (chwytając Krzysztofa za piersi)

KRZYSZTOF. (wydebywając się z rąk Szymona) Czy myślisz, że ja zlekne się twych wielkich oczu? Otóż nie,.... i na dowód tego, zabraniam ci żenić się z Ludwiką... rozumiesz? ja ci zabraniam!...

SZYMON. Zabraniasz?

KRZYSZTOF. Tak jest... (sam do siebie biorąc swój tornister) Teraz wszystko powiedziawszy, dalej w drogę przywitać się z matką, siostrą i razem pożegnać się z niemi, a potem, niech się dzieje co chce... (powracając do Szymona)

Słyszałeś? ja ci zabraniam!... (*wychodzi grożąc Szymonowi*)

### S C E N A XIII.

SZYMON. (*z wzruszeniem*) Ah! on mi zabrania zaślubić Ludwikę!... on zemnie się naigrawa! a więc jemu na złość, choćby mi przyszło dać się porąbać na drobne cząstki, ona musi być moją żoną!... i to natychmiast. . on mnie nazywa zaprzędanym próżniakiem, pragnącym nie jej ręki, lecz posiadania jej majątku! . . Nikezemy!... Do sto tysięcy piorunów!... onaby nie miała być moją? ... przecież mi dała słowo... (*z tkliwością*) Mógłżebym zaślubić dla pieniędzy tę, która mi jest droższa nad wszystkie skarby ziemi!... O! jakżeby ona ze mną była szczęśliwą!... ale któż temu uwierzy? ...

### *Spiéwka 12*

O! jak przykro żyć na świecie,  
Temu, kto biednym się rodzi,

Niedość że go nędza gniecie,  
Jeszcze każdy mu przewodzi...

Wszystko złe jest przeciw niemu,  
W tym świecie pełnym zepsucia;  
Niewolno nawet biednemu,  
Szlachetnego mieć uczucia.

Kto niechce, nim poniewiera,  
Kogo los biednych nieboli,  
Bogacz hołd cnoty odbiera,  
A biedny cierpi w niedoli.

Tak, bo jeżeli ją zaślubię, powiedzą ludzie,  
że dla tego ocaliłem życie jej ojcu, ażeby w na-  
grode mego poświęcenia się oddał mi rękę swej  
córeczki, a ja niemyśląc o majątku, tyle ją kocham.

## **H A J.**

Oto świt bielistemi piersiami opływa  
Szeroko roztoczoną krainę obłoku;  
Czuty słowik, dla duszy, piosnkę czasu śpiewa,  
Słońce po nad majowe unosząc się smugi,  
Rozlewa blask po ziemi w niezliczone strugi;  
Kołysane wiatrami, skrzypią stare sosny,  
Szumią barczyste dęby, drżą poziome wrzasy,  
Witające wschód, szemrzą córki płaczu, brzozy,  
Kwidą błogie skąpyrónki oblubieńce wiosny.

(T. Olizarowski.)

---

**WIELKI TEATR.** - Miesiąc bardzo obfity w widzów i przedstawienia dzieł najlepszych pod wszystkimi względami — tak co do utworu, jako wystawy i mistrzowskiego oddania ról przez artystów; trzy nowe balety w tym dopiero roku wystawione, każdy innej artystce dający pole do świetnego popisu przyjmowano z zapalem. — Mars i Flora dla głośnej u nas

tancerki Panny Gwozdeckiej, Sylfida dla lek-  
kiej Panny Wendt, Amazylla dla Pani Koss i  
Trawnój, Jeniusz Różowy, Styryjczykowiei We-  
sele dla Pani Turczynowicz lub innych mło-  
dych najmilszych tancerek, już i w poprzednio  
wymienionych baletach z prawdziwem upodo-  
baniem widzianych. — Opery dwie dziś najulu-  
bieńsze w przeciwnych sobie rodzajach: Napój  
lekki po trzykroć, ukazał nam dwie Adiny —  
Maryą Turowską i Paulinę Riwoli i dwóch Ne-  
morinów, Dobrskiego i Germana. Robert w zwy-  
kłym skłądzie tylko Alicyą, przedstawiła Pan-  
na Marya Turowska. — Dramy, *Jest temu lat*  
*16* — *Waryatka i Czemuż nie była Sierotą*,  
którym Pani Halpert tyle blasku dodaje. — Ko-  
medye, *Wecele Figura* i *Biędny Rybak* przy  
balecie; — pierwsza dozwala Panu Jasisińskie-  
mu najkorzystniej rozwinać swój talent, w cha-  
rakterze zwyższym, druga Panu Zółtkowskiemu  
przyczyniła wiele sławy. — Dwa tylko dzieła  
nie mogą w powyższej liczbie znaleźć stosowne-  
go miejsca. — *Wszystko-wiedz* dawny ukazał

się między nowemi utworami, z taką wartością, jaką ma stary pieniądz dla znawców i badaczy starożytności. — W towarzystwie stu zgromadzonych, pokażmy monetę z 1000 roku i dukat świeżo z pod stępla wyszły; nad numizmatem każdy się zdziwi cichym wykrzyknikiem, a dwóch tylko łakomych dawności, wezmą go w swoje obroty i kilka godzin będą się przyglądali i spierali — a czasem do jutra rozwiązanie sprzeczki odłożą, do dnia po słońcu. — Dukat każdy obróci, zważy, duser mu powie, przymierzy do swego, albo westchnie i niechętnie odda. — Słowem nowy dukat wszystkich zaintryguje i przerwie nawet wątek rozmowy, kiedy stary dwóch tylko przyjaciół znajdzie. — Wszystkowiedz też jak numizmat, znalazł kilku, ale prawdziwych miłośników starożytności. Drugi Gałganduch niepomieścił się ani w balecie, ani w dramie, ani w operze, bo też on jest wszystkim dla sobotnich widzów. — Hultajska trójka, PP. Żółkowski, Panczykowski i Swiergocki, są przywoływani.



TEATR ROZMAITOŚCI — Podobnież przedstawił większą część najprzyjemniejszych komedyj, wodewilów lub fars; — ciągle licznie był odwiedzany, i jeżeli dobór dzieł mógł zachęcić do przyjscia, to gra dobra więcej jeszcze dodawała podniety. — Widzieliśmy doskonałą komedya *Mąż i Żona*, która równie jak wiele innych Fredry może walczyć z najlepszymi dziełami w obcych językach i pewnie wiele, niby dobrych, niewyłączając i Pana Scribego massy płodów, zostawi daleko za sobą w cieniu. — Widzieliśmy wręście francuzkie wybornie zawsze przedstawiane jak *Kwakier*, *Hortensya* i *Rozważne Matźenstwo* — ale niestety! choć każda z nich nie lepiej była oddaną od naszej komedyi *Mąż i Żona*, Kwakier nawet więcej przetrwał widowisk niż oryginalny utwór, przecieź francuzkie komedye sprowadzały liczniej publiczność; dla czego? Bo czy w łoży, czy na paradysie, w krzesłach, czy parterze — wszędzie widzowie, jeden drugiemu musi frazesa jakie się dają słyszeć na scenie, tłumaczyć

na język francuzki — nim się więc porozumieją w loży, tymczasem intryga posuwa się daleko w przedstawionej komedyi i biedny słuchacz ponieważ połowę ledwie miał sobie przetłumaczoną, reszty niezrozumiawszy wyszedł i powiedział — *je n'en comprends rien du tout niéma sensu* — kto? niewiem. — Stąd rodzą się potworne i gusta i dziwaczne żądania, które sam czas i dojrzały rozsądek kiedyś umiarkuje. — Komedyo-opera Biedny Rybak przedstawiana po dwa razy na tydzień — obok niej mnóstwo komedyjek i wodewilów tłoczyło się ciągle, żeby się popisać przed wielką liczbą słuchaczy, których rzadko, sam na sam, zdarza im się widzieć, lub żeby rozweseliwszy widzów lepiej do smutku przysposobić. — Dotąd wszystko choć dobre ale stare. — Wypadków nowych dwa się zdarzyło, z początku pomyslnych jak dalej będzie, trudno wywróżyć. — Nowa uczennica Szkoły dramatycznej Panna Münchensang, okazała się pierwszy raz dnia 5 w komedyi — *Pierwsze dni po Ślubie* — drugi raz

w kom. *Niezgody Domowe* wraz z Panem Józefem Sturm, powtórnie już występującym. — O nich szczegółowo później w swoim miejscu. — W ogóle publiczność była zupełnie zadowoloną z widowisk majowych — i przechadzki wiosenne niezabierały teatrowi słuchaczy. Gdy zaś wszystko szło wesoło i żywo, niezawadzi dla różnaitości — dołączyć tu parę scen dramy *Hernani* wiérszem tłumaczonej P. Pażkowskiego, młodzieńca wielkich zdolności — będzie to dla niego także rodzajem wstępu na scenę literacką. — Rzecz między trzema osobami: Don Ruy Gomez de Silva, Donna Sol de Silva, *Hernani*.

(Dajemy drugą scenę 3go aktu, w której ważne spotkanie się *Hernaniego*, znanego naczelnika bandy rozbójników, z narzeczoną a razem stryjem *Dony Sol*, jego kochanki; jest ona także jak poprzednie sceny wydały, przedmiotem zabiegów *Karola*, który ściga swego rywala niebezpiecznego dla spokojności kraju i kochanego od *Dony Sol*. — Wiéść tymczasem rozeszła się:

słuchło, że Hernani został ujęty i wydany w ręce sprawiedliwości, gdy Paź donosi Księżciu *Don Ruy Gomez* o przybyciu pielgrzyma.

D O N R U Y G O M E Z I P A Ź.

D O N R U Y G O M E Z. (*do Pazia*)

Nieś jej zaraz me dary. (*siadając*) Chcę by moja  
Była ubraną świetnie, jak jaka Madona, (żona,  
Aby strojem i swemi pięknemi oczyma,  
Mogła podbić każdego, chociażby pielgrzyma.  
Lecz ten nieborak, co nas prosi o poddasze!..

Wprowadź go, śpiesz, i przeproś za spóźnienie

(*Paź kłania się i wychodzi*) (nasze.

Trzymać gościa za drzwiami!... toniedobrze!..

(*Drzwi środkowe otwierają się. Ukazuje się  
Hernani przebrany za pielgrzyma. Księżę  
powstaje.*)

S C E N A III.

D O N R U Y G O M E Z. — H E R N A N I.

H E R N A N I. (*zatrzymując się na progu*)

Panie!

Pokój tobie i zdrowie!

DON RUY GOMEZ. (*klaniając mu się ręką*)

Równe powitanie,

Przyjm odemnie mój gościa. (*siada*)

Miarkując z odzienia,

Jesteś pielgrzymem?

HERNANI. (*klaniając się*)

Tak jest panie.

DON RUY GOMEZ.

Bez wątpienia

Idziesz z Armillas?

HERNANI.

Inną udałem się drogą;

W tamtej stronie walczono.

DON RUY GOMEZ.

Z bandą zbójców srogą,

Nieprawdaż?

HERNANI. Niewiem panie.

DON RUY GOMEZ.

Czyś słyszał pielgrzymie,

Co się dzieje z Hernanim?

HERNANI.

Obce mi to imię.

DON RUY GOMEZ.

Nieznasz go? tem ci gorzej, nieotrzymasz dan  
Obiecanój od Krola. — Widzisz ten Hernani,  
Jest-to rokoszan, zbójca sławny w okolicy;  
Będiesz go bracie widzieć mógł na szubienicy  
Jesli będziesz w Madrycie.

HERNANI. Nieidę tampanie.

DON RUY GOMEZ.

Głowa jego na widok stawioną zostanie.

HERNANI. (*na stronie*)

Niechaj ją wprzódę wezmą.

DON RUY GOMEZ:

W jakie zniczysz strony?

HERNANI. Idę do Sarragossy.

DON RUY GOMEZ.

Spełnić ślub zrobiony,  
Na cześć którego z świętych lub Boga rodzicy?

HERNANI. Tak jest, Boga rodzicy.

DON RUY GOMEZ.

Cudownej dziewicy  
del Pilar?

HERNANI. Tak, del Pilar.

DON RUY GOMEZ.

Czyn to pełen chluby,  
Spełniać w jakim bądź względzie uczynione śluby  
Lecz zwiedziwszy to święte miejsce przyjaciela,  
Czy dopełnisz całego twej wędrówki celu?

HERNANI.

Tak jest: chcę się pomodlić do boskiej dziewicy,  
Widzieć jej wizerunek wśród ciemnej kaplicy,  
W świętym, cudownym blasku, w złotolitej szta-  
A potem wrócić. (cie.

DON RUY GOMEZ.

Dobrze. Jak się zowiesz bracie?  
Jam jest Ruy de Silva.

HERNANI. Jaktó?.. jak się zowie?..

DON RUY GOMEZ.

Możesz zamileźć. Niema w czynach ani w mowie  
Przymusu, gość w mym domu; nic cię tu nie  
Czy chcesz u mnie przytułku? (wiąże.

HERNANI. Tak jest, Mości Książę.

DON RUY GOMEZ.

Najchętniej. Bądź rad sobie. Bądź jak w domu  
(swoim.

Co się tycze nazwiska, zwiesz się gościem moim,

To dosyć dla mnie. Na bok odłożywszy troski,  
Przyjąłbym i szatana dla miłości boskiej.

*(Podwoje otwierają się. Wchodzi Dona Sol w ślubnym odzieniu. Paziowie, domownicy. Dwie kobiety niosą na aksamitnej poduszce stalową skrzynkę, którą stawiają na stole, a która zawiera w sobie kosztowne dary: książkę koronę, naręczniki, naszyjniki, perły, brylanty i t. d.)*

#### S C E N A IV.

DON RUY GOMEZ, HERNANI, DONA SOL.

*(Hernani, nieprzytomny, wpatruje się w Donę Sol pałającym wzrokiem niestuchając Księcia.)*

DON RUY GOMEZ.

Oto moja Madona. Co za kształt, uroda!  
Można się do niej modlić.

*(Zbliża się do Dony Sol, ciągle bladziej i zamysłonej.)*

Jakto? panna młoda  
Dotychczas bez obrączki, ni skroni ozdobić  
Raczyła wieńcem ślubnym?



HERNANI. (*piorunującym głosem*)

Kto tu chce zarobić,  
Tysiąc karolusdorów?  
(*Wszyscy obracają się zdziwieni. On zdiera  
habit pielgrzymi i ukazuje się w stroju górala.*)

Ja jestem Hernani!

DONA SOL. (*na stronie z radością*)

O nieba! żywy?

HERNANI. (*do sług*)

Czegóż stoicie spętani?

(*do Księcia.*)

Książę! byłeś ciekawy nazwiska mojego,  
Chciałeś wiedzieć czy się zwę Perez lub Dyego,  
Otóż zwę się Hernani, piękniejsze to imię! —  
Niespodziałeś się gościa takiego w pielgrzymie.  
Widzisz tę głowę, przedmiot wspaniałej nagrody,  
Pokryje ona kosztą na dzisiejsze gody.

(*do sług*)

Weźcie ją! krwi chciwego pana zobowiążcie!  
Dalej! wiąźcie mi ręce, wiąźcie nogi, wiąźcie!  
Ale nie: niepotrzeba, już mię wiążą pęta,  
Których niemyszę zerwać.

DONA SOL. (*na stronie*)

Godzino przekłeta!

DON RUY GOMEZ.

Szaleństwo! mój gość waryat!

HERNANI. Twój gość jest bandyta.

DONA SOL. Niewierzcie mu co mówi.

HERNANI. Już prawda odkryta.

DON RUY GOMEZ.

Tysiąc karolusdorów, mospanie to dużo!

Nie jestem pewny wszystkich, co w wym domu

HERNANI. Cóż stąd? wydaj mię. (służą.)

DON RUY GOMEZ. Cicho.

HERNANI. (*do sług*)

HERNANI!

DONA SOL. (*przytłumionym głosem*)

Chcesz zguby

Naszój.

HERNANI. (*na pół obracając się do Dony Sol*)

Tutaj ślub biorą, chcę też zawrzeć śluby.

(*do Księcia*)

I moja narzeczona czeka mię, mniej wdzięczna

Nizli twoja panie, lecz niemniej stateczna; —

Śmierć! — Cóż to? żaden niechce pełnych złotych

DONA SOL. (*z cicha*) Przez łitość! (wzrów?)

HERNANI (*do sług*)

Przyjaciele! tysiąc karlosdorów!

DON RUY GOMEZ. To djabeł!

HERNANI. (*do młodego sługi*)

Chodź ty bracie, ty zyskasz nagrodę;

Niezależnie, wesoło spędzisz lata młode. —

(*do sług*)

Nikt się z miejsca nieruszył! — wszyscy gładzi

DON RUY GOMEZ. (stoją.)

Ktoby się tknął twej głowy, naraziłby swoją.

Choćbyś ty był Hernanim, choćby za twe życie

Obiecało cesarstwo, znajdziesz tu ukrycie.

Gościu! muszę cię bronić u mojego proga;

Jeżeli z twego czoła włos spadnie, niech zginę;

(*do Dony Sol*)

Najdroższa! będziesz moją żoną za godzinę.

Wróc do siebie. Ja każę niech zamek uzbroją;

Rozkażę zamknąć bramy.

HERNANI. (*do siebie*)

Zamknij wściekłość moją!

*(Dona Sol po odejściu Księcia, postępuje kilka kroków, jak gdyby miała odejść z kobietami, potem zatrzymuje się, a skoro te się oddaliły, wraca do Hernaniego z niespokojnością.)*

## S C E N A V.

HERNANI, DONA SOL.

*(Hernanś nieporuszony, spogląda ponurym wzrokiem na dary ślubne rozłożone na stole. Potem wstrząsa głową i mówi z uniesieniem.)*

H E R N A N I.

Winszuję Pani; stokroć niż wypowiem więcej,  
Zachwyca mię ten ubiór prawdziwie książęcy.

*(przyglądając się szkatułce.)*

W istocie, widać dobre chęci z jego strony,  
Niemógłby zwodzić człowiek nad grobem schy-

*(wyjmuje z szkatułki jeden po drugim drogie przedmioty.)*

Nic niebrakuje: perły, brylanty, opale,

Kolie, diadem, obrączka. — Przednio, doskonale!

— Dzięki za miłość szczerą, stałą, bez zawodu!  
— Jak wspaniałe ofiary!

DONA SOL. (*zbliża się do szkatułki i wyjmuje ze spodu puginał.*)

Niepatrzysz u spodu.

(*Hernani wydadaje krzyk i pada jęj do nóg.*)

To jest puginał, którym twą miłością śmiała,  
Karolowi Piątemu z zapasa wyrwała,  
Gdy mi tron ofiarował, wzgardzony dla ciebie!

HERNANI. (*na kolanach*)

O pozwól, niech w twych ocząt zachmurzonym  
Zatrę ślady pozostałe łez i niepokoi, (niebie,  
I nagrodzę niewdzięczność kroplami krwi mojęj!

DONA SOL. (*rosczulona*)

Hernani! przebaczam ci, kocham cię, i czuję  
Tylko miłość ku tobie.

HERNANI. Ona mi daruje!

I kocha mię! któż zrobi to co ja w tej dobie,  
Po tém wszystkiem; kocham się i przebaczam  
O! jakżebym rad teraz aniele od Boga, (sobie!..  
Całować ślad na ziemi gdzie przeszła twa noga.

D O N A S O L.

Mysleć, że moja miłość ma obręb tak mały!  
Ze zdołają ci ludzie zwyczajni, bez chwały,  
Którym los wszelkich wyższych przymiotów  
(uskąpił,  
Zniżyć ku sobie serce, w które on raz wstąpił!

H E R N A N I.

Niestety! złorzeczyłem!.. gdybym był na twojem  
Miejscu, zbrzydziłbym sobie ciągłym niepo-  
(kojem,  
Zbrzydziłbym tym półgłówkiem, szaleńcem, co  
Pierwej, a potem głaszcze dopiero. (zrani

D O N A S O L. Hernani!

Ach ty mię już niekochasz!

H E R N A N I. O! dusza ma cała,  
Jest tobą, jest ogniskiem, które wiecznie pała!  
Niemięj mi za złe, luba, że się chronić muszę!...

D O N A S O L.

Niemam ci za złe, śmiercią wkrótce łzy osuszę!

H E R N A N I.

Ponieść śmierć!.. i dla kogo? dla mnie! czy być

D O N A S O L. Ah! dla kogoż innego? (może?

HERNANI. (*siadając przy niej*)

Ty płaczesz? o Boże!

To jeszcze moja wina! I któż mię ukarze?  
Bo ty znowu przebaczysz! Jakże ci wyrażę,  
To co czuję, co cierpię, gdy łzy smutku rosą,  
Iskry twych ócz, będące dni moich roskoszą!  
Wymarli bracia moi! sam stoję u mety!  
Przebacz mi! chciałybym kochać i niewiem...  
(niestety!

A przecież dusza moja w czucia jest bogata.  
O! niepłacz! gińmy raczej! Czemuż niemam świata  
Oddałbym ci go. Jestem bardzo nieszczęśliwy!

DONA SOL. (*rzucając mu się na szyję*)

Ty jesteś mąż waleczny, prawy i cnotliwy!  
Kocham cię!

HERNANI.

Miłość godną byłaby zazdrości,  
Gdyby człowiek mógł umrzeć ze zbytku miłości!

DONA SOL.

Kocham cię, jestem twoją, już mi nic niewzbroni.  
(*Hernani pochyła głowę na jej ramię.*)

HERNANI.

O jakby mi cios teraz miłym był z twej dłoni!

DONA SOL. (*blagającym głosem*)

O przestań! ten wykrzyknik złowrogi, proroczy!  
Niebo cię może skarać.

HERNANI. Więc niech nas zjednoczy.

Tyś przystała!.. niech będzie! na bok przeci-  
(wność!

(*Ohoje, jedno w objęciach drugiego, patrzą na siebie namiętnym wzrokiem, niewidząc nic i nic nieśtyżąc, jakoby utopieni w sobie. Wchodzi Don Ruy Gomez i zatrzymuje się ostupiały na progu.*)

## S C E N A VI.

HERNANI, DON RUY GOMEZ, DONA SOL.

DON RUY GOMEZ. (*nieporuszony z założonemi na piersiach rękami.*)

Otóż-to jest nagroda za dar gościnności!

Oto postępowanie wdzięczne i wspaniałe!

(*Młodzi kochankowie odskakują od siebie jak przebudzeni.*)

Dobry panie, idź, obejrż twe mury zbutwiałe,



Czy łuczniczka jest na wieży, czy zamknięte bramy;  
Zobacz, czy w twoim zamku pewną schronę  
(mamy;

Poszukaj w twej zbrojowni zardzewiałej zbroi,  
Sprobuje w sędziwym wieku dawnej siły twojej.

Otóż—to tak zawdzięczym twą ufność i wiarę,

Za twą uczynność, taką niesiem ci ofiarę!—

Święci niebiescy! żyłem tyle lat na ziemi,

Widziałem tyle zbójców z dłońmi zatrutemi,

Których samo wspomnienie dotychczas prze-  
(strasza;

Widziałem Sforców, Lutra, widziałem Bergjasza,  
Ale tak kamiennego niewidział zbrodniarza,

Coby niedrżał zdradzając swego gospodarza.

Nie, to nie z moich czasów; tak nikczemna zdrada

Przechodzi me pojęcie, mrozem krew owłada,

I wcześniej, niepodobnym do wiary sposobem,

Zmienia mię w słup, co będzie stał nad moim  
(grobem! —

Kto jest ten potwór z piekła, i ja co już znaczę?

*(Wznosi oczy i przebiega niemi potrety  
otaczające salę.)*

O wy przodkowie moi! wy moi słuchacze!

Przebaczcie mi, jeżeli śluszny gniewem zdjęty  
Śmiał na chwilę uwłaczać gościnności świętej!  
O! Ale się też zemszczę!

HERNANI. Czcigodny Baronie!  
Jeśli kiedy szlachetne podniosło się skronie,  
Jeśli kiedy duch wielkim, serce wyższem było,  
Wszystko to w twój osobie niebo zgromadziło!  
A ja, chciałem ci porwać, uprowadzić żonę,  
Chciałem splamić niegodnie daną mi uchronę;  
Ale ma i krew, przelój ją razem w mściwej dłoni,  
Otrzej potem twą szpadę i zapomnij o niej.

D O N A S O L.

Panie! on nie niewinien!.. uderz raczej we mnie!..

H E R N A N I.

O wstrzymaj się, Dona Sol!.. ukrywać daremnie!  
Ta chwila życia mego może kres oznaczyć;  
Pozwól mi się więc pierwej Księżciu wytłumaczyć.  
Księżę! wierz mi, w tę chwilę ważną, uroczystą,  
Jam jest winny, lecz ona jak niebo jest czystą.

DONA SOL. Jam winna, bo go kocham.

*(Na te słowa, Ruy Gomez obraca się jak rą-  
żony pioruncem i wlepia straszne w Donę Sol  
spojrzenie.)*

DONA SOL. (*na kolanach*)

O! zabij mnie raczej!

Książę! kocham go!

DON RUY GOMEZ. (*do Hernaniego*)

Drżyj więc!

(*Słysząc odgłos trąb. — Do wchodzącego Paza*)

Co ten odgłos znaczy?

P A Ż.

Panie! to Król z orszakiem zbrojnego żołnierza  
i z heroldem na przodzie, który w róg uderza.

DONA SOL. Boże! Król! tego brakło!

P A Ż. (*do Księcia*)

Pyta się, dla czego

Brama zaryglowana, ludzie wałów strzegą;

Każe natychmiast wszystkie pozdziejmować strażę,  
i otworzyć.

DON RUY GOMEZ.

Otwórzcie, gdy Król pan nasz każe,

(*Paż kłania się i odchodzi.*)

DONA SOL. Zgubiony!

(*Don Ruy Gomez zbliża się do jednego obrazu,  
który jest jego własnym, a ostatnim po lewej  
ręce. Przyciska sprężynę, portret otwiera się  
jak drzwi i ukazuje skrytkę wyrobioną w murze.  
Książę obraca się do Hernaniego.*)

DON RUY GOMEZ. Mości Panie, wnijdź tu.

HERNANI. Moja głowa

Jest w twoim ręku Książę, na rozkaz gotowa.

Wydaj ją, jam twój jeniec.

*(Wchodzi w skrytkę, Don Ruy Gomez naciska sprężynę, wszystko się zamyka i portret wraca na swoje miejsce.)*

DONA SOL. *(do Księcia)*

Bóg ci to nagrodi mój Książę!

P A Ź. *(meldując)*

Król Jegomość.

*(Dona Sol spuszcza czempredzję zastonę. Podwoje otwierają się. Wchodzi Don Karlos w stroju wojennym, za nim mnóstwo rycerzy, tarczowników, strzelców, muszkietników, zbliża się wolnym krokiem, lewą rękę opierając na rękojeści szpady, drugą chowając w zanadrzu, i wlepiając w starego Księcia wzrok zagniewany i podejrzliwy. Książę postępuje ku Królowi i skłania się przed nim głęboko. Milczenie, obawa i wątpliwość do koła. Nareszcie Król stanwszy tuż przed Księciem, podnosi nagle głowę.)*

## CZERWIEC.

Jeśli się wietrzyk chwilowy prześliznie,  
I złamie szyby na modrej płaszczyźnie,  
I kwiecie z brzegu przyniesione miota,  
Jakaż w tym wietrze wonia i pieszczota!  
Tam na skal wierzchu u ścieku poników  
Blyszczy się róża, sultanka słowików,  
Jéj brzmią pochwały kochankowie leśni,  
Ona rumieńcem dziękuje za pieśni.  
Śliczna i skromna, królowa ogrodów,  
Nie tknięta wichrem, niezwiędła od chłodów,  
Nie znając ostrych zim niebezpieczeństwa,  
Kwitnie świeżością wiecznego panięństwa;  
Balsamy, których niebo jej udziela,  
W wonnych łaźnidłach ku niebu odstrzela,  
Niebo wzajemnie codzién jéj użycza  
Świetnych kolorów swojego oblicza.

(Byron.)

---

WIELKI TEATR. — Znowu obfitość dzieł wyborowych. — Już to w dni letnie, Dyrekcya teatrów czuje się zniewoloną więcej jak kiedykolwiek do przedstawiania widowisk, któreby

mimo najsilniejszy urok wiosennych dni, życie i swobodę wlewających w duszę, sprowadziły rozrzuconą po ogrodach publiczność. — Dużo słotne i dżdżyste, humor jesienny sprowadzają, każdy więc czując się nie swój, pragnie rozrywki i chętnie przychodzi do teatru niepatrząc nawet na afisz. — W pogodę przeciwnie każdy wymyka się z domu, unika murów posesyjnych, aby odetchnął powietrzem, które jego życie utrzymuje i rozkrzewia. — Trzeba tedy sprowadzić napowrót do murów i tam wynagrodzić mu choć w części straconą chwilę życia. — Nieszczędzono też starań i kosztów; każdodzienny afisz coraz inne a zawsze niepowszednie obiecywał przyjemności.

Po przedstawieniu pierwszego dnia Czerwca 30 lat życia Szulera, melodramy, która także nie dziś żyje na świecie, bo pono od 1828 roku, a jeszcze z niezwykajnem była przyjęta zadowoleniem, dano wznowioną operę Rossiniego p. t: *Kopciuszek* czyli Tryumf dobroci. Pierwszy raz ten *tryumf dobroci* ukazał się na

scenie dawnego Teatru, 1829 roku dnia 29 Sierpnia i miał dosyć tryumfalne powodzenie. Znakomita wówczas śpiewaczka Pani Mejer, była największą jego ozdobą, lecz miała głos sopranowy i musiano zmieniać dla niej śpiew cały na kontr-alt napisany. — Dziś tę samą rolę przedstawia Panna Józefa Turowska, w szkole śpiewu od niedawna istniejącej, wykształcona i niewątpliwie godnym stała się tryumfem tak szkoły jak i samej opery. — Już namieniliśmy w zesłotoecnym naszym piśmie o znakomitym i rzadkim tej śpiewaczki głosie, teraz nie chcemy już wznawiać podziwienia nad obszernością jej głosu, mocą i znacznym wyrobieniem, bo głosne a powszechne oklaski, jakimi obsypuje ją publiczność, przyjemniejszą nagrodą i zachętą dla niej będą. — Arya wstępna i ostatnia trzeciego aktu, wzniecałaby niewątpliwie na każdej scenie, równy naszej publiczności zapach. — Inne wszystkie role, po tak krótkim czasie już przedstawiają nowi śpiewacy. Barona grał Szczurowski lat kilkadziesiąt słynny,

dziś P. Bondasiewicz; koniuszego (Dandini) ś. p. Polkowski, śpiewak także znakomity, dziś P. Markowski; dwie siostry Klorydę i Tizbę Panny Paulina Riwoi i Marya Turowska, młode śpiewaczki, przedtem, Klejman i Nawrocka; jeden Pan Żyliński dotąd zachował był rolę Księcia. — Niemożemy i niepotrzebujemy porównywać talentów poprzednich artystów z dzisiejszymi, imiona jednych i drugich są bardzo dobrze znane — dodamy tylko, że wszystko wykonano z największą dokładnością; Pan Bondasiewicz wszakże, zawsze jest nadto rubaszny. — Po pierwszym przedstawieniu przywołano Pannę Józefę dwakroć i wszystkich wyżej pomienionych artystów. — Jeszcze dwa razy dosyć licznie w tym miesiącu publiczność odwiedziła Kopcuszką, w tém samym usposobieuiu. — Dnia trzynastego w czasie widowiska złożonego z Ieka, Kotki i Wesela w Ojcowie — w drugiej sztuce dziwacznego pomysłu, Pan Zólkowski oddał jak należy rolę kochanka z charakteru i położenia także



szczególnej mieszaniny; ile można było sensu' wyszukać, wyszukał i okazał. — Ośmnastego, Panna Münchensang wystąpiła po raz trzeci w komedyi *Nauka Mężom*, w roli żony.—Z trzech pierwszych prób i dalszych do końca roku wystąpień, wniesć możemy z dostateczną pewnością, że ta uczennica nie jest pozbawioną zdolności — ma czucie, którego stosownie i po dokładnem zrozumieniu rzeczy, winna używać, głos dosyć przyjemny i mocny, który potrzeba umieć umiarkować według obszerności sceny i widzowni w obu teatrach, deklamacyą niezłą, byle mniej *traiczną*, — (przez deklamacyą traiczną rozumieją powszechnie, niewiem dla czego, przewlekłość, szumność i nadętość z ostrym wybiciem każdego wyrazu. — Niewierzmy, aby takie przymioty cechowały deklamacyą w trajedyi; czy tam niepowinna być naturalność i mowa jak między ludźmi tego świata?) nakoniec akcja i śmiałość na scenie Panny Münchensang, najmniej do żądania zostawują. Może ona być w ogóle dobrą i użyteczną w ro-

łach tymczasem mniejszych, gdzie niepotrzebne uczucia gwałtowne. — Dwudziestego drugiego i dwudziestego piątego, nowa uczennica Pana Kudlicza, Panna Estella Moźdżeńska, wystąpiła w dwóch głównych i trudnych bardzo rolach; pierwsza Wiktoryi, z dramy *Dwaj Więźniowie z Galer*, druga Amelii z melodramy *Trzydzieści lat czyli Życie Szulera*. — Druga rola nierównie większa, lecz korzystniejsza dla każdej nowo-występującej artystki, bo w niej widząc kilka zmian wieku kobiety, naprzód kochankę, dalej żonę nieszczęśliwą i nakoniec żebraczkę z zamożnej — nadto, wielką różnorodność uczuć, jakie w różnych położeniach, miotają sercem kobiety, mamy sposobność ocenić, które z tych uczucia, jaki wiek i z jakim zrozumieniem, zdolna jest artystka najkorzystniej i najłatwiej przedstawić. — W tak wielkich rolach, nikt z rozsądnych nie może wymagać po największym talencie, zupełnej trafności i wykonczenia; w tym razie, czas dalszy byłby całkiem niepotrzebny do wykształcenia, czas,

który po talencie, najmocniej wpływa na postęp i doskonałość. — Jak też rozsądny niewymaga takich cudów, tak też ktokolwiek chciałby oceniać sprawiedliwie zdolności, nieporwie się ogłosić dziecinnego sądu, przyznając samą doskonałość i wykończenie, bo potem już, wyczerpnawszy pochwalne frazesa, albo musi milczeć z własną szkodą, albo też jedno to samo ciągle powtarzać. Szumnym zaś uwielbieniem, nieobecny niewierzy, artysta rozsądny, przyjmie za niezgrabny umiżg — i cała praca do niczego nieposłuży, ezasem tylko zarozumiałości wczesnej da początek. — Panny Moźdzeńskiej wystąpienie w roli Amelii było dla niej korzystne choć przyznać musimy, nieubliżając artystce, dosyć niebezpieczne. — W drugiej porze, scena z Rudolfem, natrętnym wielbicielem, oddana szczęśliwiej jak inne, okazała, ile kobieta umie czuć swoją godność i nie chcąc, nigdy się nieponiży — (oklaski mocne) w pierwszej porze, kiedy zrywa brylanty zdobiące jej czoło jako ślubny podarek, brylanty

skradzione ręką oblubieńca; przyjęto z zadowoleniem.— Kilka innych scen, uczuć bardzo gwałtownych i zupełnie spokojnych, nie zaś tkliwych, sprowadzały słuszne pochwały. — Postawa piękna, twarz przyjemna, głos czysty, który doświadczenie nauczy modyfikować, deklamacya, na zasadach dobrego zrozumienia oparta, mogą z czasem uczynić z Panny Estelli użyteczną i miłą artystkę, w dramie i komedyi. — Tyle jest wypadków więcej w tym czasie zajmujących — zresztą przedstawiano często bardzo dobre dzieła, które jeśli muzyka lub wystawa okraszała, ściągały dosyć słuchaczy. — Baletów dano siedm, dwakroć *Sylfidę*, tyleż *Wesele*, prócz tego *Jeniusz*, *Młeczarka* i *Rybołowcy* z zupełnym zadowoleniem i jedno *divertissement* po *Napój*. — Oper ośm łącznie z baletami lub oddzielnie— *Robert*, *Kopciuszek* trzykroć, *Napój* dwakroć, *Wł. szka* i *Jan z Paryża*; dram sześć: *Szuler 2*, *Piętno*, *Więźnie* i inne; komedyj lub wodewilów siedm, w tej liczbie pokazały się wesołe lecz *Stare damy* i niemłó-

dsi *Huzarowie*, zwykle dla towarzyszenia większym dziełom stanowiącym widowisko.

---

TEATR ROZMAITOŚCI nieprzedstawił żadnej salonowej komedyi, wiele wodewilów i dawniejszych rozmaitej wartości sztuk, czterykroć *Biędnego Rybaka*, pomimo upałów tłumnie odwiedzanego i jedną nową komedyjkę ze śpiewkami z francuskiego tłumaczoną p. t. *Pułkownik z roku 1769*, praca Pana Lasockiego. — Jest to dziełko, choć przyjemne dla bardzo młodych słuchaczy i słuchaczek, ale może za *drobne* na *matą* scenę. — »Piętnastoletniemu chłopczykowi, kupuje ojciec jak w owym czasie bywało, stopień Pułkownika, którym dziecię bawi się jak cackiem i czasem rozśmiesza rówieśników amatorów.« — Dobre tłumaczenie zaleca komedyjkę — w przedstawieniu zaś Panna Daszkiewicz zawsze miła, a w męskim wojskowym stroju jeszcze miłsza, musiała grać dobrze, bo to dla niej rolka stosowna. — Przecież

artystka ta ma znakomitsze role, w których więcej znajduje pola do zajmowania grą piękną. — Na pierwszym przedstawieniu było dosyć ciekawych, potem trzykroć jeszcze do końca miesiąca, pokazywała się ta sztuczka z starszemi siostrami. — Do repertoaru amatorskich teatrów na urodziny lub imieniny, mam, ciotek i ojców, zdałoby się takie dziełko szczęśliwiej.



WYJĄTEK Z DRAMY J. KORZENIOWSKIEGO

p. t. DWA OŚWIADCZENIA.

*Osoby główne:*

HRABIA ZBICKI, ALFRED RÓZIŃSKI, KAROL ŁACKI,

PANI ADAMOWA i KASIA.

Dramat w 4ch aktach. — Rzecz cała dramatu koło dwóch głównych nitek się oplata. Pani Adamowa, kobieta piękna, bogata, kokietka; Kasia uboga, nieszczęśliwa, uwiedziona przez Alfreda, który ją kochał, ale go P. Adamowa dla siebie odkochała. — Hrabia stary, brzydki, garbaty, bogaty, oświadcza się gdzie może; Kasi opuszczonej ofiaruje tytuł Hrabinej, ale pocziwa i stała dziewczyna odrzuca wszystko, ofiaruje go P. Adamowej, od wszystkich już wielbicieli opuszczonej i ta przyjmuje jego rękę wzgardzoną od Kasi, uważając ten związek jako ostatnie na ziemi po wielu podróżach, schronienie i odpoczynek pod zasłoną bogactw i starego męża. Alfred i Karol przyjaciele — Karol kochanek

Pani Adamowój, potym Alfred następca jego równie szczęśliwy jak każdy młody u zalotnej i cheiwój życia kobiety.

### S C E N A III.

*(Pokoik Kasi — Kasia wchodzi skromnie ale ężysto ubrana zaczyna sprzątać, potym siada zamysłona)*

KASIA. *(po chwili)* Ręce mi opadają; niemogę nic robić. *(powstaje)* Przecież trzeba wszystko poskładać, tak jak on lubi. Któż wie, może dziś przyjdzie. Sen miałam taki, że mi się dziś koniecznie coś nadzwyczajnego zdarzy. Biedne serce we wszystko wierzy i sen nawet pragnie ująć i zatrzymać. Przytęm dziś piątek; a piątek dla mnie dzień ważny. W piątek pierwszym go raz obaczyła; w piątek pierwszy raz powiedział, że mię kocha; w piątek z nim poszłam w świat. — *(słucha)* O! niemówiłam? — to on. *(biegnie do lustra)* Oczy jeszcze trochę czerwone; niechciałabym, żeby widział, że płakała — teraz wyraźnie słyszę — Alfred, to



mój Alfred. (*biegnie do drzwi i spotyka się z wchodzącym Karolem*) — Ha! —

KAROL. (*po chwili*) Czy mówię z Panną Katarzyną?

KASIA. Tak się nazywam — ale któż Pan jesteś?

KAROL. Nietrwoż się moje dziecię! Przychodzę od Alfreda..

KASIA. Jako? więc on Panu o mnie mówił?

KAROL. Jestem jego przyjacielem, jego bratem; myśli, serca i kieszenie nasze są wspólne.

KASIA. Coś nieszczęśliwego mię czeka. Gdzież jest Alfred? może chory! może go co spotkało?

KAROL. Pierwej myślisz o nim, niż o sobie?

KASIA. O sobie oddawna niemyśle. Jesteś Pan przyjacielem Alfreda, musiał ci mówić, że go kocham; dla czegoż się dziwisz? O! na miłość Boga racz mię uspokoić.

KAROL. Radhym.

KASIA. (*siada*) Biada mi!

KAROL. Alfred zdrowsz moja Kasiu — ale....

KASIA. Zapomniał o mnie. — O! tegom się

była powinna spodziewać. Tyle dni, tyle godzin, tyle sekund czekałam patrząc czy się nie otworzą te drzwi, które raz ostatni z gniewem zatrzasnął. — Ale zdrów przynajmniej?

KAROL. Alfred wyjechał.

KASIA. (*zrywa się*) Wyjechał? dokąd? — A mnie tu zostawił!

KAROL. Mnie zlecił, abym się tobą opiekował.

KASIA. Ja niepotrzebuję niczyjej opieki. Nie, Bóg mi świadkiem, że niepotrzebuję. Ten czyja ręka mogła utulić moje sumienie, mogła do snu przymknąć moje oczy; którego serce nademną czuwało, którego miłość była moją opiekunką, ten mię opuścił — jestem teraz w ręku Boga.

KAROL. Ależ bo moje dziecię serce twoje wyprzedza zdarzenia. Alfred wróci, interesa go nagle wezwały; i dla tego polecił mi, abym cię uspokoił.

KASIA. Pociecha z grzecznych słów dla zakrwawionego serca! — O! dziękuję Panu. Przez

litość na nieprawdę się odważasz. Jakież interesa zatrzymywały go od dwóch tygodni? jakież mogły przeszkodzić, żeby nieprzyszedł powiedzieć mi: bądź zdrowa — jadę — wrócę za miesiąc, za rok, nigdy niewrócę — ale bądź zdrowa. — Mnie, która wiedziałam o wszystkich jego trudnościach, któram znała wszystkie jego kłopoty, która gotowam była cały ich ciężar wziąć na siebie, ugiąć się pod nim do ziemi, byle on prosto i lekko szedł przedemną, i drogę mą wejrzeniem miłości oświecał!

**KAROL.** Szlachetna dziewczyno! żal mi cię z całego serca. Zawstydzasz mię, żem mógł mieć myśl...

**KASJA.** Krzywdzącą biedną dziewczynę. — O miałeś Pan do tego prawo. Byłam kochanką Alfreda, jego żoną, jego sługą. Teraz jestem tylko kobietą bez czci i honoru, względem której każdy krok może być pozwolonym. Ale jeżeli masz cokolwiek szlachetności, zostaw mię sobie samej. Moje serce potrzebuje pociechy, a tej żadna twarz ludzka dać niemoże. Mimo-

wolnie zginają się kolana, potrzebuję się modlić; a modlitwa duszy w rozpacz, niecierpi świadków.

KAROL. (*daje jej pieniądze*) Alfred kazał ci to oddać.

KASIA. Co to? pieniądze? — A mnie to na co? — Więc mnie odprawia i płaci. Czy tak łatwo zbędzie się i myśli o mnie? Czy tak łatwo wyrzuci z pamięci obraz tej chwili, gdym porzuciła dach ojcowski, gdym wśród nocy stanęła przy nim drżąca i blada, gdym się obejrzała jeszcze na dom rodziców i obaczyła światło w oknie i twarz matki, która patrzyła daleko w niebo, jakby chciała zmierzyć tę przestrzeń, jaką błędna jej córka przebiecz miała. Boleść taką, tylko jego miłość mogła zapłacić, a tej już nie mam.

KAROL. Ale może zechcesz wrócić do domu?

KASIA. Żeby drugi raz rodziców zabić! — Nie, nigdy. Ja pójdę w świat, daleko — gdziekolwiek sierp żyna łany, gdzie rydel przewraca ziemię, gdzie ręka pracowita potrzebna, tam

znajdę chleb, przytułek — a może i uspokojenie. — Może przyjdzie jeszcze jaka wiosna, że strudzona pracą usiądę w cieniu i zanucę piosnkę wspomnienia, a skowronek odpowie mi pod niebem, i stamtąd pociechę przyniesie.

KAROL. (*bierze jej rękę*) Cudna dziewczyno! Twój Alfred jest występny. (*wychodzi*)

KASIA. Więc to prawda! więc kto inny zajął moje miejsce, a on mnie opuścił, odprawił, zapłacił. — Któżby to? — ha! wiem, tam się dowiem o wszystkim. (*wychodzi*)

(*Z aktu IIgo sceny 2giej.*)

HRABIA. (*sam — przechadza się przez chwilę — potem siada*) Rzec więc zdecydowana, że się ożenię. Podobny jestem do żeglarza, który długo krążył koło brzegu i nieprzybił póki było widno; nareszcie o dobrym zmierzchu przybija — na oślep. Niemogło być inaczej. Starość samotna, jest-to rzecz okropna. Kilka chwil, które mi zostają, chciałbym jeszcze przeżyć wesoło, a wesołość dla starca jest-to zajęcie

głowy, natężenie myśli, przyspieszenie krzepną-  
cych pulsów. Rzucić złoto na kartę już mię  
niebawi — wygrywam. Inszym sposobem trze-  
ba drażnić, zbudzić tę myśl, która stygnie, ga-  
śnie, umiera. Staranie, aby przyjemném uczy-  
nić życie tej, która zapełni mój dom pusty i  
mleczący, orzeźwi mię: zechce mię zapewne  
oszukiwać. Będę więc czuwał, i jak nowy pier-  
wiastek życia powitam w piersi mojej zazdrość.  
Jeśli mi się to uda, przebaczę matkę naturze,  
która mię tak ubrała, i matkę kobięcię, która  
mi to pierwsza dała poznać.

LOKAJ. (*wchodzi*) Panna Katarzyna.

HRABIA. Niech przyjdzie. — (*Kasia wcho-  
dzi nieśmiało — Hrabia długo się jęj przypa-  
truje.*) Dajesz na siebie czekać moja panno!

KASIA. Nieśmiałami. Racz JW. Pan darować.

HRABIA. Oddał ci mój kamerdyner bieliznę?

KASIA. Będę się starała, aby była dobrze  
zrobioną.

HRABIA. Dotąd podobno niebardzo się zaj-  
mowała pracą.

KASIA. Niepróżnowałam nigdy.

HRABIA. Ale więcej podobno zajęte było twoje serce, niż ręka.

KASIA. I to moje nieszczęście.

HRABIA. Czy tylko twoje?

KASIA. Bóg miłosierny! i łzy rodziców nie-  
spadną na żałującą.

HRABIA. Przez wzgląd na twoich rodziców  
chciałbym ci co dobrego zrobić, i dla tego  
cię wezwałam.

KASIA. Mam robotę z łaski JW. Pana.

HRABIA. I więcej niepragniesz?

KASIA. Wkrótce zapewne niebędę potrzebo-  
wała. Wreszcie znajdę służbę; obowiązek mię  
wyżywi a łaska pani odzieje.

HRABIA. Ale służba jest-to rzecz ciężka,  
przykra. Będziesz musiała wiele znosić, płakać  
ci nawet za dawnymi wspomnieniami nie-  
pozwolą.

KASIA. Przewinienie było wielkie, pokuta  
powinna być także.

HRABIA. (*wzruszony, po chwili*) Czemuż tak w ziemię patrzysz? Czy ci moja postać taki wstręt robi, że nieśmiesz oczu podnieść?

KASIA. Tam pogrzebałam moje nadzieje.

HRABIA. Jesteś młoda i ładna; nadzieje twoje mogą odżyć, i jak kwiaty na wiosnę odkwitnąć.

KASIA. Na to by mi potrzeba drugi raz się urodzić.

HRABIA. Widać, że nie masz doświadczenia! Jak myślałaś, że miłość będzie wieczna, tak teraz myślisz, że żal będzie wieczny. Nic niema, coby trwało tak długo, jak życie.

KASIA. Wstyd dziewczyny zhańbionej.

HRABIA. Są rzeczy, któremi go można okryć. Pod brylantami świat i ludzie go niewidzą.

KASIA. Łza żalu spadnie między brylanty i przypomni się sercu, które się zechce odurzać.

HRABIA. Słuchaj dziewczyno! chcę być dowolnym natchnieniu tej chwili, i wiele dla ciebie zrobić mogę. Miałem zawsze dostatek, bogactwo, przepych; mogłem dogodzić rozmowi, nasycić imaginacją, zaspokoić ciało: a je-



dnak wśród złota i aksamitów, wśród płonących lamp i roziskrzonych luster, deptałem nie raz z rozpaczą kosztowne kobierce i rzucałem się płacząc na sofy jedwabiem zasłane. Tu była pustka, bo nikt niezajmował tego serca, bo nieśmiałem żadnej szlachetnej i dobrej kobiecie podać téj chudej i kościstej ręki. Za pieniądze mogłem wiele kupić, ale przychylnego, dobrego serca dotąd nieznalazłem. Pojmujeszże ty wiek tak przebyty! zbliżającą się starość i niedołęstwo? żadnego oka coby czuwało na moje skinienia, gdy język spalony, niebędzie mógł dać rozkazu; gdy dalecy krewni, zamiast podać mi kroplę wody, będą przeglądać moje kosztowności, i w myśli rozdzielać je między siebie. W pałacu moim jest wszystko, co może zabawić oko, dostarczyć każdemu zachceniu pożywienia, uprzedzić myśl wyteżoną na to, czémby sobie dogodzić. Tambyś mogła wiele zapomnieć. Słuchaj moje dziecię! Jesteś piękna i dobra. Widzieć cię codzien, słyszeć twój głos, złożyć na twoim czole pocałowanie przychyl-

ności, byłoby dla starca samotnego szczęściem, jakiego doznaje chory z przyjściem lata, gdy siądzie na słońcu i patrzy na zieloność. Chceszże?

**KASIA.** Nierozumiem cię JW. Panie.

**HRABIA.** A przecież zrozumiałaś Alfreda gdy ci powiedział: chodź zemną.

**KASIA.** Bo dodał: kocham cię.

**HRABIA.** A gdybym i ja dodał: podobałaś mi się, kocham cię.

**KASIA.** Jego słowo serce moje usłyszało.

**HRABIA.** A mojego niesłyszysz — zapewne niedziw. Ale czy myślisz żebym chciał zadawać gwałt twemu sercu? żebym żądał od ciebie miłości? w dwudziestym czwartym roku życia przekonałem się, że to niepodobna, a cóż teraz? Ja chcę na ciebie patrzeć i wiedzieć, że twoja przychylna ręka nademną czuwa. Cały dom mój będzie posłuszny skinieniu twej woli; każde słowo, każde wejrzenie, w którymbyś niewidziała dla siebie uszanowania, surowo ukarzę. Przyjmiesz-że?

**KASIA.** Nie.

HRABIA. Czy tu czujesz wstręt, czy widzisz hańbę.

KASIA. Hańbę.

HRABIA. A gdybym ci ofiarował moją rękę? gdybyś miała sposobność serca rodziców nappełnić radością; stare lata ich ozdobić dostatkim i szczęściem?

KASIA. Musiałabym — odrzucić.

HRABIA. Dziewczyno! pomyśl. Jestem potwornym, ale moje imię znakomite, mój stan postawiłby cię między pierwszymi kobietami. Jestem stary; tem mniejbym od ciebie wymagał; tem prędzej zostałabyś moją dziedziczką, tem prędzej mogłabyś drugą połowę życia przebyć w swobodzie i szczęściu. Oto ręka moja — przyjmujesz.

KASIA. Kobieta, która się oddaje bez serca — sprzedaje się.

HRABIA. Więc niczego odemnie nieżądasz?

KASIA. Część tych łask, któreś chciał zlać na mnie zlej na moich rodziców.

HRABIA. Więcej żadnego nieprzyjmujesz dobrodziejstwa?

KASIA. Prócz pracy — żadnego.

HRABIA. Podaj mi rękę — szacuję cię.

KASIA. To dobrodziejstwo przyjmuję i przy nogach dzięki ci za nie składam.

HRABIA. (*podnosząc ją*) Bądź zdrowa; od rodziców będziesz miała wiadomość. (*Kasia wychodzi*)

HRABIA. (*sam*) Dawnom niebył tak wzruszonym. — O! szczęśliwa młodości! ty masz łzy i nadzieję. — (*wychodzi*)

(*Z aktu IIIgo*)

## S C E N A IV.

(*Pokoik Kasi*)

KASIA. (*siedzi przy lampie i szyje*) Jak cicho! całe miasto we śnie. Najpracowitsza ręka już odpoczywa, najczujniejsze oko już się zamknęło — bo tu spokojnie. — O! mój Boże! jak mię

oczy bolą — musi już być bardzo późno — (*zegar bije*) cicho, godzina — raz, dwa, trzy — trzecia — dosyć już na dziś. Jutro ta sama praca, ta sama pustynia, te same myśli. — (*stychać oddalone stukanie*) — Ktoś jeszcze nieśpi. — Jak mi te uderzenia znane! — Tak niegdyś się dobijał, gdy go co w mieście zatrzymało. Przebaczałam choć o murie zapomniał; zamiast słowa wymówki, odbierał uściśnienie miłości. (*zasłania oczy*) Ale na cóż mi teraz ta przeszłość? Niemam już komu — przebaczać. (*stychać kroki na schodach*) Co to jest? czyjeś kroki na schodach! — Czy to sen — czy ja czuwam. (*uderza się igłą w rękę*) Krew, nieśpię. — (*w tejże chwili otwierają się gwałtownie drzwi i Alfred wchodzi*)

KASIA. Alfred! (*bieży ku niemu z wyciągniętymi rękami i pada zemdłona przy jego nogach.*)

ALFRED. (*Stoi przez chwilę nieporuszony patrząc na nią obłąkanym i smutnym wzrokiem — potem przyklęka i zaczyna płakać.*)

(Z aktu IVgo)

## S C E N A II.

(*Pokoik Kasi. — Kasia siedzi i szyje, Alfred przechadza się.*)

ALFRED. (*staje przed nią*) Kasiu! nie płacz —  
twoje łzy ciężkie.

KASIA. Przebacz Alfredzie!

ALFRED. Ja ci mam przebaczyć? — O! nigdy do mnie nie używaj tego wyrazu, który mię rani jak wyrzut. — Porzuc i tę robotę, patrzeć na nią niemogę. Ona mi przypomina te nocy bezsenne, któreś tu schyłona przy bladym świetle przesiedziała. Widzę łzy spadające z twych oczów, i słyszę, zamiast narzekania, pacierz za moje szczęście. O! jestem bardzo występny.

KASIA. (*bierze jego rękę*) Niedosć żeś ukarany?

ALFRED. Jam ukarany! kiedy mi została twoja miłość? — ale ty?

KASIA. Ja, mój Alfredzie! cierpiałam wiele; to prawda. Odstąpiłeś mię, pobiegłeś, gdzieś

widział więcej powabów, więcej światła, więcej rozumu. Odrzuciłeś skromny kwiatek, który przylgnął do twojej piersi, aby się pobawić okazałą różą. Zakłuta cię — i schyliłeś się znawu, i podjąłeś dawną twą pieśczęotę. Do żony, mój Alfredzie, przywołuje nazad przysięga, powinność, prawo. Do mnie, twojej kochanki, twojej sługi przywołało cię tylko serce i ocenienie mojej wartości. — O! ja jestem nagrodzona. (*rzuca mu się na szyję*)

ALFRED. (*wydziera się z jej objęcia*) Słuchaj Kasiu! nieprzyzwyczajaj się do mnie; nieoswajaj się z tą myślą, że ja jestem twoim.

KASIA. Boże! miałabym cię utracić?

ALFRED. Tym razem, jeśli utracisz, to mnie, ale nie moje serce. To ból mniejszy, nieprawdaż?

KASIA. Ale wiesz-że ty jak wiele jeszcze siły moje znieść mogą? o cóż idzie?

ALFRED. Niepytaj mię o nic (*przechadza się — po chwili*) Są w życiu położenia, w których człowiek radby być sam, jak liść zeschnięty unoszący się w powietrzu, oderwany od pnia,

z którego wyrosł, od ziemi co go wykarmiła. Jakakolwiek burza nim pomiecie, żadne włókno niezadrży; gdziekolwiek upadnie, nigdzie się jego upadek nieodbije.

KASIA. Jakże ty mię przestraszasz? czy idziesz na śmierć?

ALFRED. O mój aniele! przyrzeknij mi na tę chwilę, w której raz pierwszy przycisnęłaś się do moich piersi, na te bezsenne noce, któreś tu bezemnie strawiła, że mię bez złorzeczenia wspominać będziesz.

KASIA. Biada mi! (*siada i oczy zastania*)

JOACHIM. (*wchodzi*) Alfredzie! meta odmierzona, godzina się zbliża, Hrabia uwiadomiczny — żebyś się nie spóźnił.

KASIA. (*która z przerażeniem słuchała*) Godzina! meta! Hrabia — (*wybiega*)

ALFRED. (*ogładając się*) Gdzież ona? Jakżeś był nieostrożnym! — Gdzież pójdzie? biédna. — Ach! niech idzie, oszczędzi mi pożegnania. O! mój przyjacielu! wiesz-że ty co to za skarb serce kobiety, która kocha. — Joachimie!



dawałeś mi dowody przychylności. Bez wielkich oświadczeń przywiązania i braterstwa byłeś może lepszym, wierniejszym przyjacielem niż ten, z którym się zmierzę. Chcesz-że mi dać dowód przyjaźni?

JOACHIM. Mów, co tylko w mojej mocy.

ALFRED. Jeśli zginę, oddasz ten list Kasi. Wyszukasz jej jaką dobrą sługę i odwieziesz do mojej matki. Tu list do niej; tu cokolwiek pieniędzy, co mi zostało. — Resztę twojemu sercu zostawiam.

JOACHIM. Zrobię wszystko — ale nie lubię takiego usposobienia. Zmiękłeś jak wosk, nieu-trzymasz pistoletu. Czy nie masz odwagi?

ALFRED. Odwagi? czyż jej niewidziałeś? — Ale masz-że ty matkę? w której sercu odbije się huk broni, co cię obali! miałeś kochankę, ale taką, która honor, cnotę, przyszłość, siwy włos starego ojca, wszystko oddała dla mnie, i którą raz zranił — przez zdradę; a teraz drugi raz zabije przez śmierć.

JOACHIM. Więc się niebij.

ALFRED. Cofnąć się — to być niemożę.

LOKAJ KAROLA. (*oddaje bilet Alfredowi*) Od mego Pana.

ALFRED. Od Karola? do mnie (*oddaje Joachimowi*) przeczytaj Joachimie, czego chce.

JOACHIM. (*czyta*) »Bić się niebędę, i proszę cię na wszystko przyjdź do mnie, czekamy cię.« — Karol.

ALFRED. Cóż to u milion diabłów! ma mnie za żaka? — (*dobywa pistolety*) To prezent od niego; jeszcze niemiał zręczności spróbować, czy wart swego dawcy. — (*wychodzą*)

### S C E N A III.

(*Pokój Hrabiego — Hrabia wprowadza Panią Adamową.*)

HRABIA. Witam cię więc w moim domu kochana żono. Zostaniemy tu póki zechcesz; wyjedziemy dziś jeszcze, jeśli każesz (*do kamerdynera*) To pani wasza — zapowiesz wszystkim, aby jej każdy rozkaz dwa razy prędzej jak mój był spełnianym. (*stychać za sceną głos Kasi*)

Co to jest? (*Kasia wpada przerażona*) Tyżes to moje dziecię!

KASIA. Panie Hrabio! obiecywałeś mi swoje łaski, chciałeś być moim dobroczyńcą — stani się nim teraz; masz porę.

HRABIA. O cóż idzie?

KASIA. Strzelać się będą, wkrótce, teraz może — niewiedzą o tém, że ich kula uderzy w to serce, które pęka.

HRABIA. Dobrze żeś mi przypomniiała; jestem ich sekundantem (*do kamerdynera*) koni moich niewyprzęgać, i dla Pani karéta, może zechce wyjechać do sklepów.

KASIA. (*patrząc na Panią Adamową, mierzy ją okiem*) Ta Pani tu?

P. ADAMOWA. Cóż to za dziewczyna? czy nie ta.... jakże....

HRABIA. Uspokój się moja Kasiu! bezemnie zacząć niemogą.

P. ADAMOWA. To Kasia! (*śmieje się*)

KASIA. Śmiejesz się, masz-że sumienie! kie-

dy przez płochość twoje dwa życia na włosku i rospacz do tego serca zaziera!

HRABIA. Mów uważnie Kasiu, to moja żona.

KASIA. Żona?

HRABIA. To miejsce, któregoś nieprzyjęła, ta Pani przyjąć raczyła.

P. ADAMOWA. Jako? więc pierwiej oddawałeś się — jej?

HRABIA. I odrzuciła moję rękę.

P. ADAMOWA. Ha! widzę, że czas mojej pokuty zaczął się.

HRABIA. Być to może — będę się starał abym ci ją przyjemną uczynił. Chodź Kasiu, nam trzeba pośpieszać (*wychodząc*) do widzenia, kochana żono.

P. ADAMOWA. (*sama — po chwili*) O! jak ten głos dziwnie brzmi w moich uszach! ledwie się opamiętać mogę co się ze mną stało. — Tyle upokorzeń!

KAMERDYNER (*wchodzi*) Konie gotowe.

P. ADAMOWA. (*zrywa się*) Dobrze.

KAMERDYNER. Czy Pani każe do sklepów?

P. ADAMOWA. Do kościoła — (*wychodzi*).

## LIPIBO.

...Jak wdzięcznie fontanny tu grały  
Łagodząc nieba skwarne upały,  
Albo tryskając srebrnej rosy tęczę  
I fantastyczne wirując obręcze,  
Roskosznym chłodem rzeźwiły dokoła,  
Powietrze, ziemię i spragnione zioła.  
I jakże mile blaski gwiazd pogodnych  
Widzieć odbite na tych łukach wodnych  
Słuchać muzyki tych szmerów łagodnych!  
Tu często dziecię w niemowlęcym wieku  
Bawić się lubi u kaskady ścieku,  
Tu drzemiącemu w matki swój objęciu  
Płastunka woda, śpiewała dziecięciu.

(Byron.)

---

**WIELKI TETAR.** — Czas najprzyjemniejszy  
i najstosowniejszy do widowisk w amfiteatrze  
łazienkowskim, przy świetle księżycy, gwiazd  
i rześzystych kagańców, rokosznie upłynął war-  
szawskiej publiczności. — Kilkakroć w ciągu

jednego miesiąca, teatr na wyspie, pociągnął tłumy widzów w te miejsca, gdzie natura i sztuka tyle uroku rozlały. — Widowiska w łaźniakach nigdy niebyły tak świetne, tak bogate. — Pierwsze dnia trzynastego, na uroczystość dworską, balet *Dwa Posągi* z komedią *To byłam ja* i stosowną kantatą; drugie, wznowiony ustęp z opery Axur p. t. *Porwanie Aspazyi*. — Dzieło to sceniczne można nazwać *Opero-baletem*, którego tańce i dekoracye stanowią rzeczywistą wartość. — Tańce ułożone z najlepszym smakiem, ubiory nowe przy różnobarwném świetle, zdają się pełne przepychu, dekoracya nowa pędzła Pana Głowackiego. — Jedno jeszcze i ostatnie w tym roku widowisko w łaźniakach, dane na pamiętą uroczystość zaślubin J. C. W. WIELKIEJ KSIĘŻNICZKI MARYI MIKOŁAJEWEJ z J. C. W. KSIĘCIEM MAKSYMILIANEM LEUCHTEMBERSKIM, składało się z pięknego baletu Mars i Flora, komedyi ze śpiewkami Antoni, którą zwykle w końcu ozdabia ulubiony przez wszystkie klasy społeczeństwa naj

szego, mazur i nowa wielka kantata, kompozycji Karola Kurpińskiego z wierszem L. A. Dmuszewskiego.

W dni letnie, zdaje się najstosowniej przedstawiać balety; publiczność znużona całodziennym upałem, niebyłaby już zdolną rozbiierać i oceniać zawiłych intryg dram lub komedyi, gdy oko wdziękami przyrody upojone, chętnie i z upragnieniem zatrzyma się jeszcze na wdziękach, z innego jakby świata. — Mielśmy też w liczbie siedmnastu widowisk wielkiej sceny, ośm samych baletów, prócz ustępu z opery Axur, który jakeśmy już namienili, baletem żyje. — Rycerz i Wieszcza, dzieło szczęśliwego pomysłu, pięknych dekoracyji i dokładnego wykonania we wszystkich szczegółach, trzykroć powtórzone, w obliczu dosyć licznej gromady widzów, jednakie wzbudzało zadowolenie. — Wszystkie tancerki, główniejsze mające role jak Pani Turczynowicz, Gwozdecka i Trawna odbierały zasłużone oklaski. — Pani Turczynowicz i Panna Gwozdecka, dawniej już w tym ba-

lecie były widziane, Panna Trawna zaś, przedstawiła zastępczo piękną rolę po Pani Koss z zupełną dokładnością, każdą z nich zaszczycono przywołaniem. Wesele dano dwa razy i dwa inne mniej znaczne balety.

Dram sześć, więc dużo na czas letni; dram po większej części bardzo dobrze znanych i wysoko cenionych. — Widowiska te wszakże niewypływały z zwyczajnej a niezbędnej kolei — były one raczej polem do okazania usposobień nowych lub nam dotąd nieznanym artystów. Pan Szturm 6go t. m. wystąpił po raz trzeci w dramie *Piętno Hańby* roli Artura Dinard po P. Komorowskim; Panna Piechowicz pochlebnie dotąd znana, okazała się w roli Maryi, trudniejszej od innych dotąd jej powierzanych; Pani Kłyszewska artystka prowincjonalnych teatrów przedstawiająca na nich zwykle role matek z zadowoleniem, wystąpiła dnia 16go w wielkiej roli Amelii, melodramy *Jest temu lat 16*, drugi raz dnia 23go w dramie *Czemuż nie była Sierotą!* i Panna Mozdżeńska, o której już



mówiliśmy poprzednio, powtórnie dnia 20go w *melodramie 30 lat*, trzecią wstępną rolę przedstawiła, nakoniec też artystka grała w pięknej komedyi *Mąż i Żona*, rolę *Elwiry*, dnia 30 t. miesiąca.

Pan Sturm z trzech początkowych i dalszych wystąpień, okazał więcej usposobienia do dramy; w ubiorze kostiumowym, zawsze korzystniej jest pierwszy raz się pokazać; tam suknia niezwykajna zdobi i osłania trwozliwe jeszcze ruchy poczynającego. — Młodzieniec ten, w każdej wstępnej roli, miał już poprzednio znakomitszych téj sceny artystów i mógł wiele z ich gry mimowolnie przyjąć. — W *Edgarze*, grał ś. p. *Piasecki* a potym *Pan Komorowski*, w *Niezgodach domowych*, *Pan Jasiński*, w *Piętnie*, *Artura*, *Pan Komorowski*; wszędzie można było dostrzedz, kogo Pan Sturm widział pierwój i trudno mu było unikać w sposobie oddania miejsc głównych, w głosie nawet przypomnienia tego, co go najmocniej uderzało. — Biegły i doświadczony artysta, potrfia

naśladować dobre wzory tak, że je na własność przejmie i do wrodzonych zdolności jakby swoje wplata; od poczynającego, nienależy tyle wymagać — były w grze Pana Sturma uchybienia, wspólne każdemu niemal wstępującemu pierwszy raz w ten trudny zawód, lecz było wiele i na jego zaletę. — Postawa przyjemna, głos czysty, silny i dźwięczny, czucia nieraz bardzo wiele; przyjęcie nader zachętne, bo po każdym wystąpieniu, dwa, trzy lub czterykroć był przywoływany. — Niepowtarzamy już czego potrzeba (dla uniknięcia oklepanych moralów), aby się mógł korzystnie kształcić; sam winienby to sobie powtórzyć, z największą szczerością, a więcej może zyska. — Panna Piechowicz, dowiodła, że usilnie pracuje; pracę też gorliwą, zawsze skutek pomyślny wynagradza; w dramach lub poważniejszych komedjach będzie dobrą aktorką.

Pani Kłyszynska przedstawiała za każdym razem trudne i wielkie role. — Zasada bardzo sprawiedliwa zarządu teatrów — dozwalać przy-

bywającym artystom występować w roli, jaką sobie sami wybiorą, i nikomu niebyłoby wzbronioném, w wielkiej roli dać próbę swych usposobień; a jeśli jakkolwiek powiedzie się ta próba, już można łatwo wnosić, o ile szczęśliwiej uda się inna mniejsza rola. — Po wykształceniu wręście, przez czas i zapatrywanie się na doskonałe wzory, może i taż sama wielka rola, gdy niezbywa na zdolnościach, dobrze zostanie oddaną. — Z gry rol wstępnych Pani Kłyszynskiej, wnosimy, że ma zdolności, ma czucie, często trudniejszą myśl autora właściwie zrozumieć, gra w twarzy jej widoczna i wiele oswajania się ze sceną; w końcu każdej sztuki, zadowoleni — z gry artystki téj, przywołaniem, a wciągu oklaskami ją nagradzali. — Jeśli Pani Kłyszynska zechce bacznie przysłuchiwać się dobrej wymowie i pozna gruntownie swój język, zmieni niewątpliwie przewlekłą czasem deklamacją, która bynajmniej braku zdolności nie dowodzi, i potrafi w każdym razie stosownie głos umiarkować. — Takie próby zdolności Za-

ząd Teatrów uznał za dostateczne i policzył Panią Kłyszyską w grono artystów warszawskiej sceny. — Dramy wspomniane jako już bardzo nienowe, niesprowadzały wielu słuchaczy, bo niekażdy chciałby się narażać na pierwszą próbę razem z uczniem lub artystą, żadną niepoprzedzonych opinią — ciekawość taka, może być czasem nienajlepiej nagrodzoną, a niekiedy ukaraną.

Oper cztery: dwa razy Napój, po raz Kopciuszka i Zampa, w której Panna Ludwika Rivoli dnia 18 pierwszy raz po sześciomiesięcznej słabości ukazała się na scenie. Głos jej nieustracił bynajmniej miłego dźwięku, owszem przy wielkim wyrobieniu, nabrał więcej jeszcze okrągłości i łatwości; przyjęta z prawdziwem zadowoleniem i w końcu wraz z Dandolem (Pan Żółkowski) jednogłośnie przywołana.

---

TEATR ROZMAITOŚCI. Wszystko tu szło zwykłym trybem — wiele przyjemnych wodewi-

łów, komedyj lekkich i czasem poważniejszych;  
 żadnej salonowej. — Dnia 22 wznowiono kome-  
 dyą *Poset Turecki* czyli *Pensya Panien* ze śpie-  
 wem i tańcami. — Panna Paulina Riwoli jedna  
 z 3ch pensionarek, zawsze mile widziana, śpie-  
 wała bardzo ładnie — Panna Piasecka, artyst-  
 ka baletu, pierwszy raz wystąpiła w komedyi  
 i okazała dosyć usposobienia i śmiałości. — Pan  
 Majewski piany sługa najwięcej bawił. — Do-  
 bre przyjęcie, upoważniło do powtórzenia tej  
 komedyi. — Treść jej mniej ciekawa, intryga  
 nieznacząca.



SPIÉWKA (*Kiereszcy.*) (1)

(*Z oryg. kom.-opery*)

WE ZBRANIE WISŁY.

---

Baron, Hrabia, i Margrabia,  
Choć ma złota ze sto sztab,  
Gdy okoliczność przywabia  
Za tysiączek ... cap! cap! cap!

Zakrystian uczy w obrzędzie,  
Chciwiec jest-to z piekła drab;  
A jednakże przy kołędzie,  
Za złotówkę... cap! cap! cap!

Nie puścím, (krzyczą celnicy)  
»Kontrabandy, choć nas zdłab«  
Jednak przymknąwszy źrzenicy,  
Za talarka ... cap! cap! cap!

---

(1) Wszystkie te poezycie napisane są do muzyki, której tymczasem dajemy jeden mazurek. — Wiersz „Gdy cię nie widzę“ odbity na exemplarzach muzyki nie potrzebuje już być powtarzanym.

Sędziowie chociaż poczciwi  
Na kubany mają chrap;  
I adwokat mówi tkliwiej  
Gdy dukata cap! cap! cap!

Złoto robi panów z kmieci  
I młode panienki z bab;  
Nawet niedorośłe dzieci,  
Choć grosinę cap! cap! cap!

Prima charitas ab ego,  
Gdy można łapać to łap  
Kto niedba o grosz, takiego,  
Słusznie nazwać cap! cap! cap!

---

Z O S I A (1).

Gdy na różę słońce świeci  
Rosa łezkę roni,  
Róża wdziękiem rokosz nieci  
Róża mile woni.

---

(1) Śpiew wyjęty z oryginalnej komedyo-opery p. t.  
Określenie będącej jeszcze w rękopiśmie.

Lecz gdy w świeże listki wpłynie  
Zgubny żądła jad,  
Wtenczas biedna róża ginie,  
Niknie wdzięków ślad.

Póki w czystej duszy świeci  
Jasny promień cnoty,  
Póty szczęście lica kwieci  
Zdwaja wdzięk prostoty.

Lecz gdy w młode serce wpłynie  
Zwodnych uciech jad,  
Wtenczas biedne dziewczę ginie,  
Niknie wdzięków ślad!

Nic nie kazi, nic nie zrywa  
Listków mojej róży,  
Jam wesoła; jam szczęśliwa,  
Nieznam serca burzy.

Nie zaszkodzą żądeł roje,  
Strzegę kszaczka róż  
Mnie ochrania serce moje  
I mój Aniół—stróż.

*A. Baranowski.*



W IMIENNIKU L..... R.....

---

Kto cię ziemskim widzi okiem  
Temu tajny luby wdzięk;  
Nie upoi go urokiem,  
Miły głosu twego dźwięk,

Ale kto aniołom w niebie  
Hołd podziwu umie nieść,  
Ten oceni godnie ciebie  
Ten ci godną odda cześć!

Tenże.

---

M A Z U R E K.

(Z muzyką.)

Przez bór idę krokiem śmiałym,  
Zbój mię nie przeraża;  
Serce moje skarbem całym  
To nie dla zbrodniarza.

Coś szeleści, wśród gęstwiny,  
Może to morderce;  
Widzę oczy mej dziewczyny,  
Ach wydrze mi serce!

Lecz dla Boga, poco trwoga  
Któż odważny ginie?  
Wszak każdemu wolna droga  
Może mnie ominie.

Stójmy cicho, niech to lichó  
Pójdzie w stronę siebie,  
Lekka chyża, już się zbliża,  
Niewiem sam co zrobię.

Czyż jej oczy trwożyć mogą,  
Ona patrzy skromnie,  
Idzie sobie prostą drogą  
I nie myśli o mnie.

Czekaj chwilę dziewczę młode  
Spójrzyj tu kochanie  
Weź me serce, a w nagrodę  
Daj pocałowanie...

Wtém, stanęła i skinęła  
Swoją ładną główką;  
Słówko rzekła i urzekła  
Ach bo jakie słówko...

Słówko miłe, jego siłę  
Nikt tu z was nie zgadnie,  
Za tem słowem, w życiu nowem  
Wszystko pójdzie snadnie!  
Tenże.

---

PRZESTROGA MOTYLKOWI (1)

DO J.... T.....

Motyłku płocho, luby,  
Porzucasz nasze strony;  
Czyż dla cię mało chluby  
Nasz łąn zdobić zielony;

---

(1) Więrsz napisany, z okoliczności wyjazdu na długo, w stronę północnej Szwecyi, osoby jak można wnośić z udzielanych przestroóg, milój autorowi; poeta aby odstręczyć swego motylka od podróży używa zbyt niekorzystnych kolorów, na odmalowanie tamecznej przyrody i ludzi. — Szwecya uboga — ale gdzie przepych, bogactwa i zbytek tam więcéj niebezpieczeństwo grozi.  
(Przyp. Wyd.)

Pieścić dusze i oczy,  
Słyszec' głosy rodzinne,  
Co Twe serce niewinne,  
Twój wdzięk sławia uroczy;  
Czyż ci tutaj źle było?  
Tu Maj świeci pogodnie,  
Wietrzyk wieje łagodnie,  
Tu tak błogo, tak miło!  
Tutaj żyjesz szczęśliwie,  
Smutek serca niedrażni,  
Kwiat miłości, przyjaźni,  
Na tej czeka się niwie.  
W obcą lecisz tam stronę,  
Może do nas niewrócisz  
Może zranisz, zasmncisz  
Nasze serca stęsknione.  
Przyjmże małą przestroge,  
Którąć daję z zapałem,  
Bo ty lecisz w tę drogę,  
Gdzie ja byłem — widziałem.  
Wieczne śniegi i szrony,  
Wiosna łez tam nieroni



# NIEPEWNOŚĆ

1. Gdy cię nie widzę, nie wrdycham, nie płaczę,  
Nie tracę zmysłów, kiedy cię zobaczę;  
Jednakże, gdy cię długo nie oglądam,  
Czegoś mi braknie, kogoś widzieć żądam,  
I tęskniąc, sobie zadaje pytanie:  
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

2. Gaj z oczu znikniesz, nie mogę ni razu  
W myśli twojego odnowić obrazu;  
Jednakże nie raz czuję mimo chęci,  
Że on jest zawsze blisko mej pamięci.  
I znowu sobie powtarzam pytanie:  
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

3. Cierpiącem nieraz, nie myślałem wcale,  
Abym przed tobą szedł wylewać żale;  
Idąc bez celu, nie pilnując drogi,  
Sam nie pojmuję, jak w to zajde progi;  
I wchodząc sobie zadaje pytanie:  
Co tu mnie wiodło? przyjaźń czy kochanie?

4. Dla twego zdrowia życia bym nie skąpił,  
Po twą spokojność do piekielbym zstąpił,  
Choć śmiałej żądzy nie ma w sercu mojem,  
Bym był dla ciebie zdrowiem i pokojem.  
I znowu sobie powtarzam pytanie:  
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

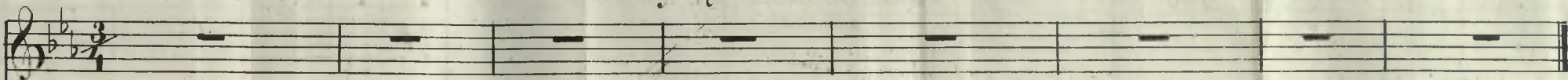
5. Kiedy położysz rękę na me dłonie,  
Luba mié jakas' spokojność' owionie,  
Żda się że, lekkim snem zakończę życie,  
Lecz mnie przebudza żywsze serca bicie,  
Które mi głośno zadaje pytanie:  
Czy to jest przyjaźń? czyli też kochanie?

6. Kiedyś dla ciebie tę piosenkę składał,  
Wieszczy duch memi ustami nie władał,  
Pedeni drwienia; sam się nie postrzegłem,  
Żkad wziętem myśli, jak na rymy wbiegłem;  
I zapisałem na końcu pytanie:  
Co mnie natchnęło? przyjaźń czy kochanie?

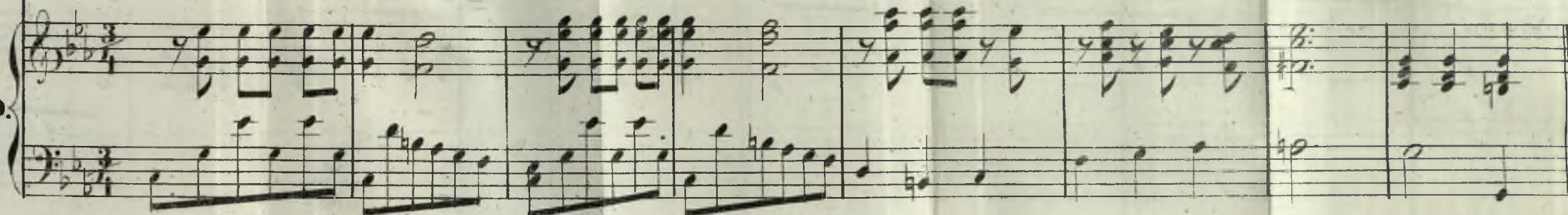
# NIEPEWNOŚĆ

z Muzyką F. Wilczka.

SPIEW.



PIANO.



Gdy cię nie wi...dzę nie wrdy cham nie pta. cze nie tra. cę zmysłów kie dy

cię zo. ba. cze. Jed nak iie gdy cię dlu. go nie o. gładam. Cze gos' mi

bra knie ko... gos' wi..... dziec za... dum ko... gos' wi... dziec' za... dam

J te skniac' so... bie za da ię py ta nie

*ritand.*

czy to iest przy iarn czy to iest ko cha nie czy to iest przy iarn czy to iest ko cha nie?



# MAZUREK

z Muzyką F. Wilezka.

*Andante*

Przez bór i dękiem śmiałym zbiej mię nie prze... ra... za,  
Lecz dla Boga po co trwo... ga ktoś od wa... żyj gi nie  
Czyż ję o... czy trwo... żyć mo... ga o... na pa... trzy skro... mnie  
ser... ce mo... je skar... bem ca... tym  
wszak biał... de... mi wol... na dro... ga  
i... dzie so... bie pro... stą dro... ga

*à tempo*

to nie dla zbrodnia... ra, coś sro... le... ści wśród ge... stwi... ny mo... że to mor... der... ce? wi... dzie o... czy  
mo... że mię o... mi nie... stoj... my ci... cho, niech to li... cho pój... dzie w stro... nę so... bie lek... ko chy... ko  
i... nie my sli... o... mieć wtem sta... nę... ta i ski... nę... ta swo... ją... ta... dno... gło... uha sto... who rze... kła

mój dzie woryny ach wry drze mi ser... ce wi... dzie o... czy mój dzie woryny ach wry drze mi ser... ce,  
jak się zbli... za nie... wtem sam co... wo... bie lek... ko chy... ko, już się zbli... za nie... wtem sam co... wo... bie,  
i... u... nie kła ach bo... ja... kie sto... who... sto... who... sto... who

Kwiat bez barwy, bez woni,  
Malowany. złocony.  
A choć zimny wiatr dmucha,  
Choć mróz ptaki obala,  
Wszystko niszczy, wypala  
Namiętności posucha!  
Tam się kryją istoty,  
Co was gubić umieją,  
Z niewinności się śmieją,  
Szydzą z wiary i cnoty:  
I przyrzekną i zdradzą,  
Zbrodnia u nich niegrzechem,  
Z przymileniem, z uśmiechem,  
Czarę jadu ci dadzą.  
Dadzą strute słodycze (1)  
Będą mamieć kwiatami,  
Czary nietknij ustami,  
Odrzuć kwiaty zwodnicze!

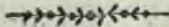
---

(1) Poeta w uniesieniu jak złe tak dobre uolbrzymia dla tego pozbawia ten szlachetny naród charakteru cnoty w uczuciach miłości o jakich jedynie tu mowa, nie dba o prawdę historyczną byle odstreczył i widział zawsze lubego i płochoego motylka blisko siebie nieskażonym.

(Przyp. Wyd.)

Skryty jad się w nich trawi,  
One zgubę ci wróżą,  
Waż się tai pod różą  
Chociaż widok jej bawi.  
Niechaj twoje skrzydełko  
Czystej barwy niezmienią;  
Żyj słodyczą wspomnienia,  
Pój się łezki perełką.  
Tylko zerwij tam kilka  
Świeżych listków laurowych,  
Wdzięków naucz się nowych,  
Od tamtego motylka;  
I powracaj w te strony,  
Tu cię przyjmą życzliwie,  
Tu żyć będziesz szczęśliwie,  
Boś kochany, wielbiony.

Tenże.



## SIEPIEŃ.

A wzgórek był zielony, pochylój urody,  
Niby jaki przylądek; tylko zamiast wody,  
Wkoło żywy krajobraz i powiewna fala  
Kłosów i sianożęci, i gdzie niegdzie zdala,  
Porozrzucone chały — nad niemi dym bury  
Ulotne snuł kolumny.

(Sen z *Byrona*.)

---

WIELKI TEATR. — Wystawa Roberta zdawała się dotąd najświetniejszą i najwspanialszą; po niej niekażdy przypuszczał, aby się prędko coś lepszego znalazło, przecież gust i bogactwo dekoracyj, opery *Czarodziejskiej* w 3ch aktach Auber'a, Koń Spiżowy, przewyższył wystawę Roberta i dosyć powiedzieć, że pomimo małości kompozycyi, autora *Nieméj*, — sama wy-

stawa i tańce w pierwszym i trzecim akcie z muzyką Dyrektora Orkiestry P. Nideckiego, zdolne są nie tylko utrzymać dzieło, ale owszem zapewnić mu długie i najszcześniejsze powodzenie. — Często powtarzać go niemożna, bo delikatny pędzel dekoracyi przytarłby się rychło, jednak sześć razy przedstawione sprowadzało tłumy widzów na wszystkie miejsca: Wedle świadectwa wiarogodnych, wystawa u nas *Konia Sutzowego*, jest daleko wspanialszą od berlińskiej i wiedeńskiej (paryska niewyrównywa nawet wystawom scen niemieckich); nigdzie nadto, tańce nieozdabiają tej opery, jeszcze tańce tak pięknego pomysłu i przez nasze słynne tancerki wykonane, nigdzie też dzieło to nie znalazło wielkiego powodzenia. Panna Wendt lekka Chinka w pierwszym akcie w pas de trois z PP. Baldi i Karrel, okazuje coraz więcej i do mimiki zdolności. Pan Domagalski pierwszy komiczny tancerz sceny tu-tejszej, otrzymuje za każdym skokiem huczne brawa; Kordebale bardzo liczny, (przeszło

czterdzieści osób), w chińskich ubiorach doskonale wyuczony, z największą dokładnością i łatwo grupuje się w rozmaite komiczne obrazy. — W trzecim akcie znowu tańce, ale w rodzaju dobrze nam znanym, choć je składają istoty niby z planety *Wenus*. — Ubiory białe lekkie, ozdób niewiele a przecież bogate; blado błękitne szarfy wdzięcznie zwieszane z prawego ramienia, zgrabniejszą jeszcze wydają kibić tancerek. — Panny Gwozdecka, Trawna i Zdanowicz, mają wielkie i piękne *pas*, tańczą prześlicznie może lepiej jak w innych baletach. Każda w miarę talentu i wykształconego wdzięku zachwyca i sprawiedliwe zbiera oklaski. Kordebale mniejszy, ale złożony z tancerek, któreby z powodzeniem mogły wystąpić i w solowych tańcach.

Dekoracya w *piérwszym* akcie wystawia *przyjemną okolicę w prowincyi Chatong w Chinach*, kto wie, czy natura utworzyła tę okolicę tak piękną. *W drugim*, z izby folwarku, widać przez wielkie okno w głębi wio-

skę i za oknem na skale granitowej, Konia Spizowego. — *W trzecim* pałace i ogrody napowietrzne między obłokami: — W końcu wielka pagoda bogato oświetlona; dwie ostatnie dekoracje piękniejsze nad wszelki opis, pędzla Pana Sachetti. — Niejeden z czytelników zdziwi się może, dla czego mówiąc o operze, operze Obera, mówimy tylko o tańcach, ubiorach i dekoracyach; dziwactwo to da się później usprawiedliwić.

Zejdźmy na chwilę z tych czarujących okolic planety Venus. na ziemię, do powszednich wypadków. — Dnia trzeciego, Pani Kłyszynska, przedstawiła jako trzecią wstępną rolę, Waryatkę w dramie t. imienia — uwagi poprzednie co do wyboru trudnej roli i gry, dadzą się i tu zastosować. — Dnia 17go w melodramie *Dziesięć lat życia Kobiety*, Panna Radzyńska przedstawiła główną rolę Adeli — Pan Bogusławski Lorda Darsey (męża) — Panna Dobrzańska siostrę Adeli — Pan Skomorowski, iłż pomnieć możemy po Panu Aszperger, jakie-

goś wietrznisia — Panna Müuchensang, jedną z przyjaciółek po Pannie Werowskiej. — Adela grała dosyć dobrze, ale niepomiernie jeszcze *dobrze*. — Odradzająca niemoralność w wielu francuskich dramach, osłania się jakkolwiek delikatnym wysłowieniem — jeżeli zaś artysta niestara się użyć korzystnie téj osłonki, lecz oddaje z największą otwartością nieprzyzwoitą myśl lub uczucie, odraża słuchaczy i poniża charakter roli. — Przecież Adela kobieta wyższego społeczeństwa, przez złe rady do zhańbienia przywiedziona, niewyrzekła się jeszcze wstydu i ceni choć pozór przyzwoitości — trzeba więc połączyć te uczucia, trzeba czasem w jednym frazesie poszukać dwóch i więcej myśli, nie zaś przyjmować pierwszą, jaka się łatwiej nasunie. — Cieniowania, wyrozumowania i znajomości serca w różnych podobnych położeniach — brakowało w grze Panny Radzyńskiej — ale zawsze dowiodła znowu wielu zdolności. Pan Bogusławski był wcale dobrym, zachował przyzwoitą godność i moc charakteru w właściwych



granicach. — Panna Dobrzańska szczęśliwsza od swej antecesorki Panny Jezierskiej, nawet zupełnie dobra, ile jej talent tylko pozwalał. — Pan Skomorowski, wygrał w tej roli — los ale niewielki — bezpłatnie ma prawo otrzymać bilet na drugą podobną, może będzie jeszcze szczęśliwszy. — Panna Münchensang *nadto* była naturalną (jeśli tak można powiedzieć) i tą naturalnością w roli ponizającej godność kobiety, odrażała. Tak cała melodrama odnowiła się przy wznowieniu: jak stary dobrego malarza obraz kiedy się dostanie w ręce ucznia, aby zatarte cienie ożywił i na nim wprawił się do prac ważniejszych, straci pierwszą wartość, ale go świeże farby jakoś wyiskrzają. — Dobrze jest tym sposobem wprawiać artystów poczynających lub nieco doświadczonych jeszcze w rolach wielkich, sztuk przestarzałych, na które już niemożna wiele liczyć. — Wznowiono jeszcze na raz jeden w dniu 27 komedią większą z niemieckiego *Fatszywy wielki Ton* — tu znowu wszyscy nowi pokazali się artyści, jeden P. Kudlicz i P. Damse zostali

przy swoich rolach — pierwszy nieoceniony Stryjaszek, jak potrzeba żywy i birbant, a wra-  
zie moralista i srogi, ożywia! każdą scenę.

Nakoniec ważniejszą nowością, która dłużej oddychała i podała artystom sposobność roz-  
poznania nowych charakterów, jest komedia  
w 3ch aktach z niemieckiego p. t. *Wieśniak*.—  
Rzadko widzimy niemiecką z dzisiejszych czasów  
komedią — i wyznać godzi się bez wyrzutu su-  
mienia, że jak naród niemiecki ciężki, wyracho-  
wany i filozofujący tak i jego komedye ciężkie,  
znużą a ledwie rozśmieszają — albo zawiele mo-  
rału, który o mało nieprzechodzi w kazanie,  
albo dowcip płaski a często grubo stolarski:  
nasz czytelnik na francuskich komedjach zapra-  
wiany, albo raczej na wybornych i jedynych mo-  
że w świecie wodewilach, gdyby w złym hu-  
morze dostał książkę niemiecką, samym do-  
wcipom poświęconą (Witz) niebezpiecznie mógł-  
by zachorować, a nierozśmiałyby się ani razu.—  
Komedye salonowe francuskie, już trochę wy-  
czerpane zaczynają w mdłości wpadać — je-

szece u nas tylko, może być, szczególnie dziś prawdziwa, komedia — i naród nasz najzdolniejszy dobrą utworzyć komikę: na usprawiedliwienie tak śmiałej myśli, niech raczy każdy z czytelników naszych zbadać swój charakter — do czego więcej czuje się być skłonny — gdzie wad więcej? gdzie więcej chęci wyśmiewania cudzych postępów, gdzie mniej to źródło wyczerpane? do rzeczy.

Wieśniak czystomoralny, ma kilka scen z położenia śmiech wzbudzających, ale to jeszcze niestanowi i nieutrzyma komedyi. — Kilka scen, kilka kontrastów i ledwie jedno prawdziwie dowcipne wyrażenie, przy martwej i rozwlekłej intrydze, nie zachwycą. — Taki los spotkał poczciwego wieśniaka, choć był prawdziwym wieśniakiem, prostym, rozsądnym i cnotliwym. — Taki los fanfarona, choć był to oryginał, albo raczej kopia rzeczywistych oryginałów — takie nakoniec przeznaczenie, szlachetnej kochanki, która samą cnotą oddycha, hrabianka a jednak niezalotna i gotowa wszy-

stko oddać na jałmużnę: wszystko dobre ale lepsze na powieść jak komedya, wmieszał się stryj z dziwnym charakterem i oszedł niedawszy się poznać, jakim był rzeczywiście. — Pan Komorowski grał bardzo dobrze wieśniaka dosyć oświeconego w księgach gospodarskich i Delilu, rola całkiem w nowym dlań rodzaju; Pan Karasiński modniś mniejszą ma rolę — ale ją umiał zrobić zajmującą. Panna Piechowicz, może dokładnie charaktery jakieśmy wyżej opisali przedstawiać.

W ciągu Sierpnia dano trzykroć wieśniaka, ale raz musiał on szukać pomocy u Biednego Szymona (Rybak) i przepłynęli szczęśliwie w obec licznych ciekawych. — Napój i Koń po dwakroć--Robertraz i siedm baletów--dwukrotnie Mimili i We-sele, raz Rycerz i Jeniusz, jeden dawniej daty--miesiąc tedy bardzo obfity w rozmaite ciekawości.

---

TEATR ROZMAITOŚCI — Pierwsza w tym roku oryginalna komedya w 2ch aktach, prozą przez

młodego autora Pana Zaborowskiego powitała nas w dniu dziewiętnastym. — Sztuka na większą skalę, nowój a przynajmniej niezużytej treści, mogłaby znaleźć szczęśliwe powodzenie, gdyby autor przy zdolnościach, odznaczył się smakiem na jakich bądź wzorach zaprawionym: z prowadzenia i wystawy charakterów, niełatwo odgadnąć, której P. Zab. trzyma się drogi; czy chce być naśladowcą dzisiejszych, wyższych francuzkich komedyj; tych mamy dosyć w tłumaczeniu i nieprzynoszą żadnej rzeczywistej korzyści, wyszydając po większej części wady, obce naszym społeczeństwom; czy niemieckiej morałowej komedyi; ta nieprzypada nam do smaku; czy wreszcie wstępuje na drogę przez Fredrę odkrytą i zakwieconą; tego najmniej widać, a niemasz także widocznych zarysów oryginalności oprócz pomysłu niestartego. — Zamierza autor kom. *Służący mojego Stryja*, przedstawić nam występki *wstydu*, jakimu często podlegają dzieci, lepiej od swych rodziców wykształcone i w wyższej klasie

społeczeństwa umieszczone—występek ten zdarza się często i godzien wyśmiania. — Skreślenie charakterów, dosyć szczęśliwe, przynajmniej prawdopodobne; tkliwości więcej jak śmieszności, choć jednego i drugiego bardzo szczupło, prowadzenie mozolne a koniec byłby więcej efektywny i właściwszy, gdybyśmy szlachetnej kochanki charakter pierwiej cokolwiek poznali, bo jak w tej komedyi, wchodzi tylko dla oddania nominacyi na urząd kochankowi, który zdaje się, więcej przez wdzięczność jak z miłości, ofiaruje jej swą rękę, albo raczej przyjmuje ofiarowaną — i to jeszcze dopiero po dwóch latach ma nastąpić, lub nie nastąpić, bo dwa lata wiele zmieniają. — Styl płynny ale niezwięzły, wiele powtarzanych wyrażen ze sztuk innych, które w snach nieraz dokuczają — np. *Jestem bez pomocy, bez nadziei, bez urodzenia, bez żadnego wsparcia* — lub — *zbyt jesteś dobrym, dobrą abys miał... nadto cię kocham żebym* — prócz tego, choć raz w ciągu, musi ktoś odchodzić i żegnać na

*zawsze, na wieki, a zawsze i wiecznie wraca.*— Tak są pospolite i niezbędne te niby efektowe frazesy, że możnaby je dla ułatwienia w pracy niższej klasy autorom, wydrukować na blankietach pod tytułami scen głównych, a prawie większa połowa roboty odpadnie: spekulacya nowa — czy tylko szczęśliwego pomysłu?

Na zaletę *Służącego mojego Stryja* pozostaje wspomnieć o kilku scenach oddzielnie dobrych — Sekretarza z Leonem, dwie sceny z ojcem i monolog 2go aktu. — Dobroczynni recenzenci litować się zwykli nad poczynającymi autorami i przez miłość braterską, zaczynają od stale formułowego wyrażenia — »niewytkniemy wad sztuki, aby niezrażać« — jest to więcęć przezorność i spekulacya — mieć prawo do odwetu grzeczności i litości; my wyrzekamy się w tym razie uczuć tak pięknych, w przekonaniu, że człowiek prawdziwie zdolny, nieporzuci pióra, choćby mu całe regimenta krytyków odradzały, niezdolny nieznajdzie ani w pochwałach, ani w pobłazaniu źródła, z któregoby talent wydo-

był — a lepiej niech niesuszy siebie, i drugich nienudzi, ciągłemi próbkami: niestosujemy tego wprost do Pana Zaborowskiego, owszem niech nas zechce płodami swemi obdarzać, wszak przyjęto dobrze jego dziełko. — Wypada wszakże naprzód, aby wykształcił język swój na pisarzach wzorowych naszej dramatycznej literatury. — Wyjątek z małożnanej u nas komedyi Fredry piątego tomu, może mu poda jaką myśl szczęśliwą.

Oprócz tej jednej nowości, wszystko pozostało dawne; widowiska, jak w lecie, niemogły być tłumne, jednak dosyć liczne czasem: samych wyższych komedyj dano dziewięć, wodewilów najlepszych dzisiejszego repertoaru ośm, reszta drobne komedyjki.

(Tytuł — *Zemsta v. Odwet*. Spór Cześnika z Rejentem (Milczek) o naprawę muru granicznego i swaty wdowej, narzeczonej Cześnika, zmuszają go do odwetu; Rejentowicz więc bierze jego synowicę.— Charaktery osób widne w nazwiskach — *Papka tchórz odważny*, *marcowy kawaler*, *niemędrzec* i z cudzego żyje, *Dyndalski marszałek Cześnika*.)



## S C E N A VII.

K L A R A i P A P K A.

P A P K A.

Jak w dezertej Arabii  
Złotosięjny wzrok Febowy,  
Niesie skwarem śmierć lilii  
Aż nakłoni białej głowy;  
A zebrana na błękicie  
Płodnorodna kropla rosy,  
Wraca zwiędłej nowe życie,  
I unosi pod niebiosy —  
Równo - władna, równo - czynna  
Prezencya twoja miła,  
Starościanko miodopłynna,  
(z ukłonem) Dla twojego sługi była. —  
Jużem bliski był zwiędnięcia,  
Gdy twe oko wszystko zmienia;  
Oby kiedyś dały Bogi,  
Abym niosąc odwet drogi,  
Nim czas różnięj machnie kosą,  
Był twym żarem, był twą rosą. (ukłon głę-  
boki)

KLARA. (*ironicznie całą tę scenę—  
oddając niski ukłon.*)

Równie z rytmu jak z oręza  
Tak sławnego dostać męża,  
Jest zaszczytem białogłowy;  
Ale każdy dziś młodzieniec,  
Miłośnemi czczemi słowy  
Zwykł przeplatać ślubny wieniec,  
Trudnoż zawsze dawać wiarę.

P A P K A.

Cóż niewierzyć, wielkie Nieba!  
Że się kocha piękną Klarę,  
Czyliż na to przysięg trzeba?

K L A R A.

Ze się kocha — niepotrzeba;  
A że zawsze równie będzie,  
I przysięga nie nieznaczy.

P A P K A.

Ah na serca mego grzędzie,  
Niech twe ziarnko bujać raczy;  
A zadatek ten twój mały  
Puści korzeń wieczno-trwały.

19\*

K L A R A.

W dawnych czasach rycérz prawy,  
Lubo zdobion wieńcem sławy,  
Lubo staczał krwawe boje,  
Nim oświadczył miłość swoją —  
Ku czei drogiej swój kochanki  
W turniejowe wjeżdzał szranki;  
Tam na kopją dzielnie gonił,  
Po dziesięciu zsadzał z koni,  
I dopiero gdy się skłonił  
Wziąć nagrodę z lubej dłoni,  
Błagał, aby sercu miła  
Kochać mu się pozwoliła —  
By mu wolno pod jój barwą  
Kruszyć kopje, miecze ścięrać,  
Dla niej tylko, żyć, umierać.

P A P K A.

Z tego stroju, i z téj broni,  
Marsowego znać piastuna,  
Co w rycérskiej zbiegł pogoni  
Od bieguna do bieguna.

Oby moja Artemiza;  
Światu groźne to żelazo,  
Krwia jak gąbka napęczniała,  
Przemówiło choć tą razą  
Wam na wiare, mnie na chwałę —  
    *(Z coraz większym zapamię)*  
Gdzie na skale gród kamienny,  
Gdzie działami mur brzemienny,  
Gdzie bagnatów ostre wały,  
Gdzie sklepienie z ǳid i szablą,  
Tam był Papka — lew zuchwały!  
Strzelec boski! — rębacz diabli!  
Jęk, szcęk, krzyk, ryk, śmierć do koła  
Tu bezbronny pardon woła,  
Tu dziewica ręce łamie,  
Matka płacze — dziecko kwili —  
Ale spada moje ramię,  
Ci co żywi — już nieżyli. —  
    *(Klara parszcha śmiechem)*  
Przebacz zapamię zgrozo-krwawy  
Rycerskiego uniesienia,  
Ale widzisz: dość mam sławy;

Brak mi tylko pozwolenia  
Bym w fortunnych stanął rzędzie,  
Których celem Klara będzie.

KLARA. Więc zezwalam.

PAPKA. (*klękając*) Przyjmij śluby...

K L A R A.

Hola! — teraz lata próby,  
W nich dowody posłuszeństwa,  
Wytrwałości i śmiałości.

P A P K A.

O królowo wszech piękności!  
Ornamencie człowieczeństwa!  
Powiedz: w ogień skocz Papkinie —  
A twój Papka w ogniu zginie. (*wstaje*)

K L A R A.

Nietak srogie mę żądanie.  
Klejnot rycerskiego stanu  
Pastwą ognia niezostanie. —  
Lecz powtarzam Wasz Mość Panu:  
Posłuszeństwa, wytrwałości  
I śmiałości żądam próby.

P A P K A.

W każdej znajdę powód chluby.

K L A R A.

Posłuszeństwa chcąc dać miarę,  
Milezcć trzeba sześć miesięcy.

P A P K A. Nie negadać!

K L A R A. Tak — nic więcej.

Wytrwałości zaś dam wiarę,  
Gdy o chlebie i o wodzie...

P A P K A.

Tylko przebóg, niezbyt długo!

K L A R A. Rok i dni sześć.

P A P K A. (*boleśnie*) Jestem w grobie...

(*Z ukłonenem*) Ale zawsze twoim sługą;

K L A R A.

Zaś śmiałości, w tym sposobie  
Da mi dowód, kto dać zechce:  
W oddalonej stąd krainie  
Jadowity potwór słynie,  
Najmężniejszymi trwogą bywa,  
Krokodylem się nazywa;

Niech go' schwyci i przysławi;  
Moje oko nim zabawi,  
Bom ciekawa jest nad miarę,  
Widzieć żywą tę poczwarę.  
To jest wolą niewzruszoną —  
A kto spełni co ja każę,  
Ten powiedzie przed ołtarze,  
Tego tylko będę żoną. (*Ukloniwszy się  
odchodzi w drzwi prawe.*)

### SCENA VIII.

PAPKA (*po długim milczeniu*)  
Krrrokodyla! (*ironicznie*) Tylko tyle! —  
Co za koncept u kaduka!  
Pannom w głowie krokodyle,  
Bo dziś każda zgrozy szuka;  
To dziś modne, wdzięczne, ładne,  
Co zabójcze, co szkaradne. —  
Dawniej, młoda panienczka  
Mile rzekła kochankowi:  
Daj mi luby kanareczka. —  
A dziś każda swemu powie:

Jesli niecheesz mojej zguby;

Krrrokodyla daj mi luby. —

*(Po krótkim milczeniu.)*

Post, milczenie, wszystko fraszka,

Straży przy mnie niepostawi —

Ale potwór nieigraszka,

Czart nie Papka go przystawi.

*(Idzie ku drzwiom prawym i spotyka się z wybiegającym Wacławem)* Ha!

*(Z aktu IVgo)*

### S C E N A III.

PAPKA, później DYNDALSKI.

*(Papka po długim milczeniu krzywi się, potem maca się po brzuchu.)*

Tu coś boli — O! Aj! piecze —

Ah to wino! takie męty!

O zbrodniarzu! O przekłety!

Takę piękną niszczysz różę!

*(Dyndalski wychodzi z drzwi lewych.)*

Ah Dyndalsiu! eny człowiecze!

Ah powiedzcie, czy być może?



DYNDALSKI. Co, czy może?

PAPKA. Ze ta źmija,

Ten w Rejenta czart wcielony,

Dziś trucizną mnie zabija.

DYNDALSKI. Ej, gdzie znowu!

PAPKA. Niewierzycie?

DYNDALSKI.

Ktoby się tam i łakomił

Na Wasz Mości nędzne życie!

PAPKA. Nic niebędzie zatem złego?

DYNDALSKI. Ej nie.

PAPKA. Czesnik mówił przecie....

DYNDALSKI.

Ha, to znowu co innemu,

Jaśnie Panu wszystko w świecie

Tak jest znane, jakby komu

Mój paniczu w własnym domu.

Otrud! — proszę — co za psota!

PAPKA.

Jakaż wasza teraz rada?

Robić, począć, co wypada?

D Y N ̄ D A L S K I.

Ha! (*zażywa*) Po księdza posłać trzeba--

(*wchodząc w drzwi środkowe*)

Proszę, proszę, to niecnota!

### S C E N A IV.

P A P K A. (*rzucając się na krzesło*)

Umrzć, umrzć, wielkie nieba!

(*po krótkim milczeniu*)

Lecz gdzież była moja głowa!

Jam go beształ, mieszał z błotem,

On traktament miał dać potem;

I ten pośpiech jego wielki

Z jakim wziął się do butelki,

Z jakim nalał lampkę całą!

Jeszcze ze mi było mało! —

Tak, połknąłem, mam truciznę,

Już się z tego niewyśliznę;

Więc testament mój ułożę —

(*z płuczem nieprzesadzonym*)

Potem pogrzeb swój zapłacę —

Potym — *Requiescat in pace.*  
(*Papka ocierając często z łez oczy*  
*pisze czas jakiś.*)

## S C E N A V.

PAPKA, CZEŚNIK, DYNDALSKI.

CZEŚNIK.

Hola, hola, nie tak zrobię —  
Wszystko to są z mydła bańki —  
Lepszą zemstę przysposobię —  
Ale trzeba zażyć z mańki. —  
Byłem syna dostał w siatkę,  
Mam na niego dobrą klatkę;  
A tatulem się niestraszę,  
Potem o tém — (*do Papki*)

Puszczaj Wasze.

PAPKA (*nieoglądając się*)

Ja testament teraz piszę.

CZEŚNIK.

Niechże o tém już niesłyszę,  
Bo do czubków odwieść każę.

PAPKA (*wstając*)

Czy tak? — (*do siebie*) Zaraz legat zmażę.

(*Papka przenosi się do stolika po  
lewą stronę będącego*)

CZEŚNIK (*do Dyndalskiego*)

Siadaj Waś tu — zmaczaj pióro,

Będziesz pisał po mém słowie.

DYNDALSKI.

Stawiam tytle niezbyt skoro.

CZEŚNIK.

Właśnie babskiej trzeba ręki —

Zycie w zakład, gaszka złowię —

Dobrze będzie.

DYNDALSKI.

(*Usiadłszy bokiem do widzów naprzeciwko  
Cześnika i wkładając okulary.*)

Bogu dzięki!

CZEŚNIK.

Teraz trzeba pisać właśnie

Jakby Klara do Wacława.

DYNDALSKI. O! o!

CZEŚNIK. No cóż: O, o —?

DYNDALSKI (*podnosząc się*)      Jaśnie  
Panie, wszakto despekt dla niej.

C Z E Ś N I K.

Co się Waszeć o to pyta,  
Maczaj pióro — pisz i kwita.

*(Dyndalski siada wyprostowany na brzeжку krzesła i macza pióro — Papka w ciągu tej sceny pisze — czasem wstaje — przechodzi się w głębi — macza pióro u stolika, przy którym Cześnik siedzi — znowu siada — ciągle płacząc, wszakże bez przesady.)*

C Z E Ś N I K. (*po krótkim milczeniu*)

Tylko że to Mocium Panie,  
Aby udać, trzeba sztuki,  
Owe brednie, banialuki,  
To miłosne świegotanie — (*myśli*)  
Jak tu zacząć Mocium Panie.

DYNDALSKI (*podnosząc się*)

Cnym afektem ulubiony . . .

C Z E Ś N I K.

O . . . o . . . o . . . ! Jak od żony —  
A tu trzeba, pół, ćwierć słowa,

Ni tak, ni siak — niby owa:

»I chciałabym i boję się«

O! — już wiesz — no! — na tém sztuka...

Lecz nie Waści w tém nauka.

Pisz Waśc: (*nuci*) zaraz, (*nuci*)

(*dyktując*) Bardzo proszę.

(*pokazując palcem na pismo*)

Co to jest?

DYNDALSKI

(*podnosząc się — jak to za każdym razem kiedy,  
mówi do Cześnika.*)

B.

CZEŚNIK. To?

DYNDALSKI. B duże —

*A Capite*, Jaśnie Panie.

CZEŚNIK (*przez stół patrząc*)

B? — to, kréska — gdzież dwa brzuszki?

DYNDALSKI.

Jeden w spodzie, drugi w górze.

CZEŚNIK (*dostając okularów*)

Cóż u czarta! (*bierze papier*)

Tac jest — duże —

20\*

*(Tu Papka nachyla się przez Cześnika chcąc zmaczać pióro — ten go odtrąca mówiąc co niżej, potem prowadzi oczyma aż na miejsce)*

Czy go!..

*(Papka odtrącony odchodzi: przystępując z tyłu do stolika stąpa na nogę Dyndalskiemu.)*

DYNDALSKI. Ta, bo!..

CZEŚNIK *(przypatrując się pismu)*

B, B duże.

Kto pomyśli, może zgadnie.

No, no — pisz Waść — a dokładnie.

*(dyktuje)* Bardzo proszę... Mocium Panie...

Mocium Panie... me wezwanie...

Mocium Panie . . wziąć w sposobie, . . .

Mocium Panie, wziąć w sposobie

Jako ufność ku osobie..

Mocium Panie, Wasz Mość Pana;

Która lubo mało znana,

Która lubo mało znana . . .

*(pokazując palcem)* Cóż to jest?

DYNDALSKI *(podnosząc się)*

Żyd, Jaśnie Panie —

Lecz w literę go przerobię.

CZEŚNIK.

Jak mi jeszcze kropla skapie,  
To cię trzepnę tak po łapie,  
Aż Proformę wspomnisz sobie —  
Czytaj Waść —

(*Dyndalski obciera pot aż po karku.*)

No! Jak tam było?

DYNDALSKI (*czyta*)

Bardzo proszę Mocium Panie  
Mocium Panie me wezwanie  
Mocium Panie wziąć w sposobie  
Mocium . . . .

CZEŚNIK (*wyrywa i drze papier*)

Niech cię czarci chwycą,  
Z taką pustą mózgownicą!  
»Mocium Panie« cymbał pisze!

DYNDALSKI.

Jaśnie Pana własne słowo.

CZEŚNIK.

Milez Waść! — Przepisz to *de novo*  
»Mocium Panie« opuść wszędzie.



DYNDALSKI (*chcąc zbierać kawałki*)

Z tych kawałków trudno będzie.

CZEŚNIK.

Pisz *de novo* — pisz, powiadam —

Mózgu we łbie za trzy grosze!

Siadaj! — siadaj mówię —

DYNDALSKI. Siadam.

CZEŚNIK.

I powtarzaj (*dyktuje*) Bardzo proszę

Moc . . . (*zatyka sobie usta ręką*)

DYNDALSKI (*powtarzając napisane*)

Moc.

CZEŚNIK (*zrywając się*)

Co, moc? cóż moc znaczy? —

Z tym hebesem niepomocze;

Trzeba zrobić to inaczej —

Nawet lepiej będzie może

Gdy wyprawię doń pachole

Z ustną prośbą — tak, tak wolę —

(*ze Sceny VI*)

ПАРКА. (*do Klary.*)

Ten testament wręczone ci.

Racz posłuchać jakby matka

I zapłakać na mym grobie.

(Czyta tży często ociérając)

»Ja Józef Papka syn mego ojca Jana Papki . . .

(czule) Jana, Jana — Jan mu było.

(czyta) »Będąc zupełnie zdrów na ciele i umy-  
»śle, ale niemogąc wiedzieć kiedy umrę . . .

Oczywiście.

»Bo jestem otruty przez Rejenta Milczka w lam-  
»pce wina . . .

W lampce wina.

»Robię ten testament czyli ostatnie rozporzą-  
»dzenie mojego ruchomego i nieruchomego  
»majątku —

»Nieruchomym rozporządzić niemogę, bo za-  
»dnego nié mam . . .

Niemogę.

»Ruchomości zaś, tak rozdaję: — Tej, którąm  
»zawsze kochał, czczył, szanował i ubóstwiał,  
»JW. Klarze Raptusiewiczównie, Starościance  
»Zakroczymskiej daruję angielską gitarę i rza-  
»dką kolekcją motyli, będącą teraz w zasta-  
»wie — Artemizę» . . . .

Cześnikowi dać ją chciałem,

Ale teraz przemazałem.

»Artemizę dostanie najdzielniejszy rycerz w  
»Europie, pod warunkiem, aby pomnik posta-  
»wił na mym grobie — z resztą ruchomości  
»chcę być pochowany. — (*ociéra tzy*) JWgo  
»Cześnika zaś i JWną Starościankę jako ekse-  
»kutorów testamentu suplikuję, aby moje wszy-  
»stkie długi, jakie się tylko pokażą — niepła-  
»cili; gdyż chcę przeto braciom moim różnego  
»stanu i wyznania, zostawić po sobie pamiątkę.—

*Józef Papka.\**

Józef Papka *incognito* —

Na tytuły miejsca niema —

Weź więc — i co tu wyryto

Niech twa pamięć wiecznie trzyma.



# WRZESIEŃ.

Jesień płynie, z jesienią  
ciągną się długie wieczory.

---

WIELKI TEATR. — Na pierwszy dzień zaraz, dano nową komedią *Anioł Opiekuńczy* ze śpiewem i chórami w 3ch aktach, z francuskiego tłumaczoną. Śpiewki bardzo zręczne i muzyka Pana Damse przyjemna. — Jedyną zaletą téj komedyi jest dobre tłumaczenie—gra dobra artystów niemogła jéj utrzymać ani na wielkiej ani na małej scenie; główne role mają Pan Komorowski i Panna Daszkiewicz (*Anioł Opiekuńczy.*) Rzecz rozrzucona w trzech od-

dalonych od siebie na mil kilkadziesiąt miejscach, rozrzuca nadto uwagę i nierobi złudzenia: Anioł Opiekuńczy, *kobieta*, w męskim stroju, jak przyjaciel swego kochanka, wszędzie z nim, za nim, śledzi go, strzeże, broni; — za mało prawdopodobieństwa, a nawet zupełne niepodobieństwo. Na pierwszym przedstawieniu w niedzielę, było bardzo wielu — powtórzona parę razy na małej scenie, zgromadzonych zadowalała.

Dnia 14go, w dramie *Pojedynek*, Pani Halpert po kilkumiesięcznej nieobecności, występując, za okazaniem się, przyjęta była oklaskami, jakich godna znakomita artystka; — w czasie gry, powszechnie brawa ciągle wznawiano.

Siedmnastego przedstawiono setny raz balet *Wesele w Ojcowie* i przyjęcie było takie, jakby go publiczność dopiero kilkakroć widziała. — Wiele zmian w artystach widział ten balet. — Pan Damse tylko od początku do jubileuszowego dotrwał widowiska w roli Ojca, czasem rzeczywiście własnych dzieci. — Sławnego solo mazura, tańczyła niegdyś Panna

Antonina Palczewska, po niej Mierzyńska, dalej Frejlich, dziś Trawna, — tancerki te, godnie po sobie następowały.

Zresztą widowiska w ciągu całego miesiąca były znacznie liczniejsze; balety, oprócz Sylfidy, wszystkie najlepsze z dzisiejszych czasów, zawsze sprowadzały najwięcej; — opery, oprócz Roberta, równie sławnych mistrzów; dramy spoczywające, albo choć dawane, to dla nowoprobujących sił swych uczennic i uczniów odżyły po powrocie słynnej artystki.

---

TEATR ROZMAITOŚCI. — Na nim przedstawiono dwie wznowione, komedyo-operę *Wesbranie Wisły* 6go i komedią *Oryginały*, 16go obie zasłużonego L. A. Dmuszewskiego. Mąż ten znany zaszczytnie polskiej scenie, talentem, pisarza i artysty dramatycznego, szczęśliwy i dziś jeszcze widział swe dzieła przyjmowane przez nowe pokolenie widzów, z témże samém

żywém zadowoleniem. — *Wezbranie i Oryginy*, pierwsza wierszem, bardzo gładkimi wyborną polszczyzną, druga prozą, były przed dwudziestokilka laty przedstawiane, w właściwym i zbawiennym celu. *Wezbranie* z okoliczności, okropnego wypadku w 1813 roku, który się w 1839 powtórzył, ze smutniejszymi może skutkami. — Przytaczamy tu niektóre zwrotki, szlachcica poczciwego Kiereszy. — *Oryginy* sławna niegdyś komedia gdzie autor francuzki, zamierzył wyśmiać wady próżniackiej młodzieży, junakieryi już wychodzącej dziś z mody, pijaństwa i głupstwa, dotąd szeroko i trwale rozgałęzionych — cel najlepszy. — Gra li PP. Kudlicz, Żółkowski, Komorowski i Jastrzębowski — każdego talent, objawił się tu w właściwem świetle.

Cały czas publiczność dosyć licznie przychodziła — długo niewidziane salonowe komedye, sprowadzały więcej słuchaczów, obok nich, wodewile i farsy nieutraciły swęj wartości.

## S C E N A II.

(Schadzka męża Ludwika z Hrabinią.)

HENRYK, później CECYLJA.

HENRYK. (*śpiesznie wchodzi, zdaje się słuchać*) Druga godzina!... zdawało mi się słyszeć!... (*trzy puknięcia do drzwi*) Otóż ona! (*otwiera drzwiczki i wprowadza Cecylją*) Piękna Cecyljo!.... jakżeś blada!.... czy miałaś jaki przypadek?

CECYLJA. Żadnego; jednakże Pan de Girty powrócił dzisiaj rana.

HENRYK. Czy się co wydarzyło w zamku?

CECYLJA. Nie.

HENRYK. Cóż tobie jest? niemogę pojąć wczorajszej twojej zimnej obojętności, ani dzisiejszego przerażenia.

CECYLJA. Cóż to za pomnik pomiędzy temi drzewami?

HENRYK. Grób.

CECYLJA. Grób!

HENRYK. Oddalmy się stąd.

CECYLJA. Nie, zostanmy.



HENRYK. To miejsce jest świętem dla rodziny .... pójdź ....

CECYLJA. (z *ś*) *wością*) Nie? trzeba zostać, zostać przy tym grobie.

HENRYK. Jakież złowróżbne myśli! twój przestרח minowolnie mię przenika!

CECYLJA. Bolesne przeczucie .... Henryku, bądź gotów .... nieszczęście szerzy się nad nami .... czy niewidzisz poruszających się tych drzew — ktoś idzie.

HENRYK. Cecyljo!

CECYLJA. Milczenie! słuchaj. (*wskazuje na grobowiec, i kiedy oboje zwrócone mają oczy w tę stronę, Ludwika w bieli ubrana staje w pośró*d nich.)

### S C E N A III.

HENRYK, LUDWIKA, CECYLJA.

HENRYK. (*odwracając się*) Niema nikogo! (*postrzega Ludwikę*) Nieba! Ludwika!

CECYLJA. (*drżąca*) Pani! przyszłam ....

HENRYK. Co mówisz?... wiedziałas.... jakaz tajemnica?..

LUDWIKA. Przyrzekła ją.

HENRYK. Przyrzekła! — Komu?

LUDWIKA. Mnie, Panie de Lignerolles.

HENRYK. (*z oburzeniem*) Tobie!... ah!... otóż wyjaśniony przestach Pani i usiłowania, aby mię zatrzymać.

CECYLJA. Nieobwiniaj mię....

HENRYK. (*coraz mocniej*) Nie ciebie obwiniam. (*do Ludwiki*) Czy mogę wiedzieć jaką rolę Pani mi przeznaczyłaś?... w jakim celu, jakim prawem sprowadziłaś mię w to miejsce?

LUDWIKA. Jakiem prawem? jest nas troje w tym miejscu, i ty mię pytasz jakim prawem!..

HENRYK. (*z wybuchem*) Pani! gdybym zawinił przeciw tobie,... czyliż niedomnie samego udać się powinnaś?... czyliż ci wolno naigrawać się z męża, i wciągnąć go w sidła śmieśszności? widzę bowiem, że to miejsce zejścia są sidła zastawione.

LUDWIKA. Ah jakże ta kobieta zmieniła twoje serce!

CECYLJA. Przebaczania! przestрах i żal drżeniem mię ogarnia.

HENRYK. (*do Cecylii*) Nieponiżaj się, bo ja ciebie poniżyć niepozwołę. Pójdź Pani: dopóki ja przy tobie, mieć będziesz zawsze obrońcę.

LUDWIKA. Śmiałżebyś mię tak znieważać!..

HENRYK. Zniewaga za zniewagę.

LUDWIKA. Przestań panie!.. moja matka jest tam, lękaj się, aby cię nieusłyszała!

HENRYK. Na ciebie spada sromota.

LUDWIKA. Na mnie!

HENRYK. Tak, na ciebie, żeś skaziła miejsce jej grobu podobnym postępowaniem.

LUDWIKA. (*z mocą*) Ah! nie zniosę oskarżenia w obec mojej matki!... powinnam się usprawiedliwić! A więc (*odwracając się do Cecylii*) Pani bądź naszym sędzią!

CECYLJA. Ja! . . . .

LUDWIKA. Tak ty! będziesz sprawiedliwszą dla mnie jak ten, któremu poświęciłam daj i

wszystkie myśli moje! Powiedz! powiedz Pani! wczoraj, kiedy znalazłam ten list, czyliż nie mogłam udać się natychmiast do Margrabiego i zatruć wasze życie jak wy moje zatruliście?

CECYLJA. Och! jakaż wspaniałomyślność!

LUDWIKA. Wczoraj, kiedy się dowiedziałam w obecności wszystkich, że ty jesteś ta Cecylja, która mi śmierć zadała, ukryłam oburzenie duszy i wyrzekłszy tylko do ojca »uprowadź mnie« wstrzymałam łzy, stłumiłam jęk w sercu z narażeniem nawet życia?....

CECYLJA. To prawda!

LUDWIKA. Wczoraj kiedy byliście sami i mój ojciec zszedł was niespodzianie... kto was ocalił?

CECYLJA. Ty! ty!

LUDWIKA. (do Henryka) Czy słyszysz! a ty czarujesz mnie że cię poniżyć chciała! Któż ja jestem, ja!... twój honor czyż nie jest moim? (Poruszenie Henryka.)

LUDWIKA. Tak, ja powiedziałam pani »przyjdiesz« tak, ja obrałam to miejsce zejścia, ale wiesz-że dla czego?... czy wiesz?

CECYLJA. Boże! cóż się zemną dzieje!...

LUDWIKA. Gardzę nikiemną zazdrością  
gardzę zemstą; te uczucia nie dla mnie!... Rzekłam do ciebie: sprowadzę ich oboje do grobu  
mojej matki, i kiedy będą w tém świętem miejscu,  
przy wzniosłym i błogosławionym cieniu,  
któremu Henryk przysiągł uczynić mię szczęśliwą,  
zbliżę się do nich, i tam, bez wyrzutów,  
bez goryczy, powiem jej: »powróć mi Henryka«  
kocham go całą mocą duszy.... niemożę żyć  
bez niego!... jestem jego żoną!... powróć mi  
Henryka!

HENRYK. Ludwiko!

LUDWIKA. A jeżeli serca ich są szlachetne,  
mówiłam do siebie, widząc znękaną cierpieniem  
duszę, stargane dni życia, kiedy im powiem, że  
umrę, jeżeli się nierozłączą, i kiedy im to  
powiem tutaj—z oczyma pełnemi łez, z zbolełym  
sercem.... ah!... łzy mówić mi niedozwalają.

HENRYK. Zgryzota odzywa się we mnie!

LUDWIKA. Taka była myśl moja! dla tego  
pragnęłam, aby matka była obecna, moja mat-

ka Henryku, która powiedziała ci, że umiera spokojnie, bo ty jesteś mężem jej córki, moja matka, którą mówisz, że okrywam zniewagą, nie! to był szacunek! to była miłość!... a ty uważałeś ten czyn jako podstępne sidła!... ah Henryku!... (*chcę odejść*)

HENRYK. Oh!

CECYLJA. Wstrzymaj się Pani! ja powinienam się oddać! (*Ludwika zatrzymuje się*) Ah! byłabym chętnie oddała życie, aby cię nieobrazić. Jak niepojętą masz władzę! Wstyd powinien mię obarczać, a przejęta jestem wdzięcznością i uwielbieniem.

LUDWIKA. Płaczesz... ah wiedziałam dobrze, że ulitujesz się nademną.

CECYLJA. Będziesz więc tyle wspaniała, że uwierzysz wyrzutom, które sama sobie czynię! powiedz mi, że niepogardzasz mną!...

LUDWIKA. (*podaje rękę Cecylii*) Załuję cię i przebaczam.

CECYLJA. (*ucatłowawszy rękę Ludwiki*) Ah Panie, jakże mogłeś mię pokochać! Już ni-

gdy się z sobą widzieć niebędziemy! oh! nigdy!  
(*odchodzi małemi drzwiczkami*)

## S C E N A IV.

L U D W I K A i H E N R Y K.

H E N R Y K. Ludwiko! Ludwiko! klęcząc u nóg twoich!.. nienawidzę samego siebie, brzydę się sobą!

L U D W I K A. Powstań Henryku.

H E N R Y K. Nie! nie!... o jakżeś była piękna i szlachetna!... tej kobiecie ani jednego upokarzającego wyrazu! mnie występnemu ani jednego wyrzutu! Oh! powinienbym całować, łzami zléwać twoje stopy, i tu umrzeć z żalu i wyrzutów sumienia!

L U D W I K A. Czyliż usta moje niewyrzekły już przebaczenia? Teraz będę się tylko starała ażebym mogła zapomnieć.

H E N R Y K. Oh! zapomnij i przebacz, bo moja rozpacz jest tak straszną i tak cię uwielbiam, iż zdaje mi się, że nie jestem zupełnie ciebie,

niegodny (*poruszenie Ludwika*) bo we mnie jest zjednoczenie charakterów dwóch ludzi; pierwszy szczerzy i prawy, który rozumie powinność, który wystawił w sercu ołtarz dla wszystkiego co jest szlachetnem . . . ten jest lepszy, ten cześć tobie oddaje. Drugi, nierozumny, drażliwy, ognisty, którego wszystko upaja, którego piękne sztuki pociągają, talent unosi, którego chęć podobania się temu co się podoba zmysłów pozbawia. — Ten jest gorszym, ten cię zwiódł, tego ja nienawidzę . . . .

LUDWIK A. Henryku! . . . .

HENRYK. Straszliwe słońce osad rozognia jeszcze krew moją . . . głowa, tylko głowa przekłeta! . . . ale Ludwiko! serce, serce! ten przybytek święty przywiązania, twojem tylko zajęte wyobrażeniem. Od tej chwili serce, życie całe do ciebie należy, wszystko się łączy, aby ciebie samą kochać, i kocham cię! kocham!

LUDWIK A. Ah niewymawiaj tego wyrazu, Henryku jeszcze on boleść we mnie budzi.



HENRYK. Pragnę go wymawiać, bo on jest duszą moją całą; tu jestem tak pewnym, że już niebędę występny. W zaślepieniu niepomyślałem nigdy o twojej bolesti; ale widziałem cię płaczącą! Oh Ludwiko! każda łza twoja padając na moje serce, oczyszczała je.... i zmieniała zupełnie; ta istota niestała, zła, o której ci niedawno wspominałem, już nie żyje, zabiłaś ją i teraz tylko ty jesteś we mnie.

LUDWIKA. Jakże ci mogę wierzyć!....

HENRYK. Oh Boże! dowodu!... dowodu!... mieć ich tyle w głębi duszy a niemódcz przekonać — ale patrz na mnie, słuchaj! powinno być coś w oczach, w głosie, coś świadczącego o tem, co się dzieje w sercu... spojrzysz na mnie, czyliż cała moja istność nieprzemawia, że cię ubóstwiam?

LUDWIKA. Henryku! niezwódź mię; pragnąc pocieszyć niestaraj się powiększać uczuć, które dla ciebie żywią; bo po tylu cierpieniach jeżeli mam teraz doznać radości aby cierpieć jeszcze.... ah... czuję... nieprzeżyłabym tego!

HENRYK. Niełękaj się... to był pierwszy powód boleści i będzie ostatni. (*z natchnieniem*) Ludwiko, twoja matka jest tu... pomiędzy nami jako cień drogi.... jak anioł.... wierzysz temu, że nas widzi! że nas słyszy.... a więc w jej obecności przysięgam, że nigdy z mojej przyczyny łza niezrosi twojego lica.

LUDWIKA. Oh! zaczynam wierzyć.

HENRYK. Ze żadna kobieta nawet na chwilę niezajmie najmniejszego miejsca w tej duszy.

LUDWIKA. Mów, mów jeszcze!

HENRYK. Ze moją krew, myśl i życie poświęcę na zagojenie zadanej ci rany.

LUDWIKA. Wierzę ci, wierzę Henryku!

HENRYK. Ajeżelibyś wątpiła — jeszcze....

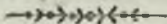
LUDWIKA. Nie, już niewątpię.... zapominam.... niewiem... nowe się życie dla mnie zaczyna... zdaje mi się, że pierwszy raz słyszę z ust twoich: kocham cię!..

HENRYK. Ah! odzyskałem znowu moją Ludwikę!

LUDWIKA. Tak, twoją jestem Henryku!...  
Oh jak szczęście drogiem jest dla serca... Hen-  
ryku!... pójdź uściskać nasze dziecię!

HENRYK. Tak, pójdźmy! (*odchodzą — Lu-  
dwika wsparta lekko na ramieniu męża, ma-  
jąc już wyjść, odwraca się do grobowca.*)

LUDWIKA. Dziękuję ci moja matko!



## PAŹDZIERNIK.

Tak w noc miesięczną wyglądają świetnie  
Na czole Ponar zasadzone bory,  
Gdy z nich oskubie wicher szaty letnie,  
A rosa jasne wieszając bisiory,  
Nagle się mrozem w szron perłowy zetnie;  
Błędnym przechodniom zdają się u wniścia  
Lasy ze srebra, a z kryształu liścia.

(Grażyna.)

---

WIELKI TEATR. — W tym jednym miesiącu przedstawiono na większej scenie trzy znakomitsze dzieła; balet wznowiony *Stach i Zośka* w jednym akcie 17, układu P. Morysa z muzyką P. Stefaniego; dwie dramy, *Ludwika de Lignerolles* w 5ciu aktach 6go, i *Dziadek Guérin* w 2ch aktach 27go.

Pomysł układu tańców przy licznymi doskonale wyuczonymi chórze śpiewów mazowieckich, jest zupełnie nowy, przedziwny i zawsze, choćby codzień powtarzany, niestraci powabu. Główne role mają: Panna Gwozdecka i P. Morys — tańce większe Pani Turczynowicz, Panna Zdanowicz i Panowie Turczynowicz i Domagalski; czego po takim składzie można oczekiwać, niech czytelnik raczy przejrzeć imiona tych artystów, już niejednokrotnie wspomnianych. — Ubiory nowe, odmienne od tych, jakie widzimy w *Weselu*, zawsze piękne; w czasie tańców z towarzyszeniem chóru, *dana, dana*, niezwykle a rokosznych doznaje się uczuć. — Przyjęcie pełne gwaru, zapału — kilkakroć powtórzony do końca roku, miał tłumy widzów, i zapewne nadal mieć będzie!

Ludwika drama, z której dla próby tłumaczenia przytoczyliśmy wyjątek jednej, stanowczej w 3cim akcji sceny, sześć razy przedstawiona, na dwa pierwsze sprowadziła wielu słuchaczy. — Jestto najpiękniejsza może z dram

dzisiaj na scenie naszej grywanej, oprócz *Oblubienicy*: wszystkie charaktery najdokładniej skreślone, wszystkie niepospolite i trudne do oddania. — Mąż Ludwiki, człowiek ognisty, poeta, z zarodem najlepszych skłonności, ale namiętny—namiętność ta prowadzi go naprzód do niewiary dla najszlachetniejszej małżonki, do niewiary po złożeniu powtórnej przysięgi, ni-by odnowionych ślubów i nakoniec jego śmiercią się kończy; P. Komorowski pojął ten charakter we wszystkich odcieniach i oddał dokładnie. Ludwika (Panna Est. Mozdżeńska) wzór szlachetnej, wielkiej duszy, wzór wytrwałości w cierpieniach — poświęca wszystko dla domowego pokoju, dla honoru rodziny. — Ojciec Ludwiki (P. Kudlicz) przywiązany i strzegący swego dziecka, jako jedyne go skarbu, nie tyle jednak szczęśliwie wprowadzony przez autorów jak inne osoby. — Młoda hrabina, zajmująca, światowego zepsucia (rola Panny Münchensang) dla drażliwych położeń, nie dla samego charakteru, potrzebuje doświadczonej artystki ta-

rentu — mąż jej, prawy, wielkiej mocy duszy, nieulekły i nieupadający pod ciężarem rozpacz; charakter który Pan Bogusławski oddał szczęśliwie, w czwartym szczególnie akcie wzbudzić zadowolenie.

*Dziadek Guérin* ma w pierwszym akcie, scenę bardzo tkliwą, gdy starzec nieszczęsny, wypędzony z domu własnej córki żegna drogiego wnuczka, ściska, łzami się zalewa i niemoże się oderwać od niego, scena, na którą nie tylko rodzice, od łez powstrzymać się nie mogą. — Drugi akt cały daleko więcej zajmuje. — W końcu zwrot do publiczności, zdaje nam się niewłaściwy w tak poważnej dramie — całe wzruszenie w jednej chwili niknie. — Celem sztuki jest dowieść, że człowiek choćby obsypany dobrodziejstwami największemi — łatwo święty obowiązek wdzięczności, za najmniejszym podejrzeniem, zamienia w nienawiść i żądzę zemsty, jak również niewiele potrzebuje aby zapomniał nienawiści i podał rękę inniemanemu wrogowi. — Obie dramy tłumaczył Pan Jasiń-

ski; staranny przekład, dobry wybór i gra w drugiej sztuce głównej roli, torują mu drogę do względów publiczności, dla której z takim zamiłowaniem i pracą nieprzestaje się poświęcać.

W miesiącu tym przedstawiono dram największej — sześć baletów, z których jeden Jeniusz Różowy ukazał nam nową Leorę, Pannę Trawnę.

Oper trzy, po dwakroć *Napój* i jeszcze *Robert*, na którym wszystkie miejsca były zajęte.

---

TEATR ROZMAITOŚCI. — Jedna tylko nowa farsa p. t: *Karol i Karolina*, zjawiała się i pomimo talentu Pana Zołkowskiego, upadła. — Ani gry, ani treści sztuki nieczujemy potrzeby rozbiierać, po tak niekorzystnym a ogólnym całej powszechności zdaniu.

Wyższych komedyj jak *Mąż i Żona*. *Księżna*, widzieliśmy więcej jak zwykle w tych czasach bywało. Modna hierarchia, w Październiku, urzędownie nieotwiera wieczorów,



raczy więc czasem zaszczycić naszą komedią w Warszawie. — Kilka dobrych wodewilów i komedyj, fars stosowna ilość pod zwierzchnictwem *Icka* jako Sędzi, bez którego żaden miesiąc, na scenie obejść się niemoże. — Na koniec *Dziadek Guerin* przeniósł się na małą scenę, gdzie znalazł wdzięczniejszych słuchaczy. — Szkoda, że tu odrazu niezajął miejsca, a szukał chwały u *zimnych* na *wielkim* świecie. — Wszystkie widowiska były liczne i humor ożywiony.



## LISTOPAD.

Świta, świta, rzedną chmury!  
Dobra nasza, niéma grudy;  
Śnieżek pruszy, przednie pole,  
Można jakoś zabić nudy  
Choć ładaco ingla na dule.

Ho gajowy!

Czas na lowy.

(J. B. Zaleski.)

---

WIELKI TETAR. — Dwudziestego szóstego wznowiono komedią ułożoną z romansu P. Ducange p. t. *Leonida*. Wszystkie prawie znaczniejsze role przedstawili nowi artyści, szczególnie Panna Alina *Sosnowska*, uczennica szkoły dramatycznej, pierwszy raz występująca na scenę, rolę główną Leonidy i Panna Teressa

Damse, dawniej dziecinne role grywająca z zadowoleniem, ukazała się w charakterze, który najlepiej odpowiada jej zdolnościom, w charakterze dowcipnej i żwawej wieśniaczki, rola nigdyś Panny Werowskiej. — Próba Panny Sosnowskiej korzystnie jej usposobienia objawiła, Panna Damse odbierała często sprawiedliwe oklaski i sentymentalną komedią, ożywiła grą bardzo trafną i przyjemną.

W operze Halevy, *Błyskawica*, danej dnia 10go, wystąpił Pan Dobrski pierwszy raz po ciężkiej i niebezpiecznej chorobie a blisko pięcio-miesięcznej nieobecności na scenie i przyjęty został z zapalem jakiego mógł się spodziewać. — Pokilkakroć wznawiała publiczność oklaski i głosy takiego współczucia i życzliwości, musiały przejść do głębi duszy ulubionego śpiewaka — pierwszą też prześliczną arią odspiewał z niewymownem czuciem i tkliwością, i w całym ciągu opery powszechnie zyskiwał zadowolenie a w końcu dwukrotnie został przywołany.

Baletów siedm, jako *Stach* dwa razy powtórzony, *Wesele*, *Mimili*, *Mars* i dwa inne, dram sześć i cztery komedye, wszystko dzieła większe i nakoniec oper pięć: *Robert*, *Błyskawica*, *Koń*, *Napój* dwa razy, stanowią najdokładniejszy obraz tegomiesięcznych widowisk, obraz niewątpliwie najpochlebniejszy dla starań Zarządu.

Kiedy obie nowe w tym roku opery publiczność w jednym miesiącu widziała i oceniała, nam czas i właściwe miejsce wywiązać się z przyrzeczonego obu dzieł krytycznego rozbioru. —

Czuły wieśniak (*Nemorino*) kocha się w zalotnej Adinie, której lekkość przyprowadza go do rozpaczki prawie; nieszczęście sprowadza żwawego sierżanta, ten jako wojskowy, prędko podbija serce Adiny, a przynajmniej postępowanie jej tak każe myśleć jęczącemu kochankowi: wszystko przygotowane do weselnych godów—może dla udręczenia tylko *Nemor.*; przybywa jeszcze z wielką wrzawą *Szarlatan*, doktor *Dulkamara*,

u którego jak sam się zaléca, znaleźć można wszelkie leki nawet *Napój miłosny*, a kto go użyje, dziewczęta lub chłopcy szaleją za nim— nabywa go Nemorin, najpewniejszy skutku; po chwili poznaje, że napój niedziała a niema za co kupić go aby podwoił dozę — postanawia przeto przystać do żołnierzy, bo za to zapłacił mu sierżant z góry i kupuje jeszcze elixiru — podechmielony, oddaje się wesołości, postrzega tę zmianę Adina i powodowana wrodzonym może uczuciem kobietom, które choć niekochają, pragnęłyby być od wszystkich kochane, przez upór i zazdrość—Adina cierpi, nawet łzy zraszają jej oczy — Nemorino przypisuje to mocy napoju cudownego i jeszcze więcej udaje obojętność — niedosyć — cicha wieść nadeszła do wioski o śmierci bogatego stryja Nemorina, wieśniaczki naprzód ją dostały i otwarcie zalecają się wesołemu Nemorinowi — tymczasem Adina przy zalotności tkliwa, dowiedziawszy się, że Nemorin z miłości ku niej, *zaprzedał wolność swoją, przystał do żołnierzy*, skłania się do

przyjęcia jego ręki, wykupiwszy pierwój cyrograf wydany sierzantowi przez Nemorina; po kilku przeciwnych sobie zmianach, rzecz kończy się szczęśliwie, niby w skutek napoju szarlatańskiego. — Prowadzenie rzeczy dosyć zręczne — tłumaczenie Karola Kurpińskiego w ogóle *bardzo dobre*.

Chór pierwszy z F dur, takt  $\frac{6}{8}$ . Cztery pierwsze takty orkiestry brzmią w *panującym* (dominante) akordzie F dur bez tereyi i wyrażają wesołe i swobodne wiejskie życie, tu łączy się jeszcze główna i najpiękniejsza melodia całego chóru przez dziesięć taktów, potym przechód w czwartym takcie do C dur, ożywia bardzo następną melodyą powtarzaną jak i poprzednie takty; czuł ich wartość kompozytor, bo powtórzenie to jest mocne (forte.) Arya Nemorina z C dur takt  $\frac{3}{4}$  returnella już oznajmia piękny początek, *jak o róża gdy roshwita*, gdzie przygotowanie do przejścia z 7go w ósmy takt do E minor, miłe sprawia wrażenie (*nadaremny zapal mój*) powrót w G dur przez kadencyą do właściwego

tonu C, w wyrazach *jak jest piękna, jak jest miła* — czyni śpiew prawdziwie miłym i urozmaiconym — znowu chór pierwszy powraca i solo śpiew Nemorina przecina go i ożywia do końca. Ballada *Kochał się Tristan*, jak najczęściej bywa monotonna, bo samo czytanie prawie, utrzymuje się w ciągłej wesołości i życiu, pięknym i nowym mitiwem z E dur — takt  $\frac{3}{4}$ , *To mi napój niezrównany*, powtarzanym za każdą zwrotką.

Chwila ciszy a potem wojenny instrument *bęben* poprzedza wejście sierżanta, a sam ton C dur piętnuje dziarskiego żołnierza (wyrazy tekstu opery). — Po krótkiej returnelli także militarnej, w przejściu do F dur, sierżant zaczyna solo śpiew *Jak ów Paris urodziwy*, następnie trójśpiew Belkora, Nemorina i Adiny w prawdziwie włoskim stylu napisany, wyborny chór uwieńcza. Z kolei *duet śliczny* Adiny i Nemorina — w nim połączył kompozytor tak zręcznie lekkość charakteru kobiety z czułością zwyczajną — wyrazom, *Spytaj wiatru co szeleści*,

w czasie śpiewu towarzyszy orkiestra- wybor-  
na mistrzowska instrumentacja, zdaje się prze-  
wiewać tu i owdzie lekkim *wiatrem*, muzyką na-  
śladowanym.

Wejście Szarl. poprzedza trąba z D. dur, takt  $\frac{3}{4}$ ; ariya Dulkamary-- takt cały— prosta rozmowa.— Gdyby ta jedna tylko ariya miała Szarlatana odznaczyć, jużby była najdoskonalszą i zupełną jego charakterystyką; stosownie do celu Dulkamary, jak wabi, podsycę ciekawość, sławi swą mądrość i sztukę, zmienia się ciągle rytmus, harmonia i melodia i kończy się najpomyślniej dla Szarlatana, (który potrafił oszukać prostodusznych wieśniaków), ogólną i serdeczną wesołością chóru—jeszcze niedosyć, następuje targ między Dulkamara i Nemorinem, który słuchając Doktora jak wielkie cuda mogą zdziałać jego preparata i distilata, dręczony niepodzielaném uczuciem miłości, ucieka się pod opiekę cudotwórcy po napój miłosny — Szarlatan ma wszystko i zawsze dla Nemorinków (prostaczków) i w tryumfie oświadcza—*Ja ten napój dystyluję—*



po rozmowie i targu pacyenta z doktorem— następuje nowy motyw *allegro vivace*— wesoły i żywy. — Nemorino już uszczęśliwiony, Dulcamara szczydzi na stronie, duet wyborny — dalej znowu duet w przeciwinstwie, żywości i chytrłości z melodią miłosną i nakoniec nowy motyw *Ja dla jednej, dla jednej żyję* — tchnie zupełnem uszczęśliwieniem.

W scenie 7ej Nemorin marząc o skutkach napoju, śpiewa najpiękniejsze z opery *recitativo*; instrumentacya zaś najdokładniej maluje przejścia i zmiany rozmaitych uczuć; koniec w całkowitej wesołości. Tercet Beskora, Nem. i Adiny przysposobia do finału, złożonego głównie z 4tetu — finał ten kończy się wybornie, bo cztery osoby główne tworzą jedną melodią (*uni sono*) a cztery głosy chórowe tworzą harmonią z melodią poprzednią.

Akt drugi lubo piękny i godny zawsze Donizzetego, jednak pod każdym względem zdaje się niższym od pierwszego. — Jedyńą jego ozdobą jest Barkarola Dulkamary, *Jam bogaty*, któ-

rój autor użył i do finału, a sławny Heuzelt ułożył piękne waryacje. — Romans bardzo rozgłoszony z des dur  $\frac{3}{4}$ . — ton rzadki w operze, ale choć to rzadkie, nieprzyniosło autórowi chluby — towarzyszenie w sekstorach. — Uczucie smętne aż do zbytku, rozwlekłość, płaczliwość motiwu, są w największej niezgodzie z wyrazami, które radość coraz żywszą i nakoniec zapał malują — w nich właśnie Nemorino daje poznać przyszłe szczęście, które go czeka i upaja. — Arya Adiny z *F dur*  $\frac{3}{4}$  trudna nadzwyczaj — przez całą operę kompozytor utrzymywał na polu popisu Nemorina, Adinie zostawił uwienczenie — arią tę bez *recitativa* przyłączamy z francuskim i polskim tekstem.

#### KOŃ SPIŻOWY.

Koń spiżowy, dziwne, cudowne zwierzę sta-  
wało zwykle na granitowej skale, a kto wsiadł  
na nie unosiło go w tęgim galopie na planetę Ve-  
nus, gdzie żyła Stella zaczarowana Księżniczka.  
Aby ją uwolnić, trzeba się było stać panem

23\*

przepaski magicznej, aby zaś być jej panem, trzeba przez całą dobę wytrwać pociski przesłicznych oczu Stelli i nieprzybliżyć się do niej. — *Ciekawy* cudów, siadał na konia, wędrował, niemógł ~~zniknąć~~ siły wdzięków i spadał zaraz na ziemię—tak odbył okropną podróż nieszczęsny Mandarin, a choć zakochany na ziemi w kupionej Peki córce dzierżawcy, *stary* i w rajcie niemógł żyć bez miłości i spadł wtenczas, kiedy cała ziemia, a szczególnie Peki, już sądziła się uwolnioną od starych adonisów: — spadł Mandarin najprędzej, a gadatliwy, wypowiedziawszy co widział, zamienił się w posąg. — Jedna Peki z licznych podróżnych jako kobieta, nie mogła się lękać siły wdzięków kobiety, wysłuchała starca we śnie rozpowiadającego i bez namysłu puściła się w podróż — przetrwała czas oznaczony, zdobyła przepaskę, uwolniła Księżnę, wróciła do życia następcę tronu, który był już na planecie i znalazł w Stelli szukaną piękność; ale niedotrwał kilku minut i zgalopował na ziemię, ożywiła Yanka, a nawet Mandarina pod warun-

kiem, że ją uwolni od praw, jakie do niej uto-  
rował sobie workiem złota; tak uszczęśliwi-  
wszy wszystkich, o sobie niezapomniała; Yan-  
ko, kochanek, zostaje jej mężem, choć tak-  
że okazał się niewiernym, wędrował na koniu,  
spadł i skamieniał. — Taka jest treść, treści tej  
opery tłumaczenia Jasińskiego.

Uwertura z *es dur* takt cały. Sam ton cha-  
rakterystyczny nieuprzedza o wesołości, jakiej  
tyle kompozytor rozwinął istotnie w energicz-  
nym i gwałtownym wstępie z szczęściu taktów  
złożonym *allegro vivace*, z nich pierwsze czte-  
ry, utrzymują słuchacza w ciągłej rzeźwości;  
przechod w tempo wolniejsze (*allegretto*) b *dur*  
tworzy miły bardzo temat — nakoniec autor  
wracając do pierwszego *tempo* rozwija uwert-  
turę wedle przyjętych i znanych zasad — a  
finał jej technie prawdziwą Rossiniadą (t. j. sto-  
pniowaniem *pianissimo*, *piano*, *crescendo*, *for-*  
*te*, *fortissime*).

Chór pierwszy z *des dur*: zdaje się, podług  
wyobraźni P. Auber, rozwiniętej w tym chorze

i wszystkich dalszych niby chińskich, naród ten pełen tajemniczości, namiętnie musi być przywiązanym do bemołów—trudno sprawdzić, trzeba wierzyć—instrumentacya w tym chórze, wybornie nasładuje dźwięk wyrazów: *Niech głos dzwoneków téj pagody, niesie wszędzie miły dźwięk — dzień, dzień, dzień* i zapewne steno-wi to narodowość chińską, skoro się wszędzie powtarza.

Wstęp dzierżawcy *Chin-kao*: kompozytor w recitatiwie i następnym solo śpiewie maluje radość, z ułożonego (jak widać z treści sztuki) małżeństwa Mandaryna z później przybywającą Peki. — Śpiew trzech osób różnych charakterów, odznacza tę różnicę najdokładniej i tworzy przytém zupełną i piękną całość, której chór narodowej dzwonekowatej melodyi ciągle towarzyszy. Solo śpiew mandarina *poważnie zalotny*, dalej trój śpiew jego, dzierżawcy i Tao-jiu ma główny temat *allegro vivace g dur*, szyderstwo malujący, bardzo śpiewny, ale w włoskim nie zaś chińskim guście, osobliwie zakończenie.

Chór ludu za przybyciem Księcia, monotonny i żałosny i może tém jedynie charakteryzujący chiński motłoch — wyrazy wesołe, nuta posępna — *każą się cieszyć, więc się cieszą Chiny, ale śpiewu wesołego niepotrafią wydobyć*; ten kontrast stanowi rzeczywiście śmieszność. Solo-śpiew Księcia następcy tronu chińskiego, zupełnie europejskiej ogłady — czy dla tego, że ten następcę podróżował wiele, szukając bogstwa, które mu się objawiło we śnie, w podróży słyszał wiele śpiewów innego charakteru, może przytém odwiedził operę włoską w Paryżu lub Neapolu, poznał się z Bellinim i Donizetym, bo w jego chińskiej duszy melodia czysto-włoska, nawet ta sama fermata; tak podróże zmieniają charakter — pojechał Chińczykiem, wrócił europejski Książę. — chyba że ludzie tego dostojenstwa i krwi są wszędzie podobni do siebie jakby w jednej szkole wychowani.

Muzyka *kwintetu* bardzo dobrze harmonizuje z wyrazami i to jedno stanowi jęj zaletę — koniec huczny — a huk najwięcej odurza i dziwi —

dalej returnella ballady, szwajcarsko-chińska — dziwna kombinacya — sama ballada z *S minor*, bemolami napełniona, dla świeżego słuchacza zdaje się bardzo nową i piękną — ale niestety już jej motyw a nawet cała, znana była muzyicznemu światu przed 50 laty — jest-to jedna z początkowych prób Mozarta na to samo tempo, bez żadnej prawie odmiany jak *Stephan sprach im Traume*; rzadki zbieg myśli — między żyjącymi i jednoczesnymi autorami, zdarza się czasem — tylko jak się to stało, że żyjący umarłemu myśl wykradł lub pożyczył. — Muzyka w tej balladzie postępuje bardzo odpowiednio wyrazem *w górę, w górę*, a gdy śpiewnika, dają się słyszeć dwa tylko odrywane akorda, i z opowiadań straszliwych zstępuje do spokojnego, do przestrogi, z *es minor* do *es major* i powtarza się poprzednia returnella. Finał z *g dur*, takt  $\frac{6}{8}$  *allegro*, motyw znany z uwertury stanowiący także jej zakończenie, jest główną podstawą całego finału; melodyą jednej jego części aż do przechodu *ostrego* (pi-

quant) z *g* dur do *es* dur, prowadzi pięć głównych osób *uni sono*, a chór wypełnia całą piękną harmonią, przeplataną instrumentacją w orkiestrze aż do chwili, gdy wnoszą Mandarina rospływającego się na widok przesłicznej narzeczonej — i nagle wpada Tao-jiu kończąc jego motyw — pomysł szczęśliwy; tu guiów Mandarina serio-komiczny przechodzi po długich *racitativach* do poprzedniego motywu — wszystko szczęśliwie połączone z treścią wyrazów. — Dalej Księżę ośmiela swego dygnitarza Mandarina do napowietrznej podróży na koniu, ośmiela i droga żona, bo go tak czule kocha, że nie chce aby miał żon więcej — lepiej niech ginie — motyw tego śpiewu, są właśnie pierwsze 4 takty uwertury najlepsze w całej operze — instrumentacja w tém miejscu nadto chromatyczna.

A K T 2gi.

Wstęp przypomina chińską muzykę — arya pierwsza dzierżawcy, długa, nudna a niestosowna, bo prosty człowiek musi przezwycięzać



mnóstwo trudności w śpiewie, pełno rulad — słowem wiele kłopotu — mało rzeczy. Kawatina Peki bardzo ładna, motyw poznany w uwerturze z *a dur*, łatwo daje się używać do wszelkich tańców. — Arya Tao-jiu, sama przez się niezadziwiająca pięknnością, ale dla dobrej śpiewaczki jest polem do popisu — kompozytor zdał ją tym sposobem na rozmaite, a często bardzo przeciwne losy; kończy duet w stylu włoskim.

#### A K T 3ci.

Przed arią recitativo w ogromnych ruladach z *as dur* — sama arią z *des dur*, tempo średnio-żywe — najpiękniejszy ustęp z poważnych tej opery, z chórem — dołączamy go w podwójnym tekście — potym piękny duet Stelli i Księcia — a 2 zwrotki, które służąc Stelli śpiewa dobre jak dla *służącój*, następnie wiele różności *dla oka* — finał narodowy chiński.

Gra artystów wszystkich PP. Riwoi, P. Rywackiej, PP. Żółkowskiego, Dobrskiego lub Żylińskiego i Stolpe lub Markowskiego, jest zupełnie

Andante.

spiewana przez Panny Ludwikę i Paulinę Rivoli i Maryę Turowską.

Od bierz / Prendi / pro se mniowolny ie stes jux / prendi per me sei li be ro / po zo stan na / twój / re da nal soul na

xie mi / cierpienia są przy / kre mi / lecz wszystko swój ko meć ma ro. Stan / ti / non vha destina se ri o, chónon si can gi un di re sta.

Tu gdzie się ruszy wszystko / cha ja / szczyt twój los podać / la ja / tak po drie / Qui do woli tu mo ro, saggio amo ro so, o. ne sta, sag gio o

la / re / ja ah! / slo. Ah / Chóć ca som les nas se ci ska / To nie na za / uszetrza ah nie / Chóć ca som les nas se ci ska / To nie na / sempre contento e me ste / non non sa rai ce / si ah no / sempre contento / To e me ste / no non sa

za wze nie za / wze twa ah / nie ah / nie to nie na zawsze / nie zawsze twa / la nie na za / rai / sa rai ce / si, ah / non sa / rai, no non sa rai, ah / ce si ah / no ah / ni, ne non sa / ce no ce si, / no non sa

*Allegro*

*SEM.* *ADINA* *SEM.*

usze niezausze trwa  
i... si.

Dieg ki usze skła dam Bo gi dro gi Wicc do ktor nie, zurodt mnie  
Oh gio jain es pri mi bile la ro! Non m'in gan no il dot tor?

*AD.* *SEM.* *AD.*

nec No Wicc do ktor nie zurodt mnie zec no mincy e przeslowia, ed dai mi sig ra do sci to lu be po je dpanie ah usza chuy  
Non m'in gan no il dot tor? Il mio re gor di mentica, u gin re e ter no a mo re u, jar ti je u be i bramo, ah ti

ce nie usza wia mnie to lu be po je dna nie usza chuy ce nie ah uszawia mnie to lu be po re dna nie usza chuy ce nie usza  
giu rae ter no a mor, il mio re gor di men ti ca, te giu re e ter no a mor, il mio re gor di men ti ca ti giu ro. e ter no a

mnie mon

Spiewana przez Panne Ludwikę Rivoli.

*Allé non troppo*

chwila u wól nieniezajla d'ici, pie nia gdy zo ba *accusant g'lyra* ca sariat za gła d'ici  
 de ma de li vrance ta douce es, pe ran ce sou rit a *mon coeur sourita* mon coeur la douce es pe

pie nia gdy zo ba *accusant g'lyra* ca sariat za d'ici k'o ra cuje na d'ici je xura stu je ze trosk zni knie slad ze trosk zni knie slad  
 ran ce sou rit a *mon coeur sourit a mon coeur* pour moi plus d'a tar me i ci tout me char me et tout est bon heur et tout est bon heur

tu die i pre mien dar sie bous pamioty znie nia, sariat ca ty die miza chuyca pta *scat spiewa* znie pta *scat*  
 tout a chan ge dans la na tu re tout a chan ge dans la na tu re die li sciat les k'ovits a mou rous sont pour moi plus har me ni eux des riscaucles chants a mou.

scat spiewa, j'et sic to nose d'ici d'ici nie za chuyca pta *scat spiewa* d'ici pta *scat* spiew *scat* spiew  
 pour moi plus har me ni eux des riscaucles chants a mou plus har mont eux ah ah chwila u wól  
 de ma de li



dobrą — największe role zdają się Mandarina (Żółkowski) i Peki (Paulina Riwoli); pierwszy czy może grać mniej jak wybornie — ruchy *zapewne chińskie, bo nieuropejskie*, poważne a śmieszne: Peki potrzebuje gry bardzo śmiałej i zupełnie nawet wymagających zadowala — śpiewa ładnie ale nie wiele. Panna Ludwika Riwoli, dopiero w trzecim akcie pokazuje się, ale też stanowi jego główną, a nawet całej opery ozdobę — śpiew trudny, w wykonaniu tej artystki zdaje się najłatwiejszym, pełnym słodyczy i gustu — wzbudza najżywsze i powszechne zadowolenie. Pani Bywacka przy głosie pięknym, czystym, okrągłym i dziś już bardzo wyrobionym, dodaje wiele uroku śpiewom niewielkiej wartości. Pan Dobrski, Książę, szczególnie w trzecim akcie, tkliwy, śpiewa prześlizgnie i gra dobrze.

Jeszcze wypada namienić o muzyce do tańców, P. Nideckiego, która więcej ma chińszczyzny jak chóry i śpiewy przez sławnego kompozytora za chińskie podane.

Tak dwie nowe opery, jedna piękna z rzeczy i muzyki, a skromna choć staranna w wystawie, druga małej wartości, jako opera ale pod względem wystawy, którą ozdobiła ją nasza scena, najwspanialsza, będą walczyły o pierwszeństwo—nieprzeczuwamy na teraz która więcej przetrwa widowisk — Napój jeszcze sprowadza wielu — po 23 razach — Koń p sześciu przedstawieniach miał ciągle wszystkie miejsca napełnione.

---

TEATR RÓZNOBIAŃSTWA. Zwykle przeplatanie komedij poważniejszych, salonowych i dram kilku z wodewilami, zachowano i w tym miesiącu; zadowolenie, o którym z przywoływanymi częstych i kilkukrotnych, słusznie wnosić mamy prawo, ożywiało widowiska dosyć liczne; a jak każdy miesiąc odznaczył się jakimś wypadkiem na wzmiankę zasługującym, tak i Listopad jeszcze w połowie, bo piętnastego, nieodróżnił się od swych poprzedników. — *Szpital Wary-*

atów komedyo - opera Pana Skribe, tłumaczoną przez Pana *Listowskiego* z muzyką jego także kompozycyi, niezwycajnym tytułem mocno za-intrygował publiczność. — Rzecz drobna nieodpowiada oczekiwaniom, ale jest tyle fars bez żadnej treści, że w ich liezbie Szpital może zająć nawet lepsze miejsce, pomysł choć już nienowy, wszakże niespowszedniały, tłumaczenie wierszem bardzo łatwym, język poprawny, z wyjątkami niewielką i mało znaczącymi, muzyka, jak na mały wodewil lepsza od innych, ściśle przedmiotowi odpowiadająca, charakterystyczna, szczególnie w zwrotkach Waryata — aryjki wstępne obojga kochanków bardzo przyjemne, a wszystko to powiększa dokładna wystawa, dobra gra PP. *Panczykowskiego* i *Szymanowskiego* i *Panny Pauliny Riwoli*, rozwijającej bardzo szybko miły talent w komedjach; lecz najwięcej wspiera to dziełko Pan *Zółkowski*, doskonały w roli Waryata, który wszystkich w Szpitalu, waryatów i niewaryatów, bierze za swe pacyenty; przeraża on, zadziwia, ale nie-



odstręcza od siebie; fizjonomia, głos i ruchy piętnują rzeczywistego waryata, rola mała, ale gra wielka wzbudzają podziwienie— pięć razy powtórzony w ciągu dni kilkunastu tak drobny utwór, miewał niemało widzów samą grą przynęcanych. — Pan Królikowski pierwszy raz w znacznieszej roli występujący, okazał zdolności i głos choć mały ale bardzo przyjemny— tenorowy.

---

(Wyjątek z kom. w 1 akcie p. t. *Nieutuleni w żalu* z dziewiątej sceny — po bliższem porozumieniu się w cierpieniach, obojga niepokieszonych.)

BUSSIÈRES. Cóż znaczy oddalenie dla osób które zblizają i łączą jednakowe cierpienia i jedne uczucia? Czy niemogą chociaż w oddaleniu powierzać sobie swoich myśli, swoich wspomnień i życzeń wzajemnych? Pozwól mi Pani pisywać do siebie; ta laska będzie jedyną dla mnie pociechą w naszym rozłączeniu: błagam o nią imieniem naszej nowej przyjaźni.

BLANGY. Czy ta przyjaźń nie jest cokolwiek zaprędką?

BUSSIÈRES. Czyż to tak długiego czasu potrzeba, ażeby się wzajemnie poznać i ocenić? Powiadają, że miłość może się zrodzić za pierwszym rzutem oka, czemużby to i w przyjaźni stać się niemogło? w przyjaźni, która jest większem jeszcze dobrem! więc te zamiary, któreśmy tworzyli przed chwilą, możemy wykonać w oddaleniu. Zwierzenie wspomnień i uczuć serca, staje się tym sposobem łatwiejsze i słodsze: papier dochowa tajemnicy, i zdaje się, że sami z sobą rozmawiamy pisząc do przyjaciela.

BLANGY. A więc dobrze; ale daj mi Pan słowo, że mi wszystko powiesz, wszystko powie-rzysz?

BUSSIÈRES. Przysięgam. Pani także?

BLANGY. (*siadając przy stoliku na lewo*)  
Ma się rozumieć, to byłaby zdrada! więc na początek powieǳ mi mój nowy przyjacielu, czem się zajmiesz w tej samotności, w której cię zostawiam?

24\*

BUSIÉRES. (*bierze krzesło stojące przy fortepianie i siada przy niej.*) Naprzód, będę myślał o Pani.

BLANGY. Oh! nie, naprzód o niej.

BUSIÉRES. To się ma rozumieć: A Pani o nim.

BLANGY. Wspomnienia które po sobie zostawiła muszą być Panu tak przyjemne!

BUSIÉRES. Pani przyjemniejszych doznajesz, jestem pewny. Ja utraciłem ją w wilią ślubu, gdy do mnie jeszcze nie należała, gdy jej serce prawie mi nieznanem było, kiedy tym czasem Pani żyłaś już kilka miesięcy z ubóstwionym mężem, co to za różnica!

BLANGY. Może ona jest z korzyścią Pana. Oczekiwane szczęście zawsze jest słodsze od rzeczywistego. Pełen miłości i nadziei, wszystko widziałeś w czarownem świetle, i pomimo twojego nieszczęścia to upojenie którego wtedy doznawałeś i teraz jeszcze napełnia twoje serce: gdy tymczasem cokolwiek później, może byłby urok zniknął, i marzenie się roz-

proszyło; bo pożycie małżeńskie choćby najlepsze nie jest takim jakim je sobie miłość wystawia. Miłość, jest to niebo, a małżeństwo jest ziemią. W niem znajdzieź wszystkie niedoskonałości ziemskie, chwile porywczosci, gniewu, kłótni...

BUSSIÉRES. (*z uśmiechem*). Ah! więc Państwo kłóciliście się także?

BLANGY. Czasami... trzeba było, choćby dla tego tylko ażeby się pogodzić.

BUSSIÉRES. Ah! to prawda. Ale jednak to mnie zastrasza.

BLANGY. Dla czego?

BUSSIÉRES. A gdyby też i między nami przyszło kiedy do kłótni?

BLANGY. A to z jakiego powodu? skoro umówiliśmy się, że wszystko sobie szczerze powiemy.

BUSSIÉRES. Ale może się zdarzyć taka okoliczność....

BLANGY. Jaka?

BUSSIÉRES. Wdowa taka jak Pani, pomimo chęci nawet, wkrótce będzie otoczona młodymi ludźmi, którzy starać się będą o jej rękę.

BLANGY. Ah! co za myśl! sądziłam, że Pan masz lepsze rozumienie o swoich przyjaciółach.

BUSSIÉRES. Wszak to nie może Panią obrazić.

BLANGY. Właśnie obraża, bo powinienś Pan wierzyć moim przyrzeczeniom, a przysięgłam i teraz jeszcze Panu przysięgam, że nigdy za mąż niepójdę.

BUSSIÉRES. To tak jak ja: przysięgłem także, i jeżeli niedotrzymam słowa, możesz mnie Pani pozbawić swojego szacunku i przyjaźni.

BLANGY. Ja poddaję się tejże samej karze.

BUSSIÉRES. Och! jakżem szczęśliwy! jestem spokojny i teraz pewni siebie możemy już bez obawy i bez niebezpieczeństwa oddać się przyjaźni, której nie nierozewie.

BLANGY. (*wstając*) Ob! nic, nic w świecie.

BUSSIÉRES. (*odnosi krzesło, stawia je przed*

*fortepianem, który jest otwarty, i spogląda na nóty) Ah! mój Boże!*

BLANGY. Co to jest?

BUSSIÉRES. Na fortepianie znalazłem arya z Niemiej z Portici.

BLANGY. Cóż w tém tak nadzwyczajnego? zkadże to pomieszenie?

BUSSIÉRES. Ona śpiewała tę arya na ostatnim koncercie, na którym byliśmy razem.

BLANGY. Ah! jakże mnie to smuci, że nie chcący obudziła w Panu te bolesne wspomnienia.

BUSSIÉRES. Nie, nie, one nie są bolesne; bo od tego czasu, ile razy usłyszałem tę muzykę, doznawałem jakiegoś rokosznego wzruszenia. (*gdy on to mówi, Pani de Blangy siada do fortepianu i przegrzywa kilka pierwszych taktów*) Ah! dziękuję ci Pani za twoję pobłażającą przyjaźń . . . . . Tak, zdaje mi się, że ją słyszę i doznaję szczęścia . . . . (*Ona gra, on bierze skrzypce na fortepianie leżące i akompaniuje ję*)

BLANGY. (*ciągle grając i spoglądając na niego*) Bardzo pięknie: niesądziłam, że Pan posiadasz ten talent. (*przystaje grać*) Uważaj Pan, zmyliłeś się, tam jest h.

BUSSIÉRES. Nie Pani, h. (*W tej chwili wchodzi Pan de Courcelles i zatrzymuje się w głębi.*)

BLANGY. Ale przekonaj się Pan.

BUSSIÉRES. (*śmiejąc się*) Prawda, prawdę niepatrzyłem na nuty.

BLANGY. (*śmiejąc się także*) Jesteś Pan roz-targniony.

BUSSIÉRES. Będę się starał unikać roz-targnienia.

BLANGY. Zacznijmy na nowo, i uważaj Pan. (*Grają oboje — Pan Courcelles siada w głębi z rękami założonemi i słucha*)

BUSSIÉRES. Trzeba trochę prędkiej.

BLANGY. Nie.

BUSSIÉRES. Zaręczam Pani: przecież tę muzykę wzięto do Contre-dausa, a niemożna tak powoli tańcować.

BLANGY. Bardzo można.

BUSSIÈRES. Nie, Pani. (*śpiewając zaczyna tańcować*)

BLANGY. Ale powiadam Panu, że można. (*staje jak do tańca.*)

## S C E N A X.

Ciz sami, Pan *de Courcelles*. (*Poborca*).

COURCELLES. Brawo! brawo! (*Pani Blangy i Pan Bussières odwracają się od siebie*)

BLANGY i BUSIÈRES. Ah! mój Boże!

COURCELLES. Proszę, bawcie się państwo: wszakże ja nieprzeszkadzam.

BLANGY. Czy Pan tu dawno jesteś?

COURCELLES. Od chwili, gdy sprzeczką powstała o b. Przepraszam bardzo za moje natręctwo, gdyż niebyłem zaproszony ani na koncert, ani na bal.

BLANGY. Panie....

COURCELLES. Przyszedłem mówić o interesach.... z Panem: ale możemy odłożyć....



BLANGY. Nie, Panie de Courcelles, co się tyczy tego czego Pan tu byłeś świadkiem, gdy się dowiesz z jakiego powodu....

COURCELLES. Oh! mój Boże! niepotrzebujesz Pani usprawiedliwić się przedemną, żeś zapomniała.... o swojej boleści, i niewiem jak mam Panu podziękować, że jego rozmowa i przyjemna wesołość zdołały panią rozerwać cokolwiek.

BUSSIÉRES. Panie....

BLANGY. Panowie macie mówić o interesach, wznowić dawną znajomość, więc się oddalam: spodziewam się, że Pan u nas zostanie na obiedzie.

BUSSIÉRES. Z największą przyjemnością.

COUR. Wybornie; ale z warunkiem, że w wieczór dokończymy muzyki, którą przerwałem.

BLANGY. (z uśmiechem) Jeżeli Pan de Bussiéres zechce....

BUS. Jestem na rozkazy Pani.

BLAN. A zatem dziś wieczór. (odchodzi.)

## GRUDZIEŃ.

Ci jeszcze wleką otrętwiałe nogi,  
Ci w biegu nagle przystygli do drogi.

Tam wicher toczy kłęb śniegu po błoni  
Opośtał wyje chuda psów gromada,  
A nad głowami krążą kruków stada.

(W allenrod.)

---

WIELKI TEATR. — Miesiąc najobfitszy w opery i dramy — baletów mniej: Koń kilka razy powtórzony, ciągle ściągają tłumy i zadowalał — humor publiczności jak przed karnawalem usposobiony bardzo do życia; przywoływał wiele i głośnych, często sprawiedliwych. Wszystko to wszakże i dla nas i dla czytelnika rzeczy zwyczajne — *nadzwyczajność* zaś

prawdziwie *nadzwyczajna*, zjawiła się dopiero 29go; w *Kopciuszku* ujrzelśmy nowego śpiewaka, tenorystę P. Kleczyńskiego ucznia tu-tejszej szkoły śpiewu i dramatycznej — śpiewacy a szczególnie tenoryści jako niezmiernie rzadcy, jeśli się zjawia, mogą być pewni życzliwego a nawet pobłażliwego przyjęcia. — Pana Kleczyńskiego talent może być bez szczególnych względów ocenionym; głos dosyć obszerny, wysokie tony czyste, piersiowe, bardzo przyjemne, wyrobienia i łatwości więcej jak od młodego i poczynającego śpiewaka można wymagać, twarz i figura dołrze wydają się ze sceny, jeśli czucie niezanadto czasem wpływa na zmianę fizyognomii, w grze widać rozumienie rzeczy, ruchy nieprzesadne, chód dosyć śmiały — są to owoce starań i nauki najzasłużeńszych scenie krajowej mistrzów, Panów Kurpińskiego i Kudlicza — poznać zdolności i umieć nimi dla pożytku i przyjemności naszej zakierować. Przyjęcie Pana Kleczyńskiego w przywołaniu dwukrotnem obja-

wione, było sprawiedliwe a nieprzygotowane lub względne.

---

TEATR ROZMAITOŚCI.—Wszystkie prawie dzieła z dawnych lubionych wyższego i niższego rzędu i nowych, które zyskały powszechności oklaski, przedstawiono w tym miesiącu; niczem tedy nieodróżniły się ostatnie dni od najpomysłniejszych w ciągu roku, a odznaczyła je tylko nowa, piękna komedia w 1 akcie z francuskiego P. Scribe p. t: *Nieutuleni w Żalu*, tłumaczona przez P. Borysa Halpert; już kilka znakomitszych sztuk, przełożył P. Halpert dla sceny naszej, poprawnym, zwięzłym i łatwym stylem, gdzie język polski nieprzypomina w zwrotach cudzoziemszczyzny. — Z tłumu uicrnych i fabrykanckich płodów, umiał szczęśliwy uczytnie wybór. — Komedia w lepszym smaku, podzisiejszemu salonową zwana, niezaleca się orderwanemi dowcipami i szczególną kombinacyą, ale umiejętnem prowadzeniem i sytuacy-

mi scenicznemi, które przez niższych, nierozumujących artystów oddane, zniknęłyby niewątpliwie. — Rzecz sztuki nowa, pomysł godny P. Scribe. — »Młoda i piękna wdowa rozpacza po utracie małżonka, którego wszystkie najlepsze przymioty wyraźniejszemi i godniejszemi szacunku, okazały się dopiero po śmierci — *tak rzeczywiście bywa, szczególnie kobiety, wtenczas najwięcej płaczą, rozpaczają, postrzegają w sobie przywiązanie, kiedy są pewne, że strata ich już jest niepowrotną.* — W podobnym położeniu, zostaje także i młodzieniec, przyjemny i bogaty, utraciwszy w wilią ślubu swoją narzeczoną. Póki żyła, kochał *zwyczajnie* i dobrze się bawił; po jej śmierci uczuł najżywszą, najgłębszą miłość do nieboszczki — a w żalu i rozpacz, postanowił całe życie poświęcić jej pamięci, łzom żalu i zostać bezżennym, jak wdowa, niezawierać powtórnych związków. — Oboje *niepocieszeni, nieutuleni* w żalu, spotykają się w mieszkaniu Pani de Blangy (rospaczającej wdowój); je-

дно drugiego unika nawet spojrzenia, aby nieskazać pamięci drogieli im cieniów; »ale »się postrzegli i z pierwszego rzutu, odkryli »w sobie wzajemne cierpienia. — Jednakże los, »jednakże zamiary, podobne nieszczęścia, zbli- »żają do siebie niepocieszonych dla wzajemnej »pociechy. — Tu zaczyna się wylęw obfity żalów, które widza najnaturalniej pobudzają do śmiechu; wspólność cierpien rodzi w nich współ- czucie, przyjaźń, którą nieznacznie zastępuje silniejsza namiętność: w dodatku jest tam jeszcze stary wdowiec czy kawaler, bogaty i dawny przyjaciel Pani de Blangy, konkurent nawet do jej ręki, ten bardzo jest do intrygi potrzebny i do głównych osób komedyj należy; jemu młoda wdowa przyrzekła oddać rękę, jeśli się kiedykolwiek choćby najpóźniej z żalu, pocieszy — stary poborca, człowiek dosyć cierpliwy, postanowił czekać, a w przyjaznej chwili, gdy sądził, że zamiary jego wezmą skutek, używa jako sprężyny wstawienia się *niepocieszono- go* kawalera — (dobry protektor) — rzeczy też

kończą się prędkiej, jakby się były mogły skończyć. — Piękną niepokieszoną wdową, jest Pani Halpert, niepokieszonym P. Jasiński, starym poborcą, P. Kudlicz, służącą, Panna München-sang. Największe role dwóch pierwszych osób, szczególnie P. Halpert — i taki tylko talent może sztukę salonową piękną wydać — wszystkie najdrobniejsze odcienia smiesznosci, dopiero w grze się wyszukują, i komedią, dla czytelnika mniej zajmującą, czynią doskonałą w przedstawieniu. — Jest-to prawdziwie sceniczny talent autora, znajomość rzeczy tłumacza. — Od sceny, którą przytoczyliśmy po Listopadzie, wszystkie dalsze są wyborne, bo wybornie oddane — a jak wielkie robi wrażenie ostatni ustęp, gdy przynoszą w obecności *niepokieszonego* już teraz *pokieszonego* kawalera, list od nieboszczyka: ten, którego całe życie postanowiła opłakiwać żona, sprawiłby wielki kłopot cudzej małżonce, gdyby choć na chwilę zmarłychwstał — na widok listu jego ręką pisanego, przerażenie w najwyższym stopniu, rozpacz i mdłość — po chwil-

ce uspokojenia, gdy się przekonała czuła żona, że opłakiwany już niewróci — radość, wstyd, ale tylko salonowy. — Całą tę scenę najtrudniejszą, dla szczególnej kombinacji uczuć, które potrzeba wydać i utaić, oddała Pani Halpert artystycznie. — Inne role przedstawili artyści tak, że każdego imię uwalnia nas od szczegółowego rozbioru; do końca miesiąca przedstawiona sześć razy, dosyć licznie sprowadzała — jednak ośmielamy się uczynić lekką uwagę, dla czego niektórzy choć pragną a nie licznie gromadzą się do Teatru, kiedy mamy przedstawioną dobrą i doskonale graną, wyższą komedią?

---

Wywiązując się z przyrzeczenia w pierwszym tomie uczynionego, gdy postęp widowisk okaże tabella statystyczna, przejdziemy z kolei w kilku stronicach i postęp artystów, już nie wedle naszego tylko zdania, ale wedle ogólnych myślaczej powszechności sądów. — Niemożemy tu obejmować wszystkich osób, bo jedne, zdaniem



naszem, stoją na tym stopniu wykształcenia talentu, sławy i zasługi, że byłoby dziwactwem przyznawać im jakiś postęp; inne znowu nieposunęły się tak widocznie, aby się to postrzedz komu dało, chyba należałoby pierwój wynaleść jakiś rodzaj siłomiaru z bardzo drobnemi, ledwie dojrzanemi okiem, podziałami.

*Z artystów opery:* P. Dobrski wydoskonalił do wysokiego stopnia grę najtrudniejszej swej roli w *Robercie* — walka uczuć, syna występnego ojca i anielskiej matki, maluje się doskonale w głosie i twarzy. — Pan Germann pod względem wyrobienia i czystości głosu, już wiele był chwalony — teraz czucie niekiedy śpiew jego ożywia i gra znacznie śmielsza. Pan Lancoroński rzeczywiście mniej przesadza w śpiewie i grze, ale znowu zbyt cieniuje — wszakże lepiej się ma dziś jak przed rokiem. — Pan Markowski w *Bertramie* grę znacznie właściwszą uczynił, mniej czartowstwa — i jest bardzo dobrze; w *Kopciuszku* rola barytonowa, dobrze jednak przystała temu artyście. Pan Stolpe, o

którym wspominaliśmy, jako o mającym wiele do gry zdolności, bardzo w niej postąpił — w komedjach wesoły, nawet melancholijny kochanek, okazuje dokładne zrozumienie roli, wiele uczucia, naturalną deklamacją i ruchy dosyć swobodne; w operze przy dobrym śpiewie, gra jego właściwa słusznie się podoba. Pan Bondasiewicz mięwa częściej role ważne bufonów w operach, dla tego wiele się wprawił a nawet rzeczywiście rozwija zdolności; mniej jednak powinienby się starać o rozśmieszanie ogromem głosu, a więcej grać *à platka*. Panna Ludwika Biwoli, mając głos szczególnie miły i do wysokiego stopnia wyrobiony, coraz więcej przybiera łatwości i słodyczy — gra zaś zupełnie dobra, łatwa i naturalna. — Pani Rywacka uczyniła wielki postęp i w wyrobieniu głosu, w cieniowaniu i grze nawet; siła jej głosu, miarkowana stosownem czuciem i lepszą metodą, dziś sprawia często zupełną przyjemność. — Panna Józefa Turowska do obszerności swego niepospolitego głosu, potrzebowała wygładzenia go, czu-

cia i gry, koniecznej dla artystki w operach występującej — wspomnieliśmy już o tem w ustępie o Kopeiuszku. Panna Paulina Rivoli występując bardzo często w operach i wodewiach, nabrała wielkiej wprawy — jest dzisiaj dobrą śpiewaczką — a przy tak obszernym i silnym głosie, przez pracę, może się stać znakomitą; jest nadto bardzo przyjemną w komedjach, albo raczej w wodewiach, w których często występuje — dla tego więc uczyniła znaczny postęp w grze i śpiewie. — Panna Marya Turowska, gdyby nie długa słabość, której odwrócić nie mogą dotąd starania lekarzy, stałaby się niewątpliwie bardzo przyjemną artystką w operach i komedjach.

Z artystów dramatycznych: Pan Żółkowski, miał trzy główne, wielkie i w różnych rodzajach role — w *Napoju Szarlatana*, w *Rybaku*, w *Szpitalu Waryatów*, *Waryata*: — Każda z tych ról różna od wielu poprzednich, a w wykonaniu potrzebująca nie tylko znakomitego talentu, ale głębokiego rzeczy i charakte-

ru zbadania, była tryumfem dla najpierwszego u nas artysty i niezwyčajny w ogóle gry jego oznaczyła postęp. — Pan Komorowski miał dwie znaczniejsze nowe role w charakterach, jakich dotąd w krótkim swoim zawodzie nieprzedstawiał — *Wieśniaka* w komedyi t. imienia i trzpiota młodego wyższych towarzyszt w komedyi *Rozważne Matzeństwo*; przyswoił je talentowi złatwością i dowiódł w ogóle: co do deklamacyi, wysokie już wykształcenie, naturalność w wymowie, do jakiej dąży sztuka — w ruchach nierównie większa swoboda, chód, o którym wspominało czasem, dziś muićj uderza, a publiczność oceniając talent ciągle tak szybko postępujący, zaszczyca go widocznie zasłużonemi względami — co do pojęcia charakteru, tém zawsze Pan Komorowski szczególnie się odznaczał. — W Panu Jasińskim, właściwie już wykształconym, nienależałoby teraz dostrzegać postępu — widzieliśmy raczćj przechód czyli zmianę dawniej przedstawianych charakterów — np. w Dziadku Guérin, okazał

jeszcze w sile wieku artysta, talent do przedstawiania ról starców niekomicznych, ale poważnych — inny ale w tym samym rzędzie charakter, w komedyo-operze *Wczbranie Wisty*, oddał bardzo szczęśliwie. — Pan Karasiński deklamacją przekształca dziś na płynniejszą — w rolach starców dobrze odgrywanych, wiek podeszły maluje się widoczniej i w głosie i w ruchu — twarz zawsze charakteryzuje bardzo dobrze — próbował kopiować oryginały na świecie przed naszymi oczyma przesuujące się, ze skutkiem zupełnie pomyslnym. — Pan Bogusławski miał dwie większe role, w dramach *Dziesięć lat życia kobiety* i *Ludwika de Lignerolles*, w obu zasłużył na przychylne zdanie ogółu (patrz wyżej). Pan Chomanowski wiele głównych i trudnych ról przedstawia — zawsze ojców poważnych — ma więc pole kształcić się. — Pan Skomorowski poskramia zbyt żywe ruchy i względniejszą zyskuje opinią: oba winniby pracować nad trafuém rol pojmowaniem.

Panna Józefa Dobrzańska wykształciła się znacznie pod każdym względem, jakie w artyście zwykliśmy uważać — jest teraz użyteczną, potrzebną i przyjemną. Panna Józefa Mozdzeńska często miewa nowe role i do po-  
bławiania codzien więcej zyskuje prawa.

*Balet.* — Panna Gwozdecka, okazując zawsze najwięcej do mimiki zdolności, posiada dziś tę sztukę w wysokim stopniu; gra niema w *Sylfidzie* zasługuje rzeczywiście na sprawiedliwe pochwały, obraz rospaczy w scenie téj roli najważniejszej, maluje się dobitnie w zmienionych głębokiem cierpieniem, rysach twarzy — miejsce to grą młodej artystki silne na widzaeb sprawia wrażenie. — Panny Wendt i Trawna postunęły obie i mechanizm i wdzięk ułożenia, tak dalece, że mimo wieku, zdolne są przedstawiać główne role; pierwsza, rolą *Sylfidy* bardzo trudną pod każdym względem zyskała już najprzychylniejszy głos ogółu — druga w rolach zastępczo przedstawianych po Panni Koss, która od kilku miesięcy dla słabości,

nieokazuje się na scenie, z zadowoleniem jest przyjmowaną. Panna Zdanowicz dopiero w tym roku dała się poznać widzom i stanęła obok dwóch pierwszych. — Panna Piasecka mając jakieśmy już kilkakroć powtórzyli, wiele usposobienia, kształci widocznie taniec i ułożenie. Kilka tancerek oprócz tu wymienionych z klasy najwyższej, czyli szkoły doskonalenia, okazują się w różnych mniejszych *pas* bardzo korzystnie — z tych Panna Skrodzka może wkrótce zbliżyć się do tych, które są wyżej wymienione. — Panowie Budzyński, Baldi, Cholewicki, są już dzisiaj dobrymi tancerzami.

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć słów kilka o deklamacyi scenicznej i różnicy jej od czytania salonowego.

Rzecz znana, że przez deklamacyą w dramacie lub komedyi rozumieć należy mowę zwyczajną, ze wszystkiemi jej odcieniami rodzącemi się z charakteru narodu, osób, ich wieku, czucia, położenia, wyobrażeń i zdolności; inaczej powie — *kocham cię* — człowiek wykształcony,

młody, starzec, namiętny, rozważny, nieszczęśliwy, prostak lub uczoney; wszystkie te względy artysta winien mieć przytomne, zastanawiając się nad przygotowaniem deklamacyi czyli mowy: jeszcze przy zachowaniu i tych warunków, nie może być pewnym dopięcia celu; deklamacya sceniczna wymaga nadto oprócz tak szczegółowego rozbioru powyższych względów, 2ch nieodbitie koniecznych przymiotów: prawdy i siły wrażenia. Prawda jest w wyrazie głosu; siła wrażenia, w głębokiem zbadaniu myśli, a potym odszukaniu miejsca czyli wyrazu, który tę myśl głównie stanowi, aby nieniszcząc złudzenia naturalnością głosu sprawionego, odznaczyć, czy odbić owę myśl w jednym zawartą wyrazie. — Rozebrawszy ściśle charakter i cechy głównejsze roli, jeśli artysta ma głos dzwięczny, czysty, donośny i poprawną wymowę, potrafi w czytaniu zająć, nawet silnie zrobić wrażenie — ale żeby odpowiedział potrzebie scenicznej deklamacyi, winien i dwom ostatnim zadośćuczynić warunkom. — Przez pracę, naukę i bada-



nie, każdy może być dobrym deklamatorem w pokoju, bo każdy pierwsze względy jest w stanie pojąć i zastosować — ale do scenicznej deklamacyi, potrzeba oddzielnego usposobienia, tego, czego się nienabywa, ale dane rozwija tylko. — Słyszymy często zdanie czyjeś z grona publiczności, »on lub ona dobrze deklamuje, ale gry niema«, podług nas, ten, o którym tak mówią, nie dobrze deklamuje, ale dobrze *czyta* napamięć. Kto zdolnym jest zachwycać i odurzać piękną deklamacyą, kto wszystkim jej warunkom zadość czyni w zupełności, ten już wszystkiego dopiął, ten jest już dobrym artystą dramatycznym, bo w mowie powinno się malować wszystko; charakter, wiek, stan i uczucie; jeśli zaś tyle artysta połączył i wydał — tam niewątpliwie jego ruchy, wyraz twarzy, głos i postawa były stosowne: można być pozbawionym wzroku a najdokładniej z deklamacyi, grę ocenić — za zrozumieniem rzeczy i uczuciem, pójdą niezawodnie stosowne ruchy i spadkowanie głosu; niepotrzeba gestów uczyć lub

uczyć się, ale mieć zdolność pojmowania, rozbioru, czucia i wnिकnienia w charakter, czyli łatwość przeobrażania się (talent artysty scenicznego). — Deklamacya więc w tém rozumieniu ma za podstawę, rozsądek, naukę, znajomość świata i zdolność wrodzoną, nie zaś formy zewnętrzne — i jest indywidualną. — Czy podobna człowiekowi rozpaczającemu lub pałającemu zemstą, przepisać ruchy rąk, zmianę prawidłową rysów twarzy, ust, oczu lub podnoszenie głosu, jest-że on w stanie w uniesieniu zastosować przepisy foremnej rozpacz i gniewu, i czy każdy ma jednakie w podobnych uniesieniach cechy? pierwój zapewne trzeba zrozumieć, albo raczej być usposobionym umysłowo do zrozumienia rzeczy — a potem oddanie charakteru poruczyć władzy czucia. — Nie raz zdaje się artysta mówi w największym zapale, wiele gestykuluje, rusza pierściami i głową, a niezachwyca — dla czego? bo pamięta o wszystkich swoich poruszeniach, bo wie z postanowienia, na jakiej literze wyrazu, gdzie i jak wy-

soko, położyć lub podnieść rękę. Stąd wada jednostajności i brak władzy udzielania wrażeń i uczuć, których sam artysta niedoznaje. Często rozmowy zwyczajne i żywsze toczą się w tym sposobie na scenie, jakby artyści wprawnie czytali sobie w połączeniu romans lub historią; tak wierne zawieszanie głosu na przecinkach, średnikach i kropkach, jak na literackim wieczorze: inny cel mają przestanki w piśmie, a inaczej zachowują się one w mowie; często prędkiej przechodzimy w mowie z periodu w period jak z wyrazu na wyraz, przecinkami oddzielanych. — Prawa przestankowania wedle znaków pisarskich, nietylko niemają żadnego znaczenia w deklamacyi scenicznej, ale nawet w dobrém na popis przygotowaném czytaniu. — Dla doświadczenia, o ile słuszne są uwagi nasze w tym względzie, niech czytelnik przejrzy myślą kilka rodzajów poezyi i prozy w ciągu pisma naszego rozrzuconych i stosuje one kolejną do każdego. W wierszu którymkolwiek dosyć będzie objąć ogólną jego myśl, duch i powagę, połączyć

jeszcze czucie bez zbytniego zapału — a już znajdziemy się gotowemi do publicznej deklamacyi w salonie — dramat, już więcej potrzebuje — już w czytaniu jego zachować należy wszystkie na początku przytoczone względy w stopniu tylko znacznie niższym i to bez gestów, bez łamania głosu dla przyjęcia organu obcego i bez natężeń w rysach twarzy.

W wyszukiwaniu efektu scenicznego, zdaje nam się, że się artyści bardzo często myślą. — Jeśli w frazesie jakim znajduje się dwa wyrazy zwracające uwagę i mogące silniejszem odznaczeniem w mowie, uderzyć słuchacza, artysta pragnie oboma uderzyć — niewłaściwie — myśl jedna spoczywa zawsze w jednym wyrazie a jej cienie rozlewają się po innych; jednym więc tylko wyrazem trzeba chcieć zająć i je lnym można — wydobywać w krótkim okresie siłę głosu i czucia na dwa miejsca lub trzy nawet, rozdziela się ta siła i czucie i powstaje stąd jakaś męcząca ucho, mozolna deklamacya, niesprawiając zamierzonego wrażenia. — Zdarza

się znowu, że deklamacya artysty tak jest ostrą i ciężką, jakby każdy wyraz z innych, *swoich* piersi wychodził — jest-to znowu skutek zbytnej chęci stania się zrozumianym, wybijając te tylko wyrazy, w których artysta niby myśl odszukał: do sprawienia efektu wyrazami oddzielnie wybitymi, przyjsć niepodobna — trzeba zupełnego uczucia, zapomnienia o gestach i nieznacznego postępowania do miejsca, na którym artysta myśli przejąć lub zwrócić przynajmniej uwagę słuchacza, trzeba całości.

Nakoniec język miłosny, czyli wyrażenie tego uczucia na scenie, zupełnie prawie przybrało inną od światowej formę, jakaś drzączka, prawie febrowa owłada kochankami, gwałtowny i ostry krzyk, którego niewierzę, aby używali kochankowie do swoich bogiń — niech sobie każdy przypomni swój miłosny zawód, przekona się, że kochanki światowe nigdy tak febrowych i krzykliwych niezniosłyby i nieśłyszały oświadczeń.

---

# Obraz Statystyczny widowisk w dziesięcioletnich periodach poczynając od roku 1799. (\*)

1)	2)	3)	4)	5)	6)	7)	8)	9)	10)	11)	12)	13)	14)	15)	16)	17)	18)	19)	20)							
Rok	Liczba oper włoskich dawniejszych	Liczba oper francuskich dawniejszych	Liczba oper niemieckich dawniejszych	Balety dawniejsze	Tragedye oryginalne	Tragedye tłumaczone francuzkie	Tragedye tłum. niem. lub angielskie	Dramy oryginalne dawniejsze	Dramy tłumaczone dawniejsze	Komedye oryginalne dawniejsze	Komedye tłumaczone	Komed. - opery w odczynisku i farsy oryginalne	Takież tłumaczone	Opery oryginalne nowe	Balety nowe	Opery włoskie, francuzkie, niemieckie nowe	Tragedye nowe tłumaczone	Dramy oryginalne nowe	Dramy tłumaczone nowe	Komedye tłumaczone	Komedye oryginalne nowe	Tragedye oryginalne nowe	Tragedye tłumaczone nowe	Wodewille i farsy nowe	Ilość dzieł oddzielnych	Ilość widowisk
1799	1.1.1.	1.0.0.	"	"	"	"	"	"	6.0.0.	2.0.0.	3.0.0.	"	"	"	<sup>6</sup> 7.4.0.	1.0.0.	"	4.0.0.	"	5.0.0.	1.0.0.	3.0.0.	"	"	33	55
1809	"	12.14.1.	10.12.1.	5.5.1.	"	3.2.0.	"	"	5.2.0.	5.5.1.	15.7.0.	2.1.0.	3.1.0.	1.3.3.	"	1.0.0.	"	1.0.0.	4.0.0.	3.7.2.	7.9.1.	3.3.1.	"	84	142	
1819	4.6.1.	6.20.3.	10.20.2.	2.2.1.	2.7.3.	2.2.1.	2.4.2.	4.10.2.	"	6.6.1.	2.3.1.	36.44.1.	"	11.2.1.	2.7.3.	<sup>2</sup> 7.26.4.	13.40.3.	1.1.1.	5.3.0.	1.0.0.	6.11.2.	1.3.3.	13.33.3.	1.2.2.	137	193
1829	2.6.3.	6.14.2.	4.14.3.	3.12.4.	7.15.2.	2.2.1.	"	4.0.0.	"	9.30.3.	5.0.0.	16.37.2.	"	7.19.3.	2.3.1.	<sup>1</sup> 3.13.4.	2.3.1.	"	2.2.1.	"	3.20.7.	1.0.0.	1.4.4.	3.6.2.	82	184
1839	"	2.8.4.	7.31.5.	"	10.50.5.	"	"	"	2.3.1.	16.69.4.	3.0.0.	31.9.0.	4.0.0.	12.8.0.	"	<sup>1</sup> 2.34.17.	4.31.8.	"	"	"	2.13.6.	"	1.4.4.	"	45	200

- 1) Każda pierwsza liczba w kratce, oznacza ilość dzieł różnych: druga, ilość powtórzenia takowych: trzecia, liczbę powtórzenia każdego, w przecięciu wziętą: — np. kraska druga z roku 1839, (2.8.4.) czyta się, przedstawiono dwie różne opery włoskie, powtórzone je razy 8, każda więc, w przecięciu daną była cztery razy.
- 2) Komedye mniejsze i dramy jednoaktowe, jako i wodewille nie stanowią widowisk, dodają się do dzieł większych, oper, baletów i dram, stan ich okazuje w objaśnieniach ustęp o Teatrze Rozmaitości. — 3) Mniejsze liczby położone nad pierwszymi większymi, oznaczają: pierwsza, ilość oper włoskich, druga francuzkich, trzecia niemieckich. — 4) Były w 1799 i 1809 niestałe balety. — 5) W ostatnim roku, do liczby 45 dzieł głównych, należy właściwie dodać 51 komedij mniejszych i fars, dodatkowych.

## Skład Teatru w tychże latach.

a)	b)	c)	d)	e)	f)	g)	h)	k)	l)	m)	n)	o)	p)	q)	r)	s)	t)	u)	v)	w)	x)	y)	z)	Rok		
	Dyr. muzyki i nauczyciel w szkole śpiewu	Reżyser i nauczyciel w szkole dram.	Dyrektor Baletu	Nauczyciele w szkole baletu	Orkiestry	Skład orkiestry Teatru Wielkiego	Solo Spiewaków	Chór kobiecy	Chór męski	Chór męski	Solo tancerki	Solo tancerze	Artyści dramatyczni	Artyści dramatyczni	Artyści dramatyczni	Artyści dramatyczni	Artyści dramatyczni	Artyści dramatyczni	Artyści dramatyczni	Artyści dramatyczni	Artyści dramatyczni	Artyści dramatyczni	Artyści dramatyczni	Artyści dramatyczni	Artyści dramatyczni	Artyści dramatyczni
1799	1	1	0	"	1	24	1	3	4	2	19	4	"	"	"	"	"	"	"	"	"	"	"	"	"	46
1809	1	2	1	"	1	27	1	2	3	2	17	13	"	"	"	"	"	"	"	"	"	"	"	"	"	64
1819	1	2	1	1	1	29	2	3	6	1	18	15	2	4	4	10	6	11	"	"	"	"	"	"	"	82
1829	2	3	1	1	2	28	6	5	18	13	17	10	4	5	4	12	6	10	"	"	"	"	"	"	"	82
1839	2	4	1	4.3.	2	29.6	9	6	58	15	20	18	10.	8.	57	83	13.	25	4	12.	43	121	213.	53.	430.	

U W A G I

a) Czterej Dyrekt. muzyki są razem nauczycielami w szkole śpiewu do Teatru należącej i dopiero za dzisiejszej Dyrekcyi założonej. — b) P. Kudlicz jest Reżyserem i nauczycielem w szkole dramatycznej przy Teatrze, dawniejsza szkoła nienależała do Teatru, miała oddzielne fundusze i kilku nauczycieli. — c) Czterech nauczycieli a trzech pomocników. — d) Zamieszczeni są tylko etatowi, w razie potrzeby dobierano jak w latach 1799 i 1809 kiedy dawano opery wielkie np. Axur i Flet czarnoksiężki, orkiestra musiała być kompletną: dziś do większych oper Dyrekcyja dobięra pięciu lub sześciu artystów, czasem całe orkiestry. e) Artyści dram: śpiewali w operach. — f) Artyści dram: składali chóry. — g) Tu należą dziś: bibliotekarz, jeden z liczby artystów, dekoratorowie, dwóch naczelników maszyneryi i t. d. — h) Teatr dziś ma wszystkich rzemieślników własnych, etatowych, zaprowadzenie teraźniejszej Dyrekcyi. — Cała tabella zawiera same indywidualia, stałe płatne. — k) Dawniej najmowano dziennie.

(\*) Od tego czasu znaleźliśmy źródła \* małemi już tylko przerwami i w tym roku wziął antreprezję Wołciech Bogusławski, założycielem sceny krajowej zwykle tytułowany.

Łączniejsze dzieła w poprzednio wymienionych pięciu epokach przedstawiane.

1799	AUTOROWIE	1809	AUTOROWIE	1819	AUTOROWIE	1829	AUTOROWIE	1839	AUTOROWIE
Drzewo Diany O. Axur Krakowiacy i Go- rale Hamlet T. Scytowie Inez de Castro Emilia Galotti Potwarcy D. Nienawiść ludzi Dawny i teraz: wiek Szkoła obmowy K. Zabawy wiejskie B.	Martini Salieri  Stefani Szekspir Wolter de Soden Lessing Kocebu Tenże Iffland Szeridan —	Axur O. Flet czarnocięż. Przerwana ofiara Achilles Krakowiacy Genowefa Lodoiska Fraskalanka Leszek Biały Hamlet T. Elfryda Inez Gustaw Waza Otello Dziecię stawione na kartę D. Duch opiekuń- czy Klaryssa K. Henryk VI na łoż- wach Machina szacho- wa Córka źle strze- żona B.	Salieri Mozart Winter Paer Stefani Mejer Cherubini Paisiolo Elsner Szekspir — de Soden Kropiński Iffland Pikserekur Dmuszewski Bogusławski Szreder Szlancowski	Opera Włoska w podróży O. Gryzelda Król Łokietek Śpiewaczki wiej- skie Tankred Familia Szwaj- carska Jadwiga Hilary Dzwonek Przerwana ofiara Woziwoda Templaryusze T. Cyd Otello Zbigniew Machbet Ludgarda Barbara Horacyusze Oryginały K. Figle Pazią Mieszczanin szla- chcicem Samolub Jan Grudczyński Tom i Leontyna Balet	Fioravanti Paer Elsner Fioravanti Rossini Weigel Kurpiński Nicolo Harold Winter Cherubini Raynoird Kornel Ducis — Szekspir Kropiński Feliński Kornel Fagon Kocebu Molier Dmuszewski Thierry	Mularz i Slusarz O. Wolny strzelec Cyruklik Biała dama Szarlatan Włoszka Sroka Otello Kopciuszek Pałac Lucypera Andromaka T. Machbet Intryga i Miłość Dziewica orleań- ska Edyp org. Precyoza D. Szulera życie Chłop milionowy Przyjaciele K. Poeta i odludki Geldhab Szkoła starców Trzy gracye B. Młoda bohaterka Apollo i Midas	Ober Weber Rossini Boieldieu Kurpiński Rossini Tenże Tenże Tenże Kurpiński Rasyn Szekspir Szyller Szyller Wolf Ducange i Di- neaux Rajmund Fredro Tenże Tenże Delavigne Morys Tenże Tenże	Zampa O. Robert Napój Niema z Portici Włoszka Kopciuszek Koń spiżowy Błyskawica Fradiauolo Piętno hańby D. Waryatka Oblubienica Jest temu lat 16 Pojedynek Szuler Amelia Ludwika Czemuż nie była sierotą Jeniusz B. Mleczarka Mars i Flora Mimili	Herold Mejerber Donizetti Ober Rossini Tenże Ober Halevy Ober Maillon i Boulé Desnoyer i Gerau zWalterskota rom. Ducange Loekroy i Baton Ducange Huber Dinaux i Le- gouvé Skarbek(Hrabia) Morys Pion Tenże Tenże Tenże
	1839								
Rycerz i Wieszcza B. Amazylla Syfida Stach Wesele	Vestris Taglioni Taglioni Morys Tenże z krakow- iaków prze- robił								

O, znaczy opera. T, Trajedyja. D. Drama. K. Komedyja. B. Balet.

## Objaśnienie Tabeli Statystycznych.

---

Dotąd w ciągu dwóch tomów *Pamiętnika Sceny*, wspominaliśmy dosyć często, jak szybkim krokiem widowiska sceniczne wzrastają pod dzisiejszym zarządem, powtarzały to pisma czasowe i pierwiej i potem w wyrazach pochlebnych, popierając twierdzenie swe, słowami lub nie dla każdego wyraźnemi faktami; my pominiemy częste wyrazy i niewłaściwe pochwały, a dowiedziem rzeczą, która lepiej sama za siebie przemówi.

Prawda niewątpliwa — że dzieło nawet mniej-szej wartości, tak starannie wystawione, że w braku istoty, gdy mu smak dobry w układzie i połączenie w piękną całość wystawy, przyjdą na pomoc, sprowadza więcej i częściej słuchaczy, czy widzów, niż dzieło choćby najlepsze, niedbale przed-



stawione.—Niech czytelnik, świadomy rzeczy, zechce przejrzeć myślą stan widowisk w latach, jakie tu podajemy i porówna go ściśle ze stanem w porządku dziś system objętym, nieświadomy zaś, niech raczy poprzestać na obrazie z pewnych utworzonym źródeł. Weźmy np. widowiska liryczne; w roku 1799, dano jedną operę włoską z lat poprzednich i ta jedna tylko, nie mogła już być powtórzoną; w roku 1809 było ich aż dwanaście różnych, a powtórzono czternaściekroć, po raz więc każką; w 1819 r. już przecie przedstawiono po trzy razy jedną; w 1829, dwie i po dwa kroć tylko; dziś z oper włoskich dawniejszych, dwie mieliśmy (Włoszka i Kopcinszek), ale każda po cztery razy mogła być powtórzoną — jakież stosunek — 1 lub dwa do 4ch. Cóż to dowodzi? W ogóle im gorszy stan widowisk, tym częściej potrzeba nowej sztuki, czerwonego afisza, bo każda przedstawiona raz albo dwa bez dokładności, porządku i gustu, nieściągnie już do siebie — „Raz widziałem, to dosyć.“ — Każdy powiada i sztuka od razu ginie. Gdzie więc jak na prowincyi sztuk nowych, codziś prawie czerwony afisz i nieskończone umizgi do publiczności — nienda się jedno, probują szczęścia w drugim — a długoż się przygotowują do zrobienia nowej przyjemności widzom? dzień jeden, dwa lub trzy najwięcej. Czyżto czas dostateczny do porządnej i starannej wystawy dzieła? czy podobna artyście, zastanowić

się dobrze nad rzeczą, kiedy ledwie ma czas nauczyć się jakkolwiek roli? jakież urządzenie maszyneryi, jeśli jej potrzeba, jakież przygotowanie muzyki i chórów, jeśli opera lub balet? Tak każda dyrekcyja widowisk dorywkowych, żyje tylko jednym dniem, codzień nową sztuką. Zdaje się przytém, że ostatni szczebel doskonałości widowisk, byłby wtenczas, gdyby kilką dziełami można zająć widowiska całego roku. Niepotrzeba masy dzieł nowych, ale dokładnego przedstawienia. W 1819 roku dano 13 nowych i wielkich baletów, a każdy ledwie trzy razy się pokazał; my teraz widzimy ile pracy, staranności, kosztów, gustu, wymaga dobre przedstawienie jednego baletu, opery lub dramy nawet, ale też jaka ich pomysłność; niektóre balety, jako *Mimili* i *Jeniusz Różowy*, przedstawione z prawdziwym gustem i najdokładniej, tak wielkie miały powodzenie, że w ciągu roku powtórzył się każdy, do trzydziestu razy — a *Wesele w Ojcowie*, od 1823 r. doczekało się przeszło stu kilku przedstawień i ciągle utrzymuje się w liczbie dzieł bieżących i z zadowoleniem przyjmowanych. Któż przedtém *nowe* choćby najgłośniejsze dzieło mogło się takiego szczęścia spodziewać — oper mieliśmy dwie tylko nowych — ale jedna 28 razy powtórzona, druga sześć bo już w połowie ósmego miesiąca pierwszy raz się okazała — w roku dziewiętnastym nowych oper dziewięć, a ledwie po trzy razy zniosła je

publiczność. Niech tu wszakże czytelnik nie mie-  
sza stanu literatury dramatycznej i lirycznej ze  
stanem widowisk; widowiska albo raczej dzieła  
przedstawiane, ich smak i wartość są w części  
obrazem stanu literatury jednoczesnej, ale na od-  
wrot stan literatury niepodnosi i niestanowi je-  
szcze *właściwie* stanu widowisk, jeśli inne, odrę-  
bne przyczyny walczą przeciw ich postępowi.—  
Z tabelli i wykazu *w treści sztuk*, przekona się czy-  
telnik, że były i dawniej w różnych rodzajach i  
wielkie przedstawiane dzieła, wiele choć nie-  
bardzo, oryginalnych; były one wartości znako-  
mitiej, byli i artyści z niepospolitemi talentami  
do przedstawienia ich użyci, a przecież wszystko  
to nie miało, ile godne, powodzenia, albo leniwym  
krokiem postępowało. — Może kto powie, inny  
gust, inne rozumienie rzeczy, widzów — niebar-  
dzo inny — niewiemy, które pokolenie okazałoby  
się zwyciężskim pod względem smaku, podobno  
wszystkie okażą się przy placu bitwy, niezwy-  
ciężone; najlepszy dowód, że nasi antecessoro-  
wie niezawstydzą się synów a my ich nawzajem,  
kiedy np. w 1829 roku, obok najlepszych dzieł  
dramatycznych, oper i baletów (jakie wówczas  
być mogły), skoro ukazała się farsa *Chłop Mili-  
onowy*, wszystko stratowała, oddała zapomnieniu,  
sama jedynowładnie osiadłszy na tronie wido-  
wisk, przyćmiła wszystkich mędrców klasycznych  
i romantycznych. Chłop to jeden utrzymuje tak

dobrze kratkę widowisk dramatycznych (3.20.6.), bo szesnaście razy dzień po dniu grywany — za-dziwiał niewymyślną publiczność.

Co do składu teatru w tychże samych epokach, postęp równie wielki i zadziwiający jak samych widowisk, bo z niemi musi zostawać w najściślejszym związku. Jak trudno było przedstawić dobrze na widok, jakie dzieło, kiedy artyści dramatyczni musieli być uniwersalnymi i wszędzie, musieli jednocześnie być gotowymi do każdej gałęzi sztuki, nawet do chórów. Jak wiele powinna pracować śpiewaczka nad wyrobieniem głosu i poznaniem muzyki — praca trudna i ciężka — ileż tancerka, aby to imieszłownie nosiła — może jeszcze więcej. Dziś każda gałąź sztuki scenicznej, ma oddzielne indywidua i każdy artysta, może, poświęcając się jednemu zawodowi, przy pracy i talencie, godnie mu odpowiedzieć. Ile obowiązków ciężyło na nim pierwój? dziś jeden tylko właściwie — przy tylu obowiązkach pierwój, byłże pewnym zawsze otrzymania w czas oznaczony, wynagrody swych trudów, według talentu, zasługi i umowy; — a ileż razy zmuszonym był wnosić zażalenia na przedsiębierców widowisk? Teraz każdy jest płatny najregularniej, wedle warunków kontraktu. Dawniej 130 lub 150 osób, niemogło czasem za swe najgorliwsze i wielokrotne usługi odebrać należnej płacy — dziś 430 ma zapewnioną terażniejszość, co więcej ma zapewnioną przyszłość własną i przyszłość dzieci. Takie są skutki czynnej i troskliwej opieki, skutki najściślejszego porządku przez *podział pracy*. Miasto niepodniosło się tak olbrzymio, bogactwa nieprzybyło, a nigdy widowiska warszawskiego teatru nie miały cienia nawet tej wspaniałości i przepychu jak mają dzisiaj — jeszcze kilka dziesięcioletnich periodów, czekaćby należało, nimby widowiska nasze postępując w takim stosunku jak postępowwały do 1829 roku przysły do obecnego stanu. Widowisk Teatru Rozmaitości nie podajemy teraz oddzielnie, bo wypadaloby dla jednego 1839 roku i kilka miesięcy 1829 (11 września utworzono Teatr w gma-

chu Dobroczynności) tworzyć Tabelę, stan ich oznaczy następny wykaz: w 1829 r. przedstawień 60 — w których dano 84 komedyj drobnych, 65 komedyo-oper — a w tej liczbie 9 komedyj i wodwiłów nowych i 2 oryginalne. W 1839 r. widowisk 207; komedye wyższe i niższe z lat przeszłych, powtarzały się po trzykroć, nowe wyższe po sześćkroć, niższe czterokroć — wodewile większe i mniejsze z lat przeszłych, po trzykroć prawie, nowe po dziesięćkroć; w ogóle przeto, komedye wyższe i wodewile na wysokim stopniu pomysłności stoją.

Dla uzupełnienia powyższych objaśnień ściągających się do obecnego stanu widowisk w porównaniu z dawniejszemi, winniśmy jeszcze dodać, że nietylko pewną mamy nadzieję utrzymania się na dzisiejszej pomysłności stopie, lecz urządzenie wewnątrz zabezpiecza i w przyszłości także postępy, utrzymując przy Teatrze szkołę śpiewu, dramatyczną i baletu, które sposobą i przygotowują młode talenta do scenicznego zawodu.

#### Szkoła Śpiewu

Dzieli się na trzy klasy, w pierwszej korepetytor chórów i nauczyciel P. Walenty Kracer ma 33 uczniów, powiększłej części z chóru.

W drugiej na dwie części podzielonej, ma pierwszą Dyrektor muzyki Baletu P. Józef Stefani, drugą P. Nidecki, dyrektor muzyki w operze: uczniów dwunastu.

W trzeciej kończącej wykształcenie, skąd wychodzą już artyści na scenę, P. Karol Kurpiński pierwszy dyrektor muzyki. Dawniej na ten cel utworzone było konserwatorium muzyczne, uposażone osobnemi funduszami, dziś Teatr utrzymuje szkołę śpiewu na własnym koszcie.

#### Szkoła Dramatyczna

Pierwszy jej początek sięga 1810 roku i należy się Wojciechowi Bogusławskiemu. Dziś ta szkoła

przez długi przeciąg czasu przerwana a przed 4rą laty przez dzisiejszą Dyrekcyą teatrów wskrzeszona i na nowo uorganizowana, ma dwie klasy, po 12 uczniów zawierające, w połowie z osób na etacie Teatru zostających: nauczyciel Pan Bonaventura Kudlicz reżysser obu teatrów, artysta znany z talentu i z wielu względów w teatrze zasłużony.

### Szkoła Baletu.

Klasa początkowa dzieli się na dwie części. Oddział płci żeńskiej i oddział płci męskiej, razem uczniów 30. Nauczyciel P. Carell. Z tej klasy przechodzą do następnych class również przygotowawczych; chłopcy do klasy pod kierunkiem P. Turczynowicza, panny do klasy pod przewodnictwem panny Polichnowskiej, mającej jeszcze dwie podnauczycielki: Panią Brand i Pannę Polyak. Klasa ta dzieli się na trzy oddziały; pierwszy zajmuje właściwy corps de Balet płci żeńskiej, drugi corps de Ballet średni a ostatni, dzieci.

Oddział najliczniejszy, bo przeszło 50 uczennic zawierający, tak jest urządzonym, że zapewnia nam balet co lat kilka jakby odświeżony: starszy corps de Balet, po pewnym przeciągu czasu, zastępuje się przez dorastający *średni*, a ten znowu przez *młodszy*; wyższe zaś zdolności nauczycielka postrzegając, przysposabia aby mogły wejść do klasy najwyższej.

Nakoniec klasa najwyższa czyli tak zwana szkoła doskonalenia, pod kierunkiem zasłużonego samego Dyrektora baletu P. Morisa Pion; w tym oddziale mieszczą się młodzi tancerze i tancerki sposobiące się do rol pierwszego rzędu.

Uczęszczają tu także nie z obowiązku jednak, pierwsze tancerki i tancerze.

## SĄDY O TEATRZE

CZYLI

### Trzy Wieczory.

*Pierwszy wieczór.* Na przyjacielską pogadankę, zbierało się liczne do państwa Rnszczyckich towarzystwo; gospodarz uprzejmy, emeryt; gospodyni wielomowna, wesoła; a choć jeden syn Stefan już był trzy lata honorowym referentem na czysto, córka zaś Aurelia, słonecznej jasności blondynka, powtórzyła już kilka razy Koka romanse po polsku i niejeden zdrój łez wylała, czytając repertoary Teatrów warszawskich, wybornemi ozdobione rycinami, przecież mama bywała jeszcze na maskaradzie z gołą głową, albo pod maską w pasterki stroju. Ludzie tak światowi, mając *blond towar* do zbycia dawali często skromne wieczorki — jesienią, wistowe i loteryjkowe — zimą, tańczące. Zapraszano tylko dobrych znajomych, emerytów, czasem młodych autorów poetów, recenzentów — bo jasna Aurelia lubiła książki, szczególnie *Rozmaitości* w gazetach, a łaskawi autorowie, poeci i recenzenci miewali zawsze przy sobie kilka numerów gazet, gdzie się ich płody, różnej wartości i treści mieściły. Byłem na trzech takich wieczorach, a com się dowiedział, nauczył, chętnie opowiem, nauczę — bo rzeczy bardzo ciekawe, głębokie i świeże.

Skoro zaproszeni przybyli, a każdy opowiedział na wstępie, krótki rys całodzienniej pogody, rozstawiono stoliki, jeden zielony do wista, drugi większy z trzech różnej barwy i wysokości złożony, do loteryjki. Wist w pięć osób — Pan Rnszczycki wychodzący utrzymuje rejestr (służył lat 26 w wydziale rachunkowym, jemu więc słusznie

można było tę czynność powierzyć); Pani Ruszczycka zasiadła, wyciągnawszy asa, z trzema uczonymi do robra — gra gruba, po 10 groszy bez koron, kwadrupli, preferansu i resztek — wist w pierwotnej swój czystości. Przy drugim stole trzykroć liczniejszym, rej prowadziła co do prawideł porządku w ciągnienu, Panna Salomea, niegdys w wielu znacznych domach guwernantka, współczesna pierwszemu wydaniu gramatyki Mejdingerera, wspominająca często nieboszczki i nieboszczyków, Wojewodziny i Starościców. Panna Aurelia gęsto lokami opatrzona, w gronie rówieńnic, przyjaciółek, rozdawała młodzieży kartki — a każdy licząc ua pewną wygraną, wdzięczne składał podziękowania za grzeczność i uprzejmość. Nim zaprowadzono porządną administracją przy loteryjce, drugi stolik przegrał dwa robry, obawygrała gospodyni, upominając męża, aby dokładnie i wyraźnie zapisywał; przy rozdaniu kart przez Pana Ucinkowicza, właściciela jakiegoś pisma w kraju wychodzącego, wszczął się lekki spór o dwójkę pikową, która, Pan Ucinkowicz utrzymywał, niepotrzebnie jego damę zabiła. Pani Ruszczycka zaś, twierdziła, że krok ten uważała za jedyny środek wejścia do gry i prowadzenia jej do końca. Pan Ucinkowicz niemógł przekonać i niepowinna, jako kobieta i gospodyni; sprawę wygrała i okryła pocałunkiem łysinę męża, który w tym sporze był neutralnym. Tylko włóczęcy się jakiś jegomość od stolika do stolika nieczynnie, niemając wyobrażenia o wiście, nawet grze maryasza, dziwił się mocno, że niektóre damy biją królów, asów, a padają zabite pod waletami; łaskawy gracz najwięcej milczący i rachujący atuty, wyłożył mu pokrótce, że w każdej grze, po kart rozdaniu, jest jeden kolor panujący, przed którym wszystko pada, choćby najstarsze, a potem znowu przychodzi kolej na bitych, że biją, np. teraz Karo znaczące w kabale pieniądze, (posiadał gracz ten i Kabalistykę) starsze jest od trefli, pik i keru, a w drugiej grze ker będzie starsze cd Kara i t. d.



Już rozumiem, rozumiem i dziękuję, jestem spokojny. Skończono cztery robry (tour); w loteryjce, dwa ciągnięcia, które los i dwaj, naskrzydłach, obok Panny Aurelii, siedzący kawalerowie, bogini téj przyznali; Panna Salomea zaczyna się martwić, miała za każdym razem po cztery kwaterna, kilkakroć omyliła się, biorąc piatkę za osemkę i straciła wygraną—gdy powstał brzęk szklanek, łyżeczek, chrzęst sucharków i rumot stołków, na znak, że podają herbatę. Napoj niepożywny, ale przyjemny i jak w tym domu nierozdrażniający nerwów, jeśli mu rom nieprzyjdzie w pomoc; sporządzony w kociołkach, przelany w czajniki, szklanki a dla kobiet w filiżanki, miał zapach więcej jakiegś sosu i zyskiwał liczne adoracye (samowarów wynalazek jeszcze się nieupowszechnił na błękitnej ulicy) wszakże powtórzono i wypróżniono drugą porcją. Przy loteryjce Panna Aurelia i Salomea niechciały drugich filiżanek — Aurelii niewypadało — Salomeę, mocna herbata, z wiśniowym sokiem lub ze śmietanką, snu pozbawia. Uczeni towarzysze wista, zawiązali rozmowę o teatrze, z okoliczności kilku nowych sztuk w tym czasie przedstawionych, o których dzienniki, rozmaite głośiły zdania.

Znudzilem się wczoraj okropnie, rzeczce Pan U. na téj moralno-sentymentalnej komedyi; jestto dobre, zręczne, piękne ale bez życia, gdyby nieostatnia wesoła sztuczka, na której usmiałem się do woli — kazałbym był sobie zwrócić pieniądze.

Masz słuszność największą zacny redaktorze, wiesz, to się godzi karmić nas morałami bez końca i jakiemis dowcipkami, które, żeby zrozumieć, trzeba sobie głowę łamać pół godziny — czemu ty niepowiesz przecie komu, co ma prawo zmieniać widowiska, aby niewystępowali z filozofią zamiast komedyi — przecież masz wpływ i stosunki.

Mam wpływ, zapewne i jutro napiszę, bądź spokojny Cyryaku.

Za pozwoleniem panów, odezwał się z nieśmiałością Jegomość, który ehodził i niegrał w wista — czy wolno zapytać, jakiego panowie życia szukacie w komedyi, bo ja byłem wczoraj, słu-

chałem z największą przyjemnością i śmiałem się niezłamawszy głowy

Ale panie Dobrodzieju, co mi to za komedia, muszę myśleć i domyslać się. A pan podobno pisujesz czasem, jak mi mówiono, przerwie z ironią natrętny flegmatyk, jakże pan wtenczas radzisz sobie?

To co innego — tam muszę myśleć nie mam czasu na śmiechy. *Mnie* się zdaje że pan Dobrodziej i wtenczas niezłamiesz głowy.

Jakto? pan widzę nigdy w życiu swoim nic niedrukowałeś. *Nic* — ale wszystko, czytam co panowie drukujecie. Łatwo czytać, ale proszę no usiąść i napisać. *Spróbuję* kiedyś, jak się więcej nauczę — teraz śmiem, wracając do głównego przedmiotu, zapytać raz jeszcze, jakiego to życia pan szukasz? *Nic* wdając się w rozumowania ciężkie — powiem panu po prostu, ja się chcę śmiać nie medytować. Więc pana, komedye Fredry jak *mąż i żona, przyjaciele, śluby* nie mają szczęścia rozśmieszać — to już rozumiem, czego pan żądasz — czy znany panu talent P. Dallot, komika, ucznia sławnego Frankoniego w cyrku olimpijskim, onby pana rozśmieszył — on wszystkich rozśmiesza, co się na komedyi Fredry nie śmieją.

Pan U. jako człowiek już bardzo doświadczony blisko 40-letni, a na przedsiębiorstwach literackich, już cały majątek stracił, przyzwyczajony do rozmaitych i *ostrzejszych* przycinków, na które narażało go samo powołanie, zniósł tę niegrzeczność nieznanego prostaka, bo on jeszcze nic w życiu niedrukował — niezna więc mozołów i zastug redaktorskich i nieumię szanować ich zdania.

Pozwolisz pan, jako przyjaciel komedyj Fredry, odezwał się z powagą Pan Cyryak, dostarczający znacznej liczby dowcipnych artykułów do *Rozmaitości* wszystkim pismom — pozwolisz pan, że i my przecież, znamy się na dobrém — ale w komedjach Fredry, jeśli mają zająć, trzeba nie naszych artystów — my tu nikogo niemamy, oprócz kilku osób; tam w samej rzeczy, musi aktor dobrze pomyśleć, aby śmieszność znalazł i połazał. *Niemamy* — niemamy — czy pan masz słuszność

niewiem — bo jestem tu niedawno i byłem dopiero na kilkunastu przedstawieniach; zdaje mi przecież, że aby sztuka dobrze poszła, aby zajęła, dosyć tymczasem będzie, jeśli główne role mają dobrzy artyści — lepiej zapewne wyda się całość, kiedy wszystko w każdym szczególe przedstawi się dokładnie, ale to są za wielkie wymagania. Wątpię, czy na którymkolwiek z europejskich teatrów, w sztukach Skribego, grają sami wyborowi artyści — takich ludzi, jako rzadkich, niemożna codziennie i zawsze w lada rolce używać. Dla czego niemożna? osuknie Pan Cyryak — dla czego? cóż robią kiedy niegrają? *Potrzebują* jak ludzie, wypoczynku do pracy więciej umysłowej jak np. kompozytor szarad. Wreszcie czy liczba pierwszych talentów tak jest wielką, aby wystarczyła w każdej potrzebie: przejrzyj pan, wszak czytujesz gazety francuskie i niemieckie — przejrzyj repertuary osób, ileż tam np. we Francji jest owych brylantów w kilkunastu teatrach — imiona wszystkich znaczniejszych znane ciekawszym — policz pan, czy będzie tylu, ilu szaradzystów przy każdej gazecie. Mój panie, i do szarady trzeba głowy. *Niewielkiej* — znałem wielu, co tylko szarady pisali i pierwsi odgadywali a imion ich dotąd niewiedać w historii, ani literatury, ani sztuki — chociaż przyznaję, że do napisania szarady, trzeba znać kilka imion rzek sławniejszych, miast i całego abecadła, do odgadnienia, pierwszych początków liczenia i zmysłu szaradowego. *Porzuc* pan rozbiór szarad a powiedz, miałeś powód do szyderskiego śmiechu, w czasie piątkowego widowiska w Teatrze Rozmaitości. Podług mnie artysta C, choć młody i poczynający, tak ma wiele talentu jnż rozwiniętego, że powinniibyśmy życzyć sobie, aby więciej takich okazała nam scena; jaka gra, jakie życie, jaki ogień — *Ogień?* zapytał zdziwiony slegmatyk — chyba w nogach — bo się podłoga trzęsie, kiedy wyjdzie na scenę, żeby on miał więciej ognia w głowie, to byłby z czasem dobry. Jesteś pan stronny w najwyższym stopniu — już gdybyś sam niewiedział w nim talentu, to przyznaj, że głos ogółu, głos publi-

czności, coś znaczy i nienależy go lekceważyć. *Głos ogółu*, niepewne zdanie — wiesz pan dla czego takie brawa nagle powstają? to są brawa lekkliwych: kiedy ten ognisty artysta, krzyknie, stuknie — strwożeni krzyczą i tupią nogami, póki ich strach nieominie.

Pan wszystko krzywo widzisz, przecież jego rola wymaga siły i czucia. Czy tak? a więc jużesmy skończyli dysputę — odwróciwszy się bardzo zwolna, przeszedł ironista na drugą stronę — tymczasem milczący dotąd młody poeta, prozaik, krytyk, tłumacz, słowem największych nadziei człowiek, przysunawszy się do tych nestorów krytyki i literatury, ozwał się tonem wzgardy. Co panowie sprzeczcacie się z szaleńcem, czy on ma o czémkolwiek wyobrażenie; przyjechał z dziczy, z za Wilna, może z za Kijowa nawet, co on tam widział — żniwa i żydów w mieście. Dajcie mu pokój. Oto lepiej wytłumacz mi się, czemu przecież nic nienapisałeś o W. on wczoraj tak ładnie śpiewał, brał *b* i *h* z piersi, a z jakim czuciem, i dla czego niewytłajecie tych panów recenzentów, co sobie uroili jakieś prawa do czynienia uwag — jak można pozwalać, aby ktoś bez imienia i wiedzy naszej mieszał się do gry artystów. Czy to w panów zawodzie jest zwyczaj udzielania nominacji na urzędowego krytyka, wtrącił Pan Ruszczycki dobrodusznie, zapytanie. Mh — na to nie daje się nominacji, ale trzeba głowy doświadczonej, światła, znajomości i powinien być nam osobiście znajomy. Przepraszam, nie wiedziałem tych zwyczajów, bo ja nigdy w te głupstwa wtrącać się nie miałem ochoty; co tu pisać o komedyantach, o komedyach o jakichś trylach, uwerturach w operze; niedosyć że wydrukują na afiszu imiona takich ludzi bez charakteru, uczciwości; a gdzieżto Mości Dobrodzieju, człowiek może być dobry, uczciwy — kiedy dziś udaje jakowegoś fircyka, zwodzi niegodziwiec pocziwą dziewczynę, ta płacze, a on z tego drwi, jutro znowu uda e pocziwego wieśniaka; oszust, oszust, nauczy się udawać tak, że potym diabła by okpił — jabym niegadał z takim człowiekiem,

pójdę czasem popatrzeć, co też tam robią i basta — a co tu pisać? Widzisz Pan Pisarz Dobrodziej, to właśnie stanowi wielką zaletę aktora, to się nazywa talent tak udawać, aby na chwilę słuchacza omamił — nad tem pracują, uczą się, kształcą. Oho — jest czego — a niech weźmie pierwszego lepszego żydka faktora, ten go sto razy lepiej oszuka — czego tu się uczyć. Człowiek poczciwy, choćby chciał, to niepotrafi udawać, a bezbożnik niepotrzebuje się uczyć, próbować. A te aktorki co tańczą, podkasane... pfu — kręci się, aż grzech patrzeć — od Francuzów to się poczyło — a teraz durzy i grosz wyłudza — o! — wolę na hecy, przynajmniej kiedy mi skoczy dwa razy na koniu rozpędzonym, jest się czemu przypatrzeć.

Długo jeszcze w coraz większy wpadając zapamięta i gniew, dąsał się Pan Ruszczycki — goście redaktorowie milezeli, bo za nadto głęboko trzeba było sięgać, żeby przekonać poczciwego emeryta.

Mój Boże! to oryginał, rzecz pochichu Cyryak — on nic nie rozumie — jaka to różnica od dzisiejszej oświaty. Różnica niewielka szepnął Pan Damian na stronie: Stary co mówi, źle czy dobrze, wie dla czego mówi — a ty piszesz o rzeczach, które znasz niby a błędzisz. Co winien ślepy, jeśli musi macać — gorzej, kto ma oczy — a ślepy.

Przeszło kilka minut na zupełnym milczeniu, w stronie wistowej; Loteryjka zaś wzmogła tak dalece wrzawę, że Pani Ruszczycka zmuszona była dowiedzieć się, co jest powodem narzekających głosów — pokazało się że Panna Salomea zgrała się do grosza, przyniosła drobnych całą róg chustki, pożyczyla od sąsiada na kilka stawek — a los uparty, śle tryumfy i zdobycze — samej Pannie Aurelii — Kawalerowie ciągną i zawsze brakujący numer wyszuku a w chwili, gdy Panna Salomea, już nakryła trzy kwaterna.

Godzina dwunasta, może dosyć na dziś, odezwał się po cichu do gospodyni, największy przyjaciel domu, w piędziesiątej wiosnie kawaler; za-

*pewne*, poufale odpowie Pani Ruszczycka — du-  
żoś pan przegrał? — nie wiele — byłbym wygrany  
gdyby ta Panna Salomea nienapożyczyła odemnie i  
najlepszych niepozabierała mi kartek. Nie cierpię  
tęj kobiety — rzecze gospodyni — w tém nadcho-  
dzi Salusia do pożegnania. Tak prędko? niezapomi-  
najże o nas, we wtorek zabawimy się znowu,  
odegrasz się. Za przykładem poważnej Salomej,  
poszła większa część towarzystwa — Pani Rusz-  
czycka stanawszy pośrodku pokoju przyjmowała  
ukłony i uściski od kobiet, mężczyźni przystępo-  
wali w rozmaicie łamanych figurach do ucało-  
wania ręki, zwieszonęj z wdziękiem na lewęj,  
służącej za podporę podpartą trwalszą i rozłoży-  
stą podstawą. Redaktorowie i poeta zniżony do  
recenzentów, ostatni złożyli swe szczeroliterackie  
całusy na pulchnie szą część ręki gospodyni i Panny  
Aurelii. — W czasie pożegnalnych ukłonów, zaszła  
zaciętsza jak dotąd między Redaktorami sprzeczka;  
póki pan Damian nacierał ironicznemi pytaniami  
na czoło krytycznej i politycznej literatury — póty  
złączonemi walczyli go siłami i mieli się zawsze  
za zwycięzców — gdy ten odszedł, obudziły się  
uspione przy grze kart, zawiści i starty się sa-  
mymi ostrzami. Wyrzucił starszy, który na dzi-  
siejszej entreprzyzie spodziewał się poprawić *skry-  
tykowane* bardzo interesa, młodszemu, zuchwał-  
szemu a niedoświadczonemu — jak śmiał nastawać  
na jego recenzją, pochlebną dla młodej, poczy-  
nającej artystki a gnębiącą inne talenta, zaszczy-  
cone już względami publiczności. Młodych trzeba  
zachęcać, zagrzewać do pracy, wytrwałości, mó-  
wił pan Gabryel — ale niezabijać wytykaniem błę-  
dów publicznie, to jest niesumiennie, niegodzi-  
wie nawet; Pan bronisz swęj *protegée* z zapalem,  
to nie bez przyczyny. Ręczę panu, bez żadnej  
odpowie pan Gabryel, nieznam jej, ale mi mó-  
wiono, że ma wiele zdolności, czucia i twarz  
przyjemną. Mówiono, więc pan sam niewidzia-  
łeś tego olbrzymiego talentu? nie, ale ten co pi-  
sał, widział najlepiej, a zna się jak mało kto —  
wreszcie prosił mię o wzgląd dla niej JW. Refe-  
rendarza Stanu, powinienem był pozwolić. A pa-

nie Dobr. niegodzi się pochwałami szafować na cudze zdanie i prośbę. Jaka sumienność z ironią przerażał pan Gabryel — a pan napisałeś cztery szpalty recenzji w połowie pochwalnej a w połowie wyostrzonej na ludzi najpoczcwiwszych, których znam osobiście — a jak się pokazało nie widziałeś ich grających. To biorę na moją odpowiedzialność, proszę być spokojnym, z powagą zakończył pan Cyryak. Kiedy Salomea zegnęła panią Ruszczycką, dosłyszeliśmy ostatnie słowa pana Cyryaka — *odpowiedzialność* — a na czem? czy na sumieniu, czy na głowie? — bo kieszek pusta.

Rozeszli, się tocząc przez całą drogę ziemniejszą rozprawę — zdaje się nawet po uściśnieniu ręki i schyleniu dwóch głów *odpowiedzialnych*, w dobrej harmonii — mówił mi potym poeta, którego bliżej poznałem na innym wieczorze, że sobie przyrzekli niepisywać przeciw sobie, ale żyć w zgodzie jak bracia — poeta zaś przyrzekł dostarczać wierszowanych końcówek do gazet, w razie gdy braknie obwieszczeń za które podajacy płaci.

*Wieczór drugi.* Pierwsze to zgromadzenie karnawałowe, jakoś na początku Stycznia na imięninę Mamy Dobrodziejki. Młodzieży zaproszonej mnóstwo, nawet kilku za staraniem Pana Mędrzeckiego, żwawego, wesofego, z wyższego tonu obiecało zaszczyścić salon emerytów Ruszczyckich. Za tyle starań i dowodów przyjaźni dziękował Ruszczycki, dziękowała pani, dziękowała córka, i Salomea nakoniec, bo jeszcze nigdy tak wielki splendor nie jaśniał na Błękitnej ulicy, jak tego wieczora, w którym wypożyczono wszystkie lichtarze z całego domu.

Na pierwszy rzut oka, wszedłszy do Państwa Solinizantów, myślałbyś, że tu wystawa wyrobów, żelaznych, bronzowych, różnych fabryk Krajów Europy. Wielki też zbytek nderzał przy chodnia, za każdym krokiem. Podłogi wyfroterowane obficie, firanki ogarniowano szerokimi bardzo frendzlami, poprzeplatano kokardy żółtymi i czerwonymi wstęgi, a główne bufy duu

zielonem ozdobił sam Pan Ruszczycki. Świeć liczba tak wielka, że gospodarz, niegdyś rachmistrz, nie mógł w liczeniu przyjsć do statęj jedne, ilosci. Toalety Panny Aurelii i Mamy zupełnie jednakowa — wyglądały jak dwie rodzone siostry; jednej wiek pełen doświadczenia, drugiej wiek rozwiniętego już kwiatu. Mama różę tylko białą zatknęła w misternie ułożone pukle — córka dwie stokrótki nad małemi lnianęj białości loczkami — czoło obu zdołała z włosów przepaska, złotem przerabiana — mama dostała ją od s. p. męża kawalera, dziś emeryta, córka uwiła sobie takąż z własnych kędziorów na wzór matczynęj. Suknie białe garnirowane w dwie falbanki wąskie, przerabianę włóczką kolorową — rękawy niekrótkie, ale szerokie z 1835 r.; trzewiczki białe atlasowe z czarną wypustką — wachlarze w ręku prawym, chustki białe w kwadracik jeszcze złożone w lewym. To są głównie sze cechy toalety. Gospodarz przybrał frak ślubny, granatowy, z gładkiemi niegdyś świecącemi guzikami. Spodnie na strzemionczkach! włosy ku środkowi ostro szesane, kamizelka i chustka niebieskawo-białe.

Godzina siódma, salony czy salon pusty, gospodarz świece objaśnia, gospodyni rozczesuje frendzle u firanek, Aurelia piramiduje sucharki i ponczki, kipią i parują kociotki w przedsieniu, błyszczą różnego wzrostu i tuszy szklanki, filiżanki, z pośrodku nich okazalsza budową i miarą wygląda porcelanowa czara pana Ruszczyckiego, która ak on, poszwankowana w kilku miejscach, dla zasług i ułomności nabyła prawa do emerytury gdyby ją gospodarstwo przyznali. Z niej pijał nasz były Pisarz magazynu solnego, na osobnym, w tym jedynie celu zbudowanym stoliczku, pokwadratowanym na szachy i stojącym zawsze blisko pieca w dogodnym i cichym kąciku.

Osmą, w pół do dziewiętej, kilka dopięro zapełniło się krzesel, żyweli starożytności figurami; niemasz obiecanych i z wielkim mozotem namówionych przez p. Mędrzeckiego salonowych kawalerów — niemasz Mędrzeckiego, niemasz Salomei z transportem elewek, ostatniego najświętszego



pokolenia, z ostatnich czasów nowożytnej statystyki. Niewiedzieli państwo *Solni pisarstwo*, że na większy proszony wieczór, pod tytułem *bal*, zgromadza się młodzież po dziewiętej lub o dziesiątej — u nich dotąd upływało już trzy czwarte wieczoru po drugiej filiżance sosu — te — herbaty. Partya wista dawno skompletowana, redaktory już się dwakroć skłócili i pogodzili — Urban akademik z 1829 roku, westchnął kilkanaście razy ku stołkowi, na którym siedziała przed chwilą Aurelia, wzdychał, niemówił, patrzył na ryciny — a nikt z domowników niemógł dociec od półroku, czego Urban wzdycha — zwierzył się tylko starszemu redaktorowi, że kocha — ten domyślił się w kim — ale Aurelia niestety! niedomyślna — czemuż jój żadnym nieuprzedził znakiem, ręki, nogi, oka — nawet westchnienia? — czemuż w jój obecności, patrzył w okno lub grał z sobą wszachy a ledwie odeszła, zasyłał na stołek westchnienia! Jedna Marysia, marszałek, kucharz, praczka, szwaczka, najdomyślniejsza, przeczuła co się święci, bo ją za każde poświęcenie na schodach, obsypywał 20 groszami.

Zadzwończyły nakoniec wnętrza podwoi, zerwały się mopki, chrząsnęły na krzesłach figury, mama odskoczyła na środek sali, odsadziła fałdy sukni i nagotowała rękę dla odmiany lewą, jako delikatniejszą i w gospodarstwie mniéj używaną. — Wszedł jeden, dwóch, pięciu, dalej jeszcze drugie tyle — razem i w tłoku jak na maskaradę. Ręka mamy czeka, wysunięta, bez rękawiczki, córka w dali o dwa kroki, jak adiutant połowy — krótko i prosto młodzież się skłoniła — rekomendował jeden drugiego, drugi trzeciego aż do ostatniego a żaden nieprzystąpił bliżej do czekającej ręki — skończyły się rekomendacye, jak ordynansa oficerów na placu przed wodzem — przybyła wkrótce Salomea, z transportem elewek, po owijanych starannie, jak szkło upakowane na wielką drogę; tu czoło mamy białą ozdobione różą, trochę się wypogodziło — sypnęły się liczne całusy, wynagradzając niegrzeczność salonowej młodzieży. Ale ręka lewa, bez rękawiczki, sterczała długo, potem

wsuwając się powoli do swój irchowej kryjówki, zniknęła całkiem i nazawsze dla impertynentów. Gdy przybył znany już czytelnikowi, przyjaciel domu, nieznalazszy przygotowanej ręki, z którą rozgniewana mama kryła się i niepodawała najlepszym znajomym tego wieczoru -- odszedł, zmartwiony, zdziwiony, rozumiejąc, że jakaś bajkę zmyślono nań przed panią Pisarzową. Zagadkę tę rozwiązał dopiero na drugi dzień, akademik i wytłumaaczył, że się teraz w salonach niecałuje w rękę gospodyni, nawet surowej etykiety przepisy, nie pozwalają kochanki -- wrękę -- całować.

Jednego figla niedosyć, młodzież bywająca zwykle w domu emerytów przybrała fraki modne, kamizelki kwieciste, chustki białe -- a salonowi wystąpili w frakach tępo podciętych, z patkami i kieszeniami na bokach jak nosili w 1828 roku: filuty! umyślili zrobić sobie igraszkę z mody i domu -- wystąpili dziwacznie, aby oszukać małpujących biedaków, starannie śledzących tonu wyższego świata ubiory. Wiele ich ten figel kosztował kłopotu, w błąd wprowadzili małpiarzy i za tydzień urzeli już w resursie tejtfraczkowe szerokie poły.

Zagrzmiał mazur po tańcu polskim: muzyka złożona z amatorów -- fortepian rozbijał Stefuś syn, skrzypce dręczył akademik na cześć pływającej po salonie Aurelii, flecikiem przebił ostro, młody z szóstej klasy gimnazjum uczeń. Wesołość i taniec puściły w zapomnienie wszelkie urazy gospodyni do gości. Aurelia zaledwie mogła wystarczyć rozochoconej młodzieży -- zamawiano ją jednocześnie do mazura, walca, sennego kontredansa i na końcu drabanta. Mama tańczyła tylko walca na trzy *pas*, po muzyce Frejszyca. Pan Ruszczycki uśmiechając się lekko, chodził między odpoczywającymi i częstował tabaką. Wrzawa, ochota, życie -- w napojach zbytek, panien po dwa exemplarze na jednego kawalera, ale się nikt nieuskarżał na niezmęczenie. Niech grzmi muzyka, tańczy młodzież -- my przedźmy w kącie salonu, gdzie zbierają się jakieś grupy odpoczywających rejtfraczków i podstuchajmy, choć to niewypada.

Już tam długo toczyły się szepty przerywane słowami jakiegoś zapaleńca niedyskretnego. Ale to niema sensu moi panowie, dziś na jutro przygotowywać brawa i wywołania — wszakże to jest nagroda prawdziwego tylko talentu, jedyna moralna pociecha dla artysty — a panowie przyrzekacie sobie przywołać po trzykroć jakieś dziecię, dla tego że miłe i drobne; wprowadzacie w błęd publiczność, i artystkę, która z czasem uwierzy, że warta trzykrotnego przywołania, ubliżacie sobie namując się bezpłatnie do krzyków, które wasze głowy w porozumienie nienajkorzystniejsze podają. Na co się zdała wasza protekcyja; wasze wywołania, są prawdziwemi *wywołaniami z kraju*; chiacz pomódz, szkodziacie i ściągacie na poczynającą dopiero artystkę, na gorszą opinią. — Co pan sobie marzysz po głowie jakiegoś marały, ja idę do teatru, żebym się bawił, bił brawo, komu zechcę, kto mi tu ma przepisywać prawidła, kiedy wołać, kiedy milczeć. *Pamiętaj* zacny panie, z większym zapałem doda exaltowany moralista, że nie sam jeden siedzisz w krzesłach, za sześć złotych nie kupiłeś przecie dwiestu numerów, jesteś jeden, lub was moi protektorowie, dziesięciu, którzy przychodzicie dla igraszki — cała publiczność przychodzi bawić się, uważać dobrą grę, ale nie słuchać waszych rycerskich zalotów — cóż wielkiego, jaka zasługa żeście młodzi, macie dobre piersi i ciasne lepiej oddające echa rękawiczki, a przeszkadzacie nieraz tysiącom słuchaczy. Zdarzyło mi się nieraz słyszeć ogromny hałas, jak na twogę — domyślam się, męczę, z jakiego powodu, gdzie się podziała ta scena tak efektowa — aż mi sąsiad powiada — to ten przebrany za łokaa z prawej strony kulis, wspomniął coś o artystce ładnej, że *ładna*, stąd tak powszechna radość, uciecha, brawa. A cóżto za głowy pomyśliłem, biją brawa już nie grze, nie sztuce, nie artyście ale Twórcy wszystkich piękności na świecie; to waryaty — kompromitują artystkę, kiedy jej dają brawo za wdzięki, czyż jej talent niezasługuje na oklaski kiedy się w grze dobrej objawia — czyż ona potrzebuje, żeby jej w głos oświad-

czono — *pięknaś* — kiedy chcą jej dać poznać, swe zdanie, dosyć raz okazać to przez znany im sposób, przez krzyki, nieobrazi to kobiety — ale zawsze — głupstwo; wściecie czyż mało dla każdej zwierciadeł, czy jej raz zdarzy się słyszeć wyraźniej i przyzwoicięj to samo pochlebstwo — a przynajmniej wie od kogo; tu w massie, nie ma różnicy, niema żadnej zasługi. Przy tych młokosach i starzy się psują — oni także przychodzą dla pięknych oczu, wdzięczą się do wdzięków i składają do brawa kościste ręce, które już echa niewydają jak u młodego zalotnego rycerstwa — gdzie idzie ogień rotowy, wprost, na bok, krzyżową sztuką, takt głową wybijając — są to jak konduktory, ściągające niepioruny ale krzyki nowe, z paradysu gdzie ludzie są najnieszczęśliwsi; ich uczucia żywe, humor dobry i tak często poruszają ich ręce, a tu znowu słysząc brawa krzeset, w ślad za nimi — wrzeszczą — tym sposobem, zapłacą za całe widowisko — nic nie słyszą, mało widzą i zdyszani a pobici od łokciów, wracają do domów.

Już dawno młodzież odeszła do koła mazurowego, zapaleniec przedstawiał to wszystko przybyłemu panu Ruszczyckiemu, który sam jeden, ciągle mu potakiwał — wtém nadszedł jeden: *Pozwól pan, chcesz abyśmy uważali na sztukę, cóż tam ciekawego, grają niegodziwie, same farsy, gdybyś widział nasze amatorskie teatra, przyznałbyś, że niewarto chodzić na farsy. Wierzę bardzo, że się bawicie, że bawicie patrzących, że dobre sztuki grywacie, że w gustownie urządzonych teatrach, ale niewierzę wcale, aby tam było tyle doskonałości — dosyć jest posłuchać was rozprawiających o sztuce i grze aktorów, a łatwo dojsć, jak słabe macie wyobrażenie o sztuce i grze dobrej. Naprzód grywacie po franczku, a niejesteście Francuzy — zdaje wam się, żeście tak biegli w francuzczyźnie jak artyści Teatru Francuzkiego a wierzcie mi, to marzenie — w grze każdego artysty okazuje się wyraźnie charakter jego narodu — w waszój grze i w waszych choć wyprawnych ustach tak wygląda sztuka francuzka, iak*

poezya grecka w tłumaczeniu polskiem — są też same myśli, ten sam tok więrsza i miara, ale niema tego ducha poezyi i tego charakteru — niedoszliście francuzów a skrzywiliście siebie — w swoim języku grać nie potraficie, bo nieznacie go wcale, wymawiacie przez nos, jakbyście bez nosów byli — dobrą jest wasza zabawa i podobna bardzo do udanej wojny z drewnianemi, ołowiem powleczonei dla blasku, pałaszami, w papierowych zbrojach z działami, w które dzieci groch duży nabijają. Nieprzeczę, że w liczbie waszych amatorów, wszyscy mogą mieć i mają najwyższe zdolności, że sławę przyniosłyby najpięrszej scenie Europy, gdyby los zaszczepił je w innej klassie społeczeństwa, ale zawsze wam brak będzie tego, o czém na początku wspomniałem — zawsze to będzie zabawa, z której zabawę tylko mieć można. *Słuchałem* waszania z uwagą i nie widzę w niczém słusności. — *Takie* wszystkie wasze zdania — ogólne, krótkie, bez dowodu — zawsze mówicie, ten zły, ten niezły, to nudne, to nieznośne, a niemówicie dla czego, bo niewiecie dla czego — umiecie się krzywić, a nieumiecie powiedzieć, czego wam brakuje, czego chcecie — jak dzieci, niemowlęta, płaczą, wyciągają ręce, a niemogą wyrazić czego im się żąda — gesta niewyraźne, rozkrzyżowane — skutki grymasów, ale nierzeczywistej potrzeby lub żądania. *Mniejsza* o to, co pana mogą obchodzić nasze towarzystwa — my tu stanowimy głos i zdanie. — *Bajka* — umarlibyśmy prędko na suchoty głowy — do widzenia. Towarzystwo nieznacznie, zniknęło, co chwila mniejsze grono, mniejsze koła; gospodarstwo niepojmowali jakim to dzieje się sposobem — niemogli się rozejść, bo się żaden niepożegnał — a przecież niebyło jak kilku, wkrótce, dwóch, jeden, pustki — zostali sami przyjaciele i młodzież etatowa w domu. A to mi się podoba, w najwyższym gniewie, zawołał, powolny dotąd przez lat 36 swojej służby emeryt, Pisarz Solny Ruszczycki — a to sowizdrzały — Arabi, Tatarsy, wpadli o północy, nieprzywitali się z gospodynią jak nczciwi ludzie, najedli się sucharków, napili herbaty, orszady, wina kilka butelek, żaden niepowiedział, Bóg zapłać i wymknęli się jak ra-

busie. Co to znaczy, czy postrzeleni? Pani Ruszczycka, nic niemówiła z przerażenia, wstydu, żalu (herbaty i sucharków) i pomieszania. Stała nieporuszona przy stoliku, na którym w nieładzie rozrzucone grzyby wspaniałej wieczerzy najsmutniejsze obudzały w niej wspomnienia. Tańczyła tylko jednego walca z panem Mędrzeckim, który sprowadził tę zgraję Tatarów — Mędrzecki na-przód się wymknął — a on jeden jako bardzo dowcipny, mądry, światowy, mógł być tę zagadkę wytłumaczyć — na nim więc ostatnia nadzieja po-ciechy.

Noc przeszła niespokojnie, pani Ruszczyckiej śniły się ciągle te impertyneckie figury, które tak okrutnie wzgardziły *przygotowaną lewą jej ręką*. Panu Ruszczyckiemu stawał przed oczami walet karowy, którego zrzucił przez nieuwagę, kiedy mu prawił androny jakiś młodzik o wdziękach Aurelii, i szlema dostał: strata niczém niepowetowana, stała mu we śnie i na jawie, tłumaczył się z tego błędu wszystkim redaktorom przyjaciołom — aż do zemsty nad nieprzyjacielem, kiedy mając dwa atuty drobne, a przeciwnik sześć starszych, uciekł na re-nonsa z niemi, i wybawił partya do wielkiego szlema.

*Wieczór Trzeci.* Dwa tygodnie największa ci-chość panowała na Błękitnej ulicy w domu rozrzu-tnego emeryta po takiej porażce, po doznanej znie-wadze, choć ją Mędrzecki starał się zmniejszyć, przytaczając w szczegółach, wszystkie z wyczaje wiel-kiego świata; wszystko to niemogło rozdrażnionych serc upokoić. Dwa tygodnie niebyło ani wista, ani loteryjki, nawet marysza i party warcabów z przy-jacielem domu Panem Wojciechem. Ochłonęli ze zgryzot: karnawał krótki, trzeba korzystać, ale precz taniec, wieczory huczne, nie, nigdy, aż do we-sela Panny Aurelii. Ułożono na środę przyjacielską zabawę, parę ciągnień do kwinterna, po dwie szklanki herbaty, po ponczku, na zakończenie po- stanowili zagrać wdarowanego, przyjechało też kil-ku szlachty z płockiego; poczciwi ludzie chcieli od-wiedzić synów, popłacić ich długi, ogrzać (bo gorąca młodzież w zimie bez ognia domowego żyje, grzeją się przy kominach w kawiarni), być kilka razy w te-

atrze, u przyjaciół, wykupić wszystkie kapelusze dla żon i córek z lat dawno minionych, kapelusze, które magazynierki troskliwie co rok chowają dla przejeżdżającej z prowincyi szlachty—słowem przyjechali pokrzepić swoim workiem kieszenie synów i magazyny z Freta ulicy.

Trzój bliscy sąsiedzi, przyjaciele pana Pisarza, na drugi dzień po przyjeździe odwiedzili go zrana; zaproszeni na wieczór znaleźli liczne towarzystwo rozprawiające o wszystkim głośno i z zapałem. — Kiedy tyle zmian zaszło w domu poczytych Ruszczyckich, czy myślicie że pan Urban akademik pół roku do krzeseł wzdychający, nieposunął swych interesów dalej ku celowi—i bardzo—na tym wieczorze, pierwszy raz siedział obok Aurelii, podniósł jęj chustkę z ziemi dwa razy, i oddał mamie, aby ją wręczyła córce, sam jeszcze nie śmiał, ale z czasem podniósłszy, sam odda—bo znacznie w wykształceniu światowém postąpił, przy pomocy Mędrzeckiego.

Nadciągnęła szlachta, codzienne towarzystwo już się od dwóch godzin spierało, najwięcej o Teatr, o dramę, opery, balety. Każda z tych sztuk, miała obrońców i przeciwników, wszystkim bez wyjątku dokuczał sęgmatak Damian, nastając na niesprawiedliwe ich sądy w gazecie ogłaszane. Po przywitaniu się z Pisarstwem, szlachta pocziwa, zacna, prawych wyobrażeń i nieskażonych obyczajów, zmierzyszy od stóp do głów wyćwiczonych w gazeciarstwie kapłanów i powiedziawszy kilka razy „za pozwoleniem“ zajęła szeroko, miejsca wskazane im pczez P. Ruszczycką. Jacyście Państwo szczęśliwi, odezwał się śmielszy, codzień widzicie Teatr, różne figle, muzykę—a my siedzim na wsiach, czytamy Kuryerka i domyślamy się tylko, co tu się u was wyrabia. Byłem-ci wczoraj na tym waszym *Koniu Szpizowym*—a co téżto tam piękności, człowiek niewie, gdzie piérwój okiem rzucić, czy na te jakieś pałace, czy na one tańce, czy muzyki słuchać. *Ale* iakże się panu podobał Koń w ogóle, zapyta jeden z Warszawianów. *Niewiem*, może to z daleka, ale przyznam się, iakiś chudy, tylko prawda, albożto prawdziwy, gdzieby on ustał tak spokojnie. *Ja pytam* o mu-

zykę. *Muzyka?* głośna, wrzasku co niemiara. Jak oto zgrabnie siada na tego konia, ona Włoszka, tyle lat jeźdź, a nieodważyłbym się wsiąść, niesprobawwszy piérwój. Co téż Brat gada, czego tu się bać, drzewo, czy papier niezrzuci — *bah* — może się chybnąć i poszwankowałby jeździec. *Nic* mu niebędzie, pojedzie drugi raz i dziesiąty — toć ich przecie uczą, ozwie się trzeci. *Ja* bo zresztą przyznam się, nie lubię tych tryłów, zaśpiewaj mi mazurka, zagraj kozaka, to ci powiem, co to warto, ale w tém niema sensu, czego to ludzie cisną się i krzyczą; przyjechałem ze wsi, gdzie cicho, spokojnie, byłem w Płocku na Teatrze i bardzo mi podobało: grali *Szulera* — ten szuler dobrze deklamował, lepiej jak tu u was w tych dramach — mówią i mówią — jak w pokoju — a na diabła się to zdało — kiedy mi dobry aktor zdeklamuje a wyraźnie i głośno, zrozumiem go i powiem że byłem na Teatrze — a tu co? *Właśnie* tego u nas potrzeba, nad tem się pracuje, aby na scenie było iak na świecie, tak mówić i grać najtrudniój; trzeba prawdy nie deklamacyi wyraźnej i głośniej — dumnie wyrecytował mu pan Cyryak. Prawda, natura, charakter — to wasza jedna zawsze śpiewka — czytam niekiedy te niby nauki, ale wątpię, czy sami macie to wszystko czego od drugich żądacie — gdzie w jakim piśmie znajdziesz prawdę, charakter; macież wy sami to na uwadze — piszecie co chcecie; jak chcecie byle wydrwić pieniądze — albo gdzie prawda w Dramach; jest że jój tam chcę słowo; wszystko udanie — żyję tyle lat na świecie, widziałem tylu zbrodniarzy, oszustów, zwodzicielów — oto ten — (obracając się do sąsiada Jakoba) ten Kasztelanic — urwis, kręcił się koło nieboraczki, ... *Daj pokój* — nie oto idzie miarkując go Jakób, przerwał. *A o cóż?* przecież o filutów — może tam gdzie jest tylu, ale u nas Bogu dzięki, nie tak wiele, na co spojrzysz to łotr — we wszystkich waszych dramach — a jakie kobiety — jabym żony nigdy niezaprowadził na dramę — czemu to nieprzedstawia kiedy poczciwego, dobrego ojca, matkę przykładną i posłuszną córkę, wiernego paliwodę — nie — wszystko łotry. *Dlatego* przedstawiają się na scenie przykłady zbrodni, aby od nich odstręczyć,



wtrącił poeta. Na co odstręczać od zbrodni, {które tam Francuz popełnia — byle nie twój syn, prędzej go nauczysz, oswoisz ze zbrodnią, przyzwyczaisz jego ucho do bezeceństwa, misternie opisanego, jak oduczysz, lepiej niech niewie że są źli tacy, to będzie dobry i twój syn i twoja córka. Kiedy chcesz nauczyć chłopca dobrze pisać, to pokazuj dobre wzory, niech z nich pisze, nie bazgraninę, bo popsuje charakter, a nieustrzeże się krzywych lasek. Nie będę z wami rozprawiał boście przesieklili Francuzami — ieno piszecie o nich, naśladujecie, tłumaczycie ich wszeteczeństwa a sami nic dobrego nie chcecie wymyśleć. *Wymyślimy*, wesoło powie poeta, mam przygotowaną dramę oryginalną bardzo ładną i moralną. *I sam się waść chwalisz?* Ot, francuzczyzna — Francuz nie czeka, czy go pochwalą, ale sam robi i sam roztrąbi. Zamilkł poeta. Najwięcej mię boli, bo sam wiem co to choroba — że tu bardzo chorują artyści — Zapewne — ale powiem panu, rzecze pan Cyryak, że my oswoiliśmy się z chorobą i śmiercią, nie płaczymy bo często w czasie słabości niektórych artystów, scena lepszym cieszy się zdrowiem. *Co też Jegomość wtrącasz się do sporów o Teatrze, szczególnie o muzyce.* Ci panowie tu siedzą, patrzą, słuchają, mogą lepiej wiedzieć i sądzić. *W rzeczy samej* przerwał pan Pankracy mąż ciężko uczony; aby sądzić o sztuce, wypada pierwój długo patrzeć i słuchać — wreszcie czy teatr wart tego, żeby o nim tak wiele mówić, czy tak grają, czy inaczej, czy Konia, czy Roberta wszystko jedno dla nas i dla społeczeństwa; są rzeczy ważniejsze, filozofia, historia — tu się zagłębiać warto — a to są dzieciństwa. Oh! już tylko dajcie pokój waszej filozofii — pozawracacie głowy a nic niedowiedziecie — każdy filozof dla siebie — o historii co ja mam badać, przeczytam i dosyć. *Długo* milczący Damian, odezwał się grzeczniej, jak zwykle. Daruj pan, choć masz czczere chęci należania do literatów, ale są przedmioty, o których fałszywe powziąłeś wyobrażenie. Teatr, czyli scena, wpływa bardzo na ogół, na oświatę, charakter społeczeństw, i wyobrażenia; jestto jakby zwierciadło serc ludzkich z różnemi skłonnościami; skutki wpływu sce-

ny na]ogót nie daia] się łatwo] zmierzyć i] ocenić obecnemu. Niemasz kąta prawie w polorującym się świecie, gdzieby nieobjawiła się konieczna potrzeba widowisk scenicznych — one są dobrowolną i cichą spowiednią serca słuchaczów; nie bez śladów trwałych, odchodzisz z teatru, ślad ten jest niewyraźny, niedostrzeżony w jednej osobie, ale jest wyraźniejszym w massie — każda chwila staje się nowym postępem w poznaniu siebie i drugich, w kształcie wyobrażeń i ich powolném rozwijaniu się; nadto, jak każda klasa społeczeństwa ma odmienny charakter, tak każda potrzebuje swego zwierciadła, gdzieby odbijała się jej szpetność i piękność. Szpetność ujrzawszy, zechce ją zmyć lub osłonić — piękność — zechce pomnożyć jeszcze wdzięki. Dla tego teatr powinien przedstawiać dzieła dla wszystkich klas ludu — niech się tam wszyscy poznają i przejrzą — w ogóle tylko, niech to zwierciadło będzie wierne i niemaluje krzywo i potwornie twarzy słuchaczów. Wielki więc wpływ mogą wywierać widowiska na charakter widzów stąd i artysta sceniczny winienby swój umysł stosownie wykształcić; niemoże on być zupełnie dobrym bez gruntownej nauki — szczególnie historii i literatury — trudne jest jego powołanie, a może niezawsze z początku dobrze zrozumiane — powinien on znać wszystkie odcienia cywilizacyi, jeśli ma być rzetelnym przedstawcą przybranego charakteru. *Powiedziałeś pan wiele, aleś nieprzekonał — rzecze Pankracy. Nie moja wina, że chcąc nie umie n przekonać. Ja przyznaję słuszność panu w wielu względach, ale czyż to warto, aby codzień o tém mówić i pisać, iak u nas, albo jeszcze gorzej we Francyi. Trzeba mówić i pisać, skoro przedmiot tyle ważny ile maie się zdaje. Ale uwagi, że ktoś rękę po]nosi za wysoko lub nogą prawą pierw]ej stąpa — na co się komu zdadzą. To piszą urzędowi krytycy i czasem mają po sobie prawdę — bo uważ pan czy się to godzi, czy jest sens w tém, kiedy np. aktor mówiąc o sercu lub głowie, zaraz rękę kładzie na serce lub głowę — pokazując gdzie serce, a gdzie głowa — na co ta anatomia praktyczna czasem można cię posunąć do nieprzyzwoitości. Wybaczam, kiedy dziecko*

nieumiejące wyraznie mówić, pokazuje co go boli i gdzie — ale człowiek, któremu nie brak wyrazów na odmalowanie myśli — czyż potrzebuje tej dokładności w gestach, co słowo, nowy gest — męczą się, machając w różnych kierunkach rękami, sapiąc, robiąc pierściami; stąd suchoty wkraść się mogą; przez ludzkość więc, należy ostrzedz. — *Na* to niepozwalam, głośno odezwał się milczący dotąd wieśniak — chcesz pan aby stał jak kolek. — *Nie* panie, ale myśi jedna niepotrzebuje kilkunastu poruszeń rąk, poruszeń widocznie obliczonych — jeśli sama ręka podnosi się — dobrze — gdzie ją artysta podnosi — źle — najwięcej gestikulują starcy, dzieci i prostacy — stary, brak ognia zastępuje wywijaniem rąk i co słowo musi powtarzać „przepraszam” dziecko niema dostatku wyrazów, prostak wiele czuje, ale się wysłowić nie umie. — Do rozpraw nienależał jakiś jegomość, często głaszczący włos starannie wylustrwany, krzywił się na wszystkie recenzje, pisma, sztuki, grę, muzykę — bo był za granicą i widział wielkie cuda, wielkie głowy, których sam niepojmował wielkości, z góry patrzył na piszących z professyi — sam niewdawał w piśmienną literaturę z tymi co niewidzieli zagranicą opery, dramy, komedyi, baletu. — Krzywił się — a niepisać jest jedyny środek utrzymywania dobrej o swój głowie między przyjaciółmi opinii, bo Bóg wie, jakby mu się powiodło pierwsze wystąpienie na forum krytyczne — zapytaj go — jak mu się co podobą. — Ah, zwyczajnie napisał, jak zawsze pisze. Dajmy pokój dyspacie — zażyjmy tabaki i idźmy do domu, jutro trzeba na sądy i w drogę. Jaką jegomość masz tabaczkę, przysunawszy się zapyta pan Ruszczycki — przywieźlimi ją z Wołynia czy z Podola — dobra, kręci tęgo. — *Czyż* oni umieją robić takakę — to nie krajowa. — *Ale* krajowa słowa bratu daię. Ruszczycki zażył, kichnął — *na zdrowie* — zagrzmiął. Szlachta wie dzie spór o tabakę — ten niepozwała na kraicwą — ten ją gani, krzywi się — Akademię wyśmiewa — *Apanie* kiedy się wasan nieznasz na tabace, to lepiej nie psuj i nie bierz — tabaka wyborna, warta pochwały większej, jak wasze sztuki. — orzeźwia, „dobrą” myśl daie, łyzy [z oczu

wyciska — *mysłące* oznacza istoty. Co też Jegomość wygadujesz — mówisz o tabace jak o cudzie jakim. *Nietylko* mówię ale będę mówił zawsze, juźci musi to być dobre, kiedy jakiś poeta napisał wiersze do tabaki. — *Wiersze?* Tak wiersze — powiem je jeśli ich posłuchacie.

### Oda do Tabaki.

Tabakę śpiewam, która z wirgińskiej krainy  
Przez liczne morza płynie, między Franków syny;  
Od nich na wonny proszek sztucznie przekształcona  
Nietylko swoich twórców uracza plemiona,  
Ale w blazanych puszkach z kartki złocistemi  
Niesie wytworny przysmak nosom całej ziemi.

I ciebie pieśń ma wspomni, tabako zielona,  
Z krajowego bakunu miążko namielona,  
Którą dla skromnych nosów na gminne użytki  
W Krutych i Szarogrodzie (\*) fabrykują żydki  
Ciebie uwielbia wielu z mych przyjaciół grona  
Orzeźwiarz Teodora, pokrzepiasz Leona.

Leez gdzież poczerpnę myśli na wasze zalety  
Niedotknęło was pióro żadnego poety  
Homer śpiewał Trojany, Tass jakieś krzyżaki  
Niemieli oni szczęścia, nieznall tabaki,  
Abym więc oddał godnie, przedmiot wielki nowy,  
Pójdę z tabaką w palcach po rozum do głowy. —

Zażyłem, kręci w mózgu, zjeża czubu włosy,  
Mysł w głowie wylegniona, wznosi się w niebiosy  
Muzy jej otwierają Parnasu podwoje,  
Wskazują strumień mowy, poezyi zdroje;  
Widzę, jak dla mej pieśni pełne uwielbienia  
Czczą Bóstwa opiewane, późne pokolenia;  
Czyż zrównają mej chwale, inne laury jakie  
Milczcie wszyscy poeci — ja śpiewam tabakę.

W tém kichnąłem, łąż mętną zaszyły moje oczy,  
Mysł zwinęła swe skrzydła i pamięć się mroczy,  
Próżno nic nieznaczące słowa z sobą kleję,  
Tracę natchnienia wieszczce i sławy nadzieję,  
A zamiast górnej ody, powiem morał taki  
Ze wszystko tak przemija, jak urok z tabaki.

W. K.....

Skończył — wszyscy pochwalili — zażyli z uszanowaniem — zbliżył się i *Pamiętnik* sceny — zażył —

(\*) Kruty i Szarogród, miasta blisko Bałty w Gubernii Podolskiej; tam mieszkańcy, potomkowie ówch walecznych synów Abrahama, Jakóba, którzy połączeni niegdys siłami *starli* groźne Filistyny, dziś *trą* tabakę i żyją w smiertelnej nienawiści.

( P. W. )

chciał kichnąć — lzy mu się tylko zakręciły w oczach  
bo mało zażył — powtórzył dozę — kichnął cicho —  
nikt mu niepowiedział na zdrowie, a sam sobie,  
przez zapomnienie podziękował — myśląc że w dali  
stojący życzył mu czego dobrego — było artysta —  
na zamach Pamiętnika do kichnienia — szepnął  
z cicha — Bodajci . . . powiedział nam o tém życze-  
niu, kochany Akademik, któremu należy gratysowy  
za to exemplarz.

Goście się rozeszli, powiedziawszy *do widzenia*  
na rok przyszły.

---

SKOROWIDZ

Oddział Rozbiorów.

Wielki Teatr	Tytuł Dzieła	Rodzaj	Liczba aktów	Dzień przedstaw.	Wiel. przedst.	STRON.
	Zony pożyczane	Kom.	3	1 Stycznia	1	55
	Mars i Flora	Balet	1	13 —	8	56
	Napój Miłosny	Op. ko.	2	26 —	28	58
	Sylfa	Balet	2	17 Lutego	13	72
	Prawo angiels.	Drama	2	1 Kwiet.	3	101
	Amazylla	Balet	2	21 Kwiet.	4	104
	Wiesniak	Kome.	3	4 Sierpnia	5	213
	Koń Szpizowy	Op. ko.	3	12 Sierpnia	6	207
	Anioł opiek.	Kom.	3	1 Wrzesn.	2	239
	Ludwika	Drama	5	6 Paźdz.	5	256
	Stach i Zośka	Balet	1	17 Paźdz.	6	235
	Dziadek Guerin	Drama	2	27 Paźdz.	7	228
Teatr Rozm.	Zoe	Kom.	1	1 Stycznia	10	65
	Zbyt szczęśliwa	Kom.	1	1 Lutego	7	77
	Rozważ. małż.	Kom.	1	25 Lutego	6	79
	Adolf i Julia	Ko. op.	2	1 Kwietn.	11	106
	Biedny Rybak	Ko. op.	1	29 Kwietn.	27	109
	Pułkownik	Ko. op.	1	7 Czerwca	6	165
	Służący mego stryja	Kom.	2	14 Sierpnia	5	217
	Karol i Karolina	Kom.	2	2 Paźdz.	2	259
	Szpital waryat.	Ko. op.	1	15 Listop.	8	278
	Nieutul. w żalu	Kom.	1	6 Grudnia	6	280
	Rozbiór oper	—	—	—	—	—
	Napoju i Konia szpizowego	—	—	—	—	263

Wznowione dzieła na wielką scenę *Kopciuszek* 158 opera często grana, *Porwanie aspazy* 190, *Dziesięć lat* drama 210, *Fałszywy ton* 212 i *Leonida* 261 komedye. — Na scenę Rozmaitości: *Anglik* 103, *Poset* 107 komedye. — *W ezbranie kom. opera* i *Oryginały* komedya często barpowtarzane 241.

Wystąpienia.

Panna Münchensag . . . . .	161	Panna Sosnowska . . . . .	262
Panna E. Możdżenska. . . . .	162	Panna Damse. . . . .	262
P. Szturm. . . . .	193	P. Kleczyński . . . . .	290
Pani Kłyszyska . . . . .	194		

## Dziiał Literatury.

	<i>str.</i>		<i>str.</i>
Zakład . . . . .	1	Sceny z dr. dwa oświadczenia . . . . .	167
Skald . . . . .	69	Zwrotki z k. Wez. Wisły . . . . .	198
Ballada . . . . .	70	Zosia . . . . .	199
Trzy obrazy . . . . .	83	Do L. R. . . . .	201
Łeska . . . . .	85	Mazurek . . . . .	201
Czemuż nie była sierotą . . . . .	87	Przestroga . . . . .	203
Melodya . . . . .	96	Sceny z kom. Fredry . . . . .	219
Wietrzyk . . . . .	97	Scena z dramy Ludwika . . . . .	243
Urywek z elegii . . . . .	98	„ z k. Nient. w żalu . . . . .	
Scena z k. o. Bied. Rybak . . . . .	117	Objasn. Tabelli Statystyc. . . . .	309
„ z dramatu P. Hugo . . . . .	159	Ustęp p.t. Sądy o Teatrze . . . . .	316

### ZNACZNIJSZE POMYŁKI.

<i>Stron.</i>	<i>Wiersz</i>	<i>Zamiast</i>	<i>Czytaj</i>
104	5	w 3ch,	w 2ch
109	15	z fran:	z fran: P. Colombe
269	15	z francuzkim,	z włoskim
324	ostatni	« bufyu douł,	bufy u dołu

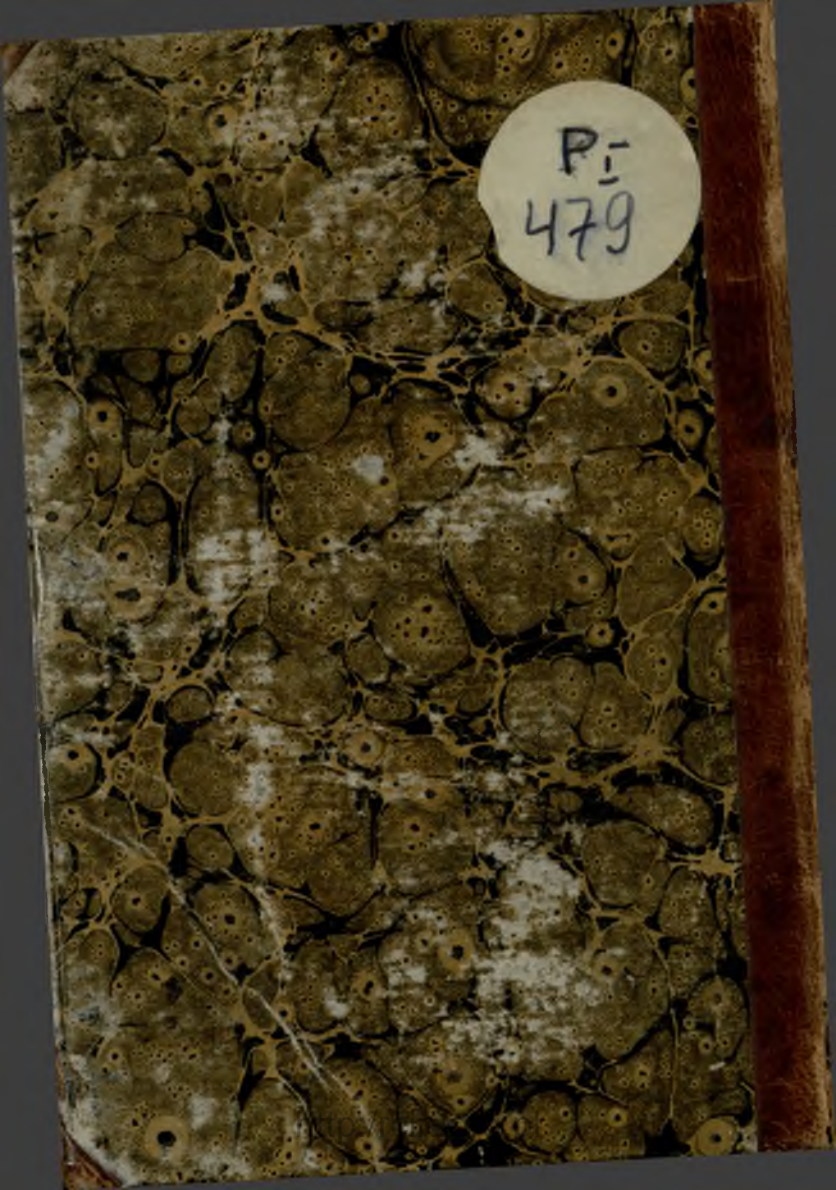










The image shows the front cover of an old book. The cover is decorated with a traditional marbled paper pattern, often called a 'stone' or 'shell' pattern, featuring irregular, organic shapes in shades of brown, tan, and black. The paper shows signs of age, with some white scuffing and wear, particularly in the lower half. On the right side, the spine of the book is visible, bound in a dark reddish-brown leather. A small, circular, off-white paper label is affixed to the upper right portion of the cover. The label has the handwritten text 'P. 479' in black ink, with a horizontal line under the 'P' and another under the '9'.

P.  
479